- MITYCZNA „MUCHOŁAPKA” – CZY TO JUŻ KONIEC LEGENDY?
- NIEZWYKŁE LOSY JEDYNEGO POLSKIEGO WODNOSAMOLOTU

ODKRYWCA

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

Indeks 37010X ISSN 1505-6104 Nakład 12 100 nr 12(95) grudzień 2006 cena 11,50 zł (VAT 0%)

Krypty kwidzyńskiej katedry odkrywają swoje tajemnice

„Złoty pociąg”, a może pociąg do złota?

Skarby ratunkiem dla budżetu państwa?

www.odkrywca.pl

NAJWIĘKSZY WYBÓR W POLSCE
49 MODELI WYKRYWACZY W SPRZEDAŻY

PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ I RATALNĄ
ul. Radna 6 • 00-341 Warszawa • tel./fax 022 829 84 80
viking@viking.waw.pl • www.viking.waw.pl

ODKRYWCA POLECA

POSZUKIWANIA

3 TAJEMNICE KRZYŻACKIEJ KATEDRY

23 października br., stojąc przed neogotyckim ołtarzem w nawie głównej kwidzyńskiego kościoła katedralnego, wpatrując się w czarny, podłużny krzyż widoczny na XX-wiecznej posadzce, zadawaliśmy sobie pytania: Co znajduje się pod posadzką katedry? Czy możliwe jest odnalezienie zapomnianego grobowca średniowiecznej mistyczki? Co stało się z kryptą Wielkich Mistrzów Krzyżackich? Następne dni miały przynieść nam odpowiedź...

RAPORT

28 POLITYKA SKARBOWA

Skarby – to przygoda i dreszcz emocji związany z ich poszukiwaniami. Skarby – to złoto, biżuteria, Bursztynowa Komnata, depozyty, ale również łuski, guziki, zardzewiałe pojazdy i ich części. Mogą być bezcenne, mieć wartość umowną, kolekcjonerską, ale również rynkową. Zawsze wzbudzały emocje i zainteresowanie, od wieków poszukiwali ich zarówno awanturnicy wszelkiej maści, jak i poszukiwacze. Organizowano również państwowe lub rządowe ekspedycje po skarby, czego modelowym wręcz przykładem był podbój Ameryki. Mimo upływu wieków, zainteresowanie czynników państwowych, łatwym i sowitym łupem nie maleje...

SPIS TREŚCI GRUDZIEŃ 2006

POSZUKIWANIA

7 „LATEBRA" KONTRA HETZER – RUNDA I

8 KONIEC „MUCHOŁAPKI"

12 ZATOPIONE ARMATY

Dwanaście armat polskich z XVI i XVII wieku – tyle ich ponoć było w Liwie – drzemie gdzieś na czterokilometrowej linii dawnej drogi pomiędzy Węgrowem i Liwiem, w trzewiach prawie osuszonych mokradeł.

14 ZAPOMNIANE MAGAZYNY AMUNICJI

17 POLSKI CANT ODNALEZIONY

Jezioro Siemień kryło w sobie zagadkę związaną z losami jedynego, wodnosamolotu znajdującego się w dyspozycji Polskiej Marynarki Wojennej – włoskiego Canta Z-506 B.

20 WYROK NA ELBLĄG

23 STUG 40 Z CZARNEJ WODY. OPOWIEŚĆ PRAWDZIWA

26 ESKADRA ROZPOZNANIA 5(H) 13 W KAMPANII PRZECIWKO POLSCE (CZ. 3)

AKTUALNOŚCI/WYDARZENIA

33 HISTORIA NA SREBRNYM EKRANIE

Inauguracja kanału tematycznego „TVN Discovery Historia"

34 MODLIŃSKIE ŚWIĘTO ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

35 NOWE FORMY PREZENTACJI HISTORII

ROZMOWA

36 BYŁO NIE MINĘŁO... JEST I BĘDZIE

Z Adamem Sikorskim, autorem jedynego, ogólnopolskiego programu historyczno-eksploracyjnego, zapalonym regionalistą i poszukiwaczem, dziennikarzem i filmowcem rozmawiają Piotr Maszkowski i Łukasz Orlicki.

FORTYFIKACJE

39 „PANZER" STODOŁA

BATALIE I POTYCZKI

41 OSTATNIA TAKA „NASZA WOJNA"

Rosyjsko-tureckie starcie na Bałkanach 1877-1878 roku

KOLEKCJONERSTWO

45 KRZYŻ PARTYZANCKI

48 ZNAK CHWAŁY

Austrowęgierski medal Zasługi Wojskowej „Signum Laudis"

51 OZNAKI KOŁNIERZOWE POLSKIEGO SZKOLNICTWA WOJSKOWEGO II RP (CZ. 1)

ECHA NASZYCH PUBLIKACJI

54 RADOMIERZYCE – DZIEJE MISTYFIKACJI

Piecuch wyjaśnia

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

55 NOWOŚCI GRUDNIA W KSIĘGARNI ODKRYWCY

W TE MIEJSCA ZABIERAMY WAS W GRUDNIU

Okładka: J. Malinowski, M. Frąckowiak, P. Piątkiewicz, arch. redakcji

Drodzy Czytelnicy

I znowu grudzień – miesiąc dla wszystkich szczególny. Wigilia. Boże Narodzenie. Nowy Rok. Zbliżające się Święta tworzą jedyną i niepowtarzalną atmosferę ciepła, radości i bliskości. Czy pamiętacie jak wolno upływał czas między kolejnymi Świętami Bożego Narodzenia w dzieciństwie? Intrygującą cechą świadomości każdego z nas, jest przychodząca z wiekiem zmiana odczuwania tempa przemijania kolejnych lat. Jest już nawet naukowe wyjaśnienie tego zjawiska. Ale cóż nam po wyjaśnieniach – fakt pozostaje faktem. Klepsydra czasu przesiewa piasek jakby coraz szybciej, a my, ciągle staramy się chociaż niektóre ziarenka zatrzymać dla siebie… Czyż nie jest tak?

Jestem głęboko przekonana, że nas – odkrywców i poszukiwaczy tajemnic historii łączy to ciągłe zmaganie się z czasem, chęć odebrania czasowi tego, co wydawało się na zawsze utracone, zapomniane… to pobudza naszą wyobraźnię i działania.

Nas odkrywców łączy jeszcze jedno, pewien szczególny rodzaj więzi, która pozwala na wyjątkową bliskość i poczucie wspólnoty. Środowisko eksploratorów, miłośników tajemnic historii, poszukiwacze to wyjątkowa rodzina, wielotysięczna, rozsiana w najróżniejszych miejscach Polski, reprezentująca wszelkie grupy wiekowe i zawodowe. Niełatwo zgromadzić ją przy świątecznym stole. Jest jednak miejsce, w którym spotykamy się wszyscy – „Odkrywca". Jest czasopismem, które powstaje dla Was i dzięki Wam – to nasze wspólne dzieło, owoc wspólnych pasji, zamiłowań i zainteresowań.

A więc gdy nadszedł czas, ten szczególny czas, gdzie wszyscy wszystkim ślą życzenia, to niech mi będzie wolno złożyć, w imieniu swoim, redakcji oraz Wydawcy naszego miesięcznika najserdeczniejsze życzenia szczęścia, zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Życzę Wam samych sukcesów w prowadzonych, czy projektowanych poszukiwaniach. Życzę odkryć, które dadzą Wam radość i satysfakcję z poznawania tajemnic, życzę, aby spośród tych ziaren klepsydry minionego czasu, chociaż niektóre z nich okazały się prawdziwymi perłami.

Izabela Kwiecińska

Zdrowych pogodnych wiąt Bożego Narodzeia, skarbów pod choinką nie tylko) przez cały rok, w nowym 2006 roku ozwiązania największych ajemnic, najsilniejszych ygnałów, wzbogacenia olekcji o wymarzony elenent oraz wielu wypraw akończonych sukcesem.

Piotr Maszkowski

Spokojnych, zdrowych Świąt Bożego Narodzenia, wymarzonych prezentów pod choinką, wesołego Sylwestra, a w Nowym Roku 2006 samych sukcesów i pasjonującej przygody z historią życzy

Łukasz Orlicki

Wielu zaskakujących odkryć, skutecznych trafień – nie tylko w lotka, niezwykłych przygód – niekoniecznie z wykrywaczem oraz zdrowia, cierpliwości, wytrwałości i wielu innych zalet niezbędnych i to nie tylko poszukiwaczom, z okazji Świąt Bożego Narodzenia i nadchodzącego Nowego Roku życzy

Magdalena Haber

Wszystkim użytkownikom serwisu Odkrywcy życzę zawsze ciekawych tematów na forum i spokojniejszej wymiany zdań, odkrycia niejednej tajemnicy, płytkich dołków i wymarzonego sprzętu pod choinką.

Bocian

Wszystkim, z którymi dane mi jest współpracować, jak i Tym, z którymi dopiero się poznam, życzę radosnych Świąt, a w Nowym Roku ogromu sukcesów.

Cezary Chmielewski

Redakcja
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel.: (0 prefix 71) 329 71 85, 329 71 86,
fax: (0 prefix 71) 328 83 71

Wydawca
„Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych" sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, 62-510 Konin

Prezes Zarządu
Magdalena Haber

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com

Zespół Redakcyjny
Łukasz Orlicki (sekretarz redakcji), Piotr Maszkowski
e-mail: redakcja@odkrywca-online.com

Współpracują
Tomasz Bienek, Bartłomiej Błaszkowski, Damian Czerniewicz, Zbigniew W. Dawidowicz, Marek Dudziak, Piotr Galik, Grzegorz Grześkowiak, Zbyszko Janiszewski, Joanna Orłowska-Stanisławska, Janusz Skowroński, Proteus, Wojciech Rynkowski, Marek Sokołowski, Wojciech Stojak, Lech Zwirełło

Dział Reklamy i Promocji
e-mail: reklama@odkrywca-online.com

Dział Prenumeraty
(0 prefix 71) 329 71 71

Strona internetowa
www.odkrywca.pl

Twórca i administrator strony
Kazimierz Ruszel Bocianem zwany

Skład
AS-TECH, Wrocław
e-mail: biuro@tmm.w.pl
Realizacja: specjalista DTP – Cezary Chmielewski

Druk
Drukarnia LCL
ul. Dąbrowskiego 247/249
93-232 Łódź
www.lcl.com.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń.

Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

Warunki prenumeraty

- Prenumerata krajowa na pół roku – 57 zł, na rok – 114 zł.
- Prenumerata zagraniczna na pół roku: 97 zł – list zwykły, 112 zł – list priorytetowy.
- Prenumeratę należy opłacić w banku lub na poczcie z podaniem dokładnych danych adresowych.

Numery archiwalne
Do nabycia: III, IV, XII 2000 – **cena 5,00 zł za 1 egz.**
Rocznik 2001: I i III–XII – **5,00 zł/egz.**
Rocznik 2002 – **cena 80 zł.**
Rocznik 2003 – **cena 83 zł.**
Rocznik 2004 – **cena 96 zł.**
Rocznik 2005 – **cena 100 zł.**

Pytania prosimy kierować pod nr tel.:
(0 prefix 71) 329 71 71

Numer konta dla prenumeratorów
„Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych" Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, 62-510 Konin
Bank Zachodni WBK S.A. 5 O/ Wrocław
39 1090 1522 0000 0000 5206 3428

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Tajemnice krzyżackiej katedry

ŁUKASZ ORLICKI

23 października br., stojąc przed neogotyckim ołtarzem w nawie głównej kwidzyńskiego kościoła katedralnego, wpatrując się w czarny, podłużny krzyż widoczny na XX-wiecznej posadzce, zadawaliśmy sobie pytania: co znajduje się pod posadzką katedry? Czy możliwe jest odnalezienie zapomnianego grobowca średniowiecznej mistyczki? Co stało się z kryptą Wielkich Mistrzów Krzyżackich? Następne dni miały przynieść nam odpowiedzi...

Średniowiecze – epoka niesłusznie oceniana w powszechnej opinii jako najbardziej mroczna i „wsteczna" era w dziejach ludzkości, stworzyła jedne z najbardziej fascynujących obiektów w dziejach – katedry. Olbrzymie, strzeliste budowle sakralne, razem z zachowanymi do dzisiaj zamkami i miejskimi fortyfikacjami, przez stulecia przyciągały uwagę i fascynowały swoją architekturą. Wśród wielu miłośników historii te imponujące średniowieczne dzieła budzą szczególne emocje, najczęściej związane z zagadkowymi, podziemnymi przejściami, ukrytymi korytarzami i tajemniczymi kryptami. Bo cóż to za średniowieczny zamek bez podziemnych przejść, czy średniowieczny kościół bez podziemnych krypt?

Katedra pod wezwaniem św. Jana Ewangelisty w Kwidzynie stanowi pod tym względem przykład arcyciekawy. Pod potężną, ponad 20-metrowej wysokości bryłą XIV-wiecznej budowli nie ma dostępu do żadnej średniowiecznej, podziemnej struktury. A przynajmniej dzisiaj nie ma do nich dostępu. Oczywiście wokół dawnej krzyżackiej katedry, jak i sąsiadującego z nią zamku, krąży wiele hipotez i legend mówiących o rozbudowanym, podziemnym systemie z ciągnącymi się kilometrami korytarzami i ukrytymi przejściami. Nawet podchodząc sceptycznie do tych teorii, trudno odrzucić je w całości i uwierzyć, że przeznaczona także do pełnienia funkcji grzebalnych budowla, została wybudowana bez możliwości złożenia w jej podziemiach ciał dostojników kościelnych i krzyżackich. Są to jednak tylko domniemania, bowiem poza nielicznymi źródłowymi wzmiankami nie dotarły do naszych czasów żadne wskazówki mogące pomóc w odnalezieniu dostępu do najbardziej zagadkowych miejsc kwidzyńskiej katedry.

Istnieją czy nie istnieją?

Krypta w języku polskim oznacza sklepione podziemie kościoła, przeznaczone do chowania relikwii i zmarłych. Geneza tego założenia łączy się z komorami relikwiarnymi lokowanymi pod zasadniczymi wnętrzami świątyń starochrześcijańskich. Jednak kryptą można też określić część kościoła nie znajdującą się w podziemiach. W niemieckich źródłach słowem tym, w przypadku katedry kwidzyńskiej, określano całą dolną część dwupoziomowego chóru, leżącą dokładnie na poziomie posadzki. Czy zatem możliwe jest, że zamiast rozbudowanych podziemi kryją się tam tylko niewielkie komory? W opracowaniach dotyczących historii kwidzyńskiego kościoła katedralnego, autorzy mieli duże trudności w rozstrzygnięciu tej kwestii. Wnioskować można bowiem jedynie na podstawie kilku enigmatycznych wzmianek odnoszących się do podziemnej krypty Wielkich Mistrzów Krzyżackich, pochówków biskupów pomezańskich bądź historii Bł. Doroty z Mątowów, co do której do dzisiaj nie rozstrzygnięto sporu czy zamurowana została w celi po północnej stronie katedry (tezy naukowe), czy po południowej (jak chce legenda).

W poprzednich artykułach („Odkrywca" nr 6 i 7/2006) opisaliśmy część historii związanej z domniemanym położeniem miejsca jej grobu, jak również hipotezy odnoszące się do miejsca złożenia szczątków mistyczki. Gdy ostatni Wielki Mistrz Krzyżacki Albrecht Hohenzollern składał hołd polskiemu królowi Zygmuntowi Staremu w Krakowie, można się było spodziewać, że protestanccy biskupi usuną wkrótce wszelkie świadectwa katolickiego kultu, nastąpiło to rzeczywiście kilkanaście lat po sekularyzacji w 1544 roku. Gdzie, i czy w ogóle przeniesiono Bł. Dorotę – o tym źródła milczą. Podobnie ma się sprawa z krzyżackimi biskupami diecezji pomezańskiej i dwoma Wielkimi Mistrzami: Wernerem von Orselnem i Ludolfem Königiem. Ostatnia wzmianka o istniejącej krypcie władców państwa krzyżackiego pochodzi z 1710 roku, gdy car rosyjski Piotr I miał zwiedzać ich zdobiony freskiem herbowym i inskrypcją grobowiec. Na pytanie co działo się z tymi podziemiami w latach późniejszych – nie ma żadnej zadowalającej odpowiedzi.

Katedra przeżywała różne koleje losu: pożar w 1478 roku, renowację w 1686, i największą chyba dewastację za czasów epoki napoleońskiej, gdy w kościele umieszczono magazyn paszy dla cesarskich pułków jazdy. Intensywne prace zmierzające do odnowienia wyniszczonego wnętrza przeprowadzono w wieku XIX, kończąc największy remont w 1864 roku, w trakcie którego odkryto XIV-XV w. polichromie ścienne oraz galerię biskupów i Wielkich Mistrzów Krzyżackich z początku XVI wieku znajdującą się na górnym poziomie chóru. W przypadku nieznanych dzisiaj podziemi katedry najbardziej istotne prace prowadzono jednak dopiero na początku wieku XX.

W 1903 roku w kościele założono instalację centralnego ogrzewania, którą w latach 30. zmieniono na system powietrzny. Ten niezwykle ciekawy zabytek techniki niestety, nie doczekał się osobnego opracowania. Prace prowadzone były pod posadzką katedry w nawach bocznych, gdzie umieszczono długie przebiegające wzdłuż osi katedry kanały technologiczne, którymi tłoczono ogrzane powietrze. W trakcie instalacji natrafiono na znajdujące się w bocznych nawach krypty. Niestety, poza nielicznymi wzmiankami z ówczesnej niemieckiej prasy, nie znamy szczegółów budowy systemu grzewczego, ani podjętych przy tej okazji działań. Całe archiwum budowlane Marienwerder (czyli obecnego Kwidzyna) zostało zniszczone.

Wiosną bieżącego roku, dzięki inicjatywie księdza proboszcza Ignacego Juliana Najmowicza, władze miasta Kwidzyna zdecydowały o podjęciu badań mających odpowiedzieć na pytanie, jak wygląda przebieg podziemnych struktur znajdujących się pod kościołem katedralnym, oraz mogących ustalić położenie szczątków Bł. Doroty i lokalizację krypty Wielkich Mistrzów Krzyżackich. Kilku etapowe prace, prowadzone pod kierunkiem archeologa dr Antoniego Pawłowskiego przez redakcję „Odkrywcy" wraz ze specjalistami z poznańskiego Stowarzyszenia Archeologii i Ochrony Zabytków Militarnych „Perkun", rozpoczęte zostały w czerwcu br. Do wstępnego etapu użyto najnowocześniejszej technologii używanej w pracach bezinwazyjnych. Dzięki urządzeniom Roberta Kmiecia z firmy GPR System ustalono hipotetyczny przebieg podziemnej struktury. Wyniki uzyskane z przebadania najstarszej części założenia – prezbiterium – pozwoliły na wyselekcjonowanie kilku anomalii usytuowanych w pobliżu dzisiejszej celi Bł. Doroty znajdującej się przy południowej ścianie katedry. Dużo wyraźniejszy obraz uzyskano z przebadania nawy głównej. Na wprost ołtarza, pod dużym krzyżem widocznym na posadzce, odczyt urządzenia pozwolił na zlokalizowanie anomalii wyraźnie wskazującej na istnienie „pustki". Jednak wyniki prac bezinwazyjnych pomimo, iż pozwalają na wyciągnięcie wielu wniosków nigdy nie są stuprocentowo pewne. Jedyną możliwością uzyskania pełnej odpowiedzi, pozostaje „po staremu" odsłonięcie ukrytej pod posadzką podziemnej struktury.

Główna nawa katedry w Kwidzynie. W głębi, przed ołtarzem, widoczny krzyż na posadzce, pod którym w czerwcu br. wykryto anomalie wskazujące na możliwość istnienia tzw. „pustki".

Po opracowaniu przez dr A. Pawłowskiego planu prac i uzyskaniu przez redakcję „Odkrywcy" wszelkich zezwoleń, 23 października stanęliśmy w głównej nawie kościoła katedralnego w Kwidzynie. Pierwszy dzień miał być najważniejszy. Dzięki dr Wiesławowi Nawrockiemu z Zakładu Badań Nieniszczących KPG z Krakowa zamierzaliśmy przeprowadzić powtórne badania georadarowe. A później, w przypadku kolejnego potwierdzenia... odsłonić nieznane pomieszczenie.

Przed wykonaniem pierwszych prac inwazyjnych dr Wiesław Nawrocki wraz z Krzysztofem Pigłowskim, za pomocą urządzenia innego typu niż użyte w badaniach czerwcowych, przeprowadzili badania georadarowe.

23.X

Wyniki potwierdziły w całej rozciągłości poprzedni odczyt. Można było przystąpić do badań inwazyjnych. Pierwszy etap polegał na ostrożnym zdjęciu płytek posadzki, które ponumerowane i zachowane w całości znajdą się w przyszłości na powrót w swoich miejscach.

Metodyczne usuwanie podłogi połączone z zabezpieczeniem każdej płytki trwało kilka godzin. Pod warstwą ziemi, w której odnaleźliśmy dwie monety z 1905 i 1939 r. ukazał się niespodziewany widok. XX-wieczna cegła okalała niewielki tunel technologiczny z widocznymi w środku odcinkami rur. Czy georadar wykazał jako anomalię wykonaną najprawdopodobniej w latach 40. instalację? W takim przypadku dalsze prace stanęłyby pod znakiem zapytania.

Jedynym rozwiązaniem pozostawało odsłonięcie miejsca, gdzie georadar wykazał najbardziej prawdopodobne położenie krypt – centralną część krzyża. Naczelna „Odkrywcy" pomaga zabezpieczyć poszczególne płyty Jarkowi Stróżyńskiemu i Jackowi Malinowskiemu z poznańskiego Stowarzyszenia „Perkun".

Do późnego wieczora, przy świetle lamp, trwały prace mające na celu usunięcie ziemi i oczyszczenie krypty.

Pod kolejną płytą odsłonił się fragment cegły oraz wyraźnie widoczny otwór – odnaleźliśmy kryptę! W ciągu najbliższych minut okazało się, że jest ona praktycznie w całości zasypana uniemożliwiając stwierdzenie jej rozmiarów i wstępnego określenia daty budowy.

W dniu następnym część ekipy badawczej kontynuowała prace w krypcie. Jednocześnie w najstarszej części kościoła – prezbiterium został założony wykop sondażowy mający ustalić rodzaj anomalii wykrytej w czerwcu br. Na zdjęciu arch. Maks Frąckowiak poszerzający wykop.

Anomalia okazała się przemieszaną warstwą ziemi, w której znalazły się XVI i XVII-wieczne monety. Na głębokości ok. 3,80 m został uchwycony koniec kamiennego muru, którego charakter, głębokość posadowienia i rodzaj użytej zaprawy wskazują na połowę XIII w., a więc okres poprzedzający powstanie katedry! Dzięki uzyskanym informacjom możliwe będzie uzupełnienie wiedzy o wzmiankowanym jedynie w źródłach, najstarszym murowanym kościele w Kwidzynie. Na zdjęciu dr Antoni Pawłowski dokumentujący wyniki badań.

24-25.X

Po odkopaniu krypty (przed ołtarzem), zespół badawczy natknął się na fragmenty zniszczonego w wyniku zasypania wieka trumny, a następnie na znajdujące się pod spodem szczątki ludzkie. W środku M. Frąckowiak, Ł. Orlicki.

Prace w centralnej części kościoła trwały przez cały czas. Usuwaną z krypty ziemię badaliśmy wykrywaczami. Dzięki temu wychwyciliśmy monety. W większości były to srebrne pruskie szelągi z lat 1669 – 1781 (dziewięć egzemplarzy), ciekawostką okazała się trzygroszówka Leopolda z 1697 roku oraz szeląg ryski Zygmunta III Wazy. Przy ładowaniu ziemi do taczek pomaga nam Jerzy Cera.

Dr Pawłowski podejmuje decyzję odkopania krypty w nawie bocznej. Po kilku godz. pracy zamurowane wejście do krypty „nr 2" zostało odsłonięte. W wykopie widoczny Paweł Piątkiewicz. Od prawej Bogumił Wiśniewski, dr Antoni Pawłowski, red. Izabela Kwiecińska, Jarek Stróżniak i red. Leszek Adamczewski. Po wykonaniu dokumentacji kryptę zabezpieczono przywracając stan pierwotny.

tach 70. płytami (pozyskanymi z poniemieckich chodników) ukazało się ceglane sklepienie krypty nr 2. W zasypanym wnętrzu znalazły się przemieszane ludzkie kości. Czy stanowiły pozostałość prac przy systemie grzewczym, podczas którego natknięto się na wybudowane w nawach bocznych krypty?

Tymczasem w krypcie „nr 1" pieczołowicie odsłaniany szkielet okazał się szczątkami młodej kobiety. Trumna została ułożona na specjalnych symetrycznie rozmieszczonych metalowych sztabach wmurowanych w ściany komory, dzięki temu nie uległa ona kompletnemu zniszczeniu podczas zasypywania krypty.

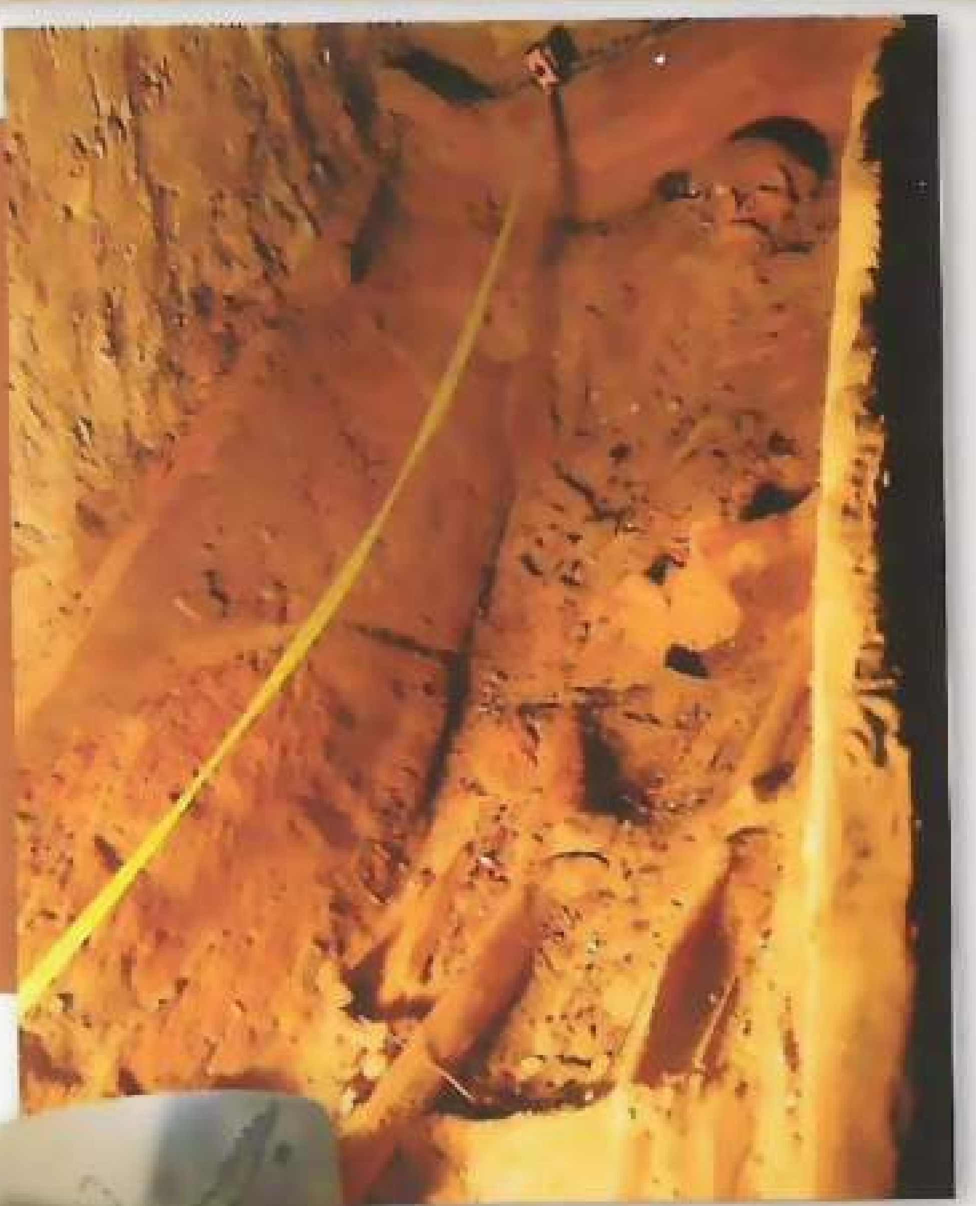

25-26.X

W ostatnim etapie prac uchwycono ceglaną podłogę krypty oraz fragment znajdującej się poniżej niewielkiej, prawdopodobnie dziecięcej trumny. Na zakończenie bieżącego etapu badań przeprowadzone zostały odwierty sondażowe, które dały zaskakujące rezultaty. W północnej ścianie krypty natrafiono na kolejną komorę, prawdopodobnie nie zasypaną. Czy może to być początek odkrycia całego systemu podziemi?

Wydobyte podczas prac fragmenty trumny i przedmiotów z wnętrza pozwoliły wstępnie określić wiek pochówku na początek XVIII wieku. Na zdjęciu widoczna jedna z ozdób.

Zabezpieczenie odsłoniętej krypty „nr 1" zakończyło kolejny etap badań przeprowadzonych na terenie kwidzyńskiego kościoła katedralnego. Wyniki prac przerosły nasze oczekiwania. Udało się ustalić częściowy przebieg nieznanej dzisiaj podziemnej struktury znajdującej się w głównej części kościoła. Odsłonięta przed ołtarzem głównym krypta, wraz z odkrytą za pomocą sondażowego odwiertu sąsiednią komorą i kryptą w nawie bocznej, pozostają na razie jedynymi znanymi obecnie podziemnymi pomieszczeniami w katedrze (nie licząc XX-wiecznych instalacji grzewczych). Inicjator badań ksiądz proboszcz Julian Najmowicz pragnie, aby w przyszłości, po ukończeniu całości prac, obydwie krypty zostały odrestaurowane. Wstępne przebadanie zdobiących trumnę guzów pozwala wydatować okres pochówku nieznanej kobiety na początek XVIII wieku. Odpowiedzi na pytania: kiedy wybudowano kryptę i kogo w niej pochowano – musi poczekać na pełną analizę uzyskanego materiału badawczego. Nie znany jest również okres, w którym zasypano kryptę oraz stan sąsiedniej komory. Zarówno ściany jak i fragmenty rozbitego sklepienia wskazują na solidną pracę budowniczych, przywiązujących wagę do wykonania znajdującego się tuż przed ołtarzem głównym pomieszczenia. W usuniętej z pobliża wejścia do „krypty nr 2" ziemi, odnaleźliśmy starsze niż w poprzednim miejscu monety (m.in. trzy trzeciaki koronne z 1596 Zygmunta III Wazy z mennicy malborskiej, szelągi ryskie i koronne, szeląg toruński z 1671 roku Michała Korybuta Wiśniowieckiego oraz ciekawostkę – szeląg litewski z 1625 roku). Zarówno ten fakt, jak i elementy odsłoniętego sklepienia pozwalają sądzić, iż powstała ona dużo wcześniej niż „krypta nr 1". Zastanawia jedynie jej niedbałe, widoczne na pierwszy rzut oka, wykonanie, którego genezę trudno w obecnej chwili ustalić.

Umiejscowiony w najstarszej części katedry sięgający 4 metrów wykop sondażowy pozwolił na uzyskanie wglądu w założenie pierwotnego XIII w. murowanego kościoła. Opracowane w najbliższych miesiącach wyniki wyjaśnią wiele wątpliwości dotyczących tej bardzo enigmatycznie wspominanej w źródłach budowli. Zaplanowana na przyszły rok kontynuacja prac pozwoli na dalsze poszukiwania najstarszych średniowiecznych krypt katedralnych i przebadanie kolejnych wytypowanych lokalizacji. Czy uda się nam odnaleźć kryptę Wielkich Mistrzów i grobowiec Błogosławionej Doroty? Na to pytanie odpowiemy już za kilka miesięcy. ❑

Zdjęcia: Maks Frąckowiak, Paweł Piątkiewicz, Jacek Malinowski, arch. red.

LITERATURA:

L. Krantz-Domasłowska „Katedra w Kwidzynie", Toruń 1999

Prace w kwidzyńskim kościele katedralnym prowadzone były pod kier. arch. dr A. Pawłowskiego przez redakcję „Odkrywcy" oraz członków poznańskiego Stow. Archeologii i Ochrony Zabytków Militarnych „Perkun" w składzie: Paweł Piątkiewicz, Jacek Malinowski, Jarek Stróżniak, Maksymilian Frąckowiak. Badania georadarowe przeprowadził zespół Zakładu Badań Nieniszczących „KPG" w składzie: dr Wiesław Nawrocki i Krzysztof Pigłowski. W przygotowaniach pomocy udzielił nam Bogumił Wiśniewski, przez cały czas czuwając przy prowadzącej badania ekipie oraz Jerzy Cera. Wszystkim serdecznie dziękujemy.

Osobne podziękowania kierujemy pod adresem burmistrza Miasta Kwidzyna Andrzeja Krzysztofiaka, Piotra Halagiery, zastępcy burmistrza oraz księdza proboszcza Ignacego Najmowicza za opiekę i ogromną pomoc w zorganizowaniu badań.

„Latebra" kontra Hetzer – runda I

ORZEŁ

28 października 2006 roku, wczesnym świtem, w poranną ciszę panującą nad jednym z odcinków półwyspu helskiego, wdarł się huk silników ciężkich koparek. Na piaszczystej plaży pojawili się płetwonurkowie, operatorzy sprzętu, ochotnicy – poszukiwacze i harcerze uczestniczący w zorganizowanej, przez członków Fundacji na Rzecz Odzyskania Zaginionych Dzieł Sztuki „Latebra", akcji wydobycia niemieckiego niszczyciela czołgów typu Hetzer.

Półwysep helski to miejsce w niezwykły sposób związane z historią II wojny światowej. To właśnie tu 2 października 1939 roku poddał się jeden z ostatnich wolnych skrawków II Rzeczpospolitej, kiedy pozbawiona zaopatrzenia załoga skapitulowała po bohaterskiej i długotrwałej obronie. Prawie sześć lat później, Hel poddał się ponownie, tym razem jako ostatnia, polska miejscowość wyzwolona spod władzy niemieckiego okupanta. Strategicznie ważny półwysep stał się siedzibą kilku jednostek wojskowych, i jeszcze do lat 90. dostęp do wielu ciekawych i pięknych fragmentów tego terenu był mocno ograniczony. Sytuacja ta pozwoliła jednak, aby na jednej z plaż znajdujących się przy poligonie desantowym Marynarki Wojennej zachował się do dzisiaj porzucony przez Werhrmacht niszczyciel czołgów Hetzer. Stalowa skorupa, jednego z najbardziej udanych niemieckich pojazdów bojowych, utkwiła na skraju morza stanowiąc przez następne lata doskonały punkt topograficzny dla ćwiczących na plaży polskich żołnierzy i marynarzy. Natura sprawiła jednak, że po kilkunastu latach pojazd zaczął się zapadać w piaszczyste dno, a pancerną sylwetkę przesłoniły fale Bałtyku wdzierającego się w tym miejscu w helski półwysep.

W marcowym wydaniu „Odkrywcy" (3/2006) pisaliśmy o ustaleniu przez członków „Latebry" dokładnej lokalizacji nieznanego niemieckiego pojazdu. Okazał się nim niezwykle rzadki Hetzer, a odkrywcy rozpoczęli przygotowania do akcji wydobycia.

Po uzyskaniu zezwoleń i ogromnej pomocy firmy „Semeko" dysponującej odpowiednim sprzętem budowlanym, pod koniec niezwykle pogodnego października, na helskiej plaży przystąpiono do konfrontacji sił natury i człowieka. Na dzień przed rozpoczęciem akcji, na wieczornym spotkaniu w hotelu, gdzie zamieszkali organizatorzy i uczestnicy, wszyscy zostali wprowadzenie w szczegóły akcji wydobywczej. W rolę narratora wcielił się Marcin Mikołajczak, który

Walka z siłami natury była niezwykle ciężka. „Saper" czeka na swoją kolejkę.

przedstawił organizatorów, sponsorów oraz poinformował uczestników o procedurach jakie będą obowiązywały dnia następnego.

28 października, cały teren akcji został odgrodzony, a wstęp zapewniał jedynie odpowiedni identyfikator, co w przypadku operowania najcięższym sprzętem było niezbędne dla zagwarantowania bezpieczeństwa uczestników i widzów akcji..

Tuż przed podjęciem próby wydobycia, towarzyszący „Latebrze" płetwonurkowie dokładnie oznakowali lokalizację pojazdu. Okazało się, że ma on praktycznie kompletny pancerz, wraz z lufą i gąsienicami. Ten wyjątkowy zabytek spoczywający kilkanaście metrów od brzegu postanowiono odpowiednio podkopać i korzystając z osłony ustawionego w morzu falochronu (zbudowanego z potężnych worków z piaskiem) „wyszarpać" ciężką wojskową wyciągarką BAT. Całość akcji koordynowali członkowie „Latebry": Krzysztof Bartnik, Dominik Markiewicz, i Marcin Mikołajczak.

Hetzer to pojazd prawie 15-tonowy, jednak ani jego waga, ani stopień zasypania nie stały się największą przeszkodą. Po kilkugodzinnym ustawianiu falochronu okazało się, że nie jest on w stanie wytrzymać coraz mocniejszych uderzeń fal, a zabezpieczający akcję z wody płetwonurkowie nie radzą sobą z napierającymi grzywaczami. Morze zdawało się sprzeciwiać wydobyciu swego łupu. Z uzyskanej wcześniej przez „Latebrę" prognozy wynikało, że na Morzu Bałtyckim rozpęta się po południu sztorm, jednak nikt nie spodziewał się tak gwałtownego ataku żywiołu. Obecny na miejscu przedstawiciel Urzędu Morskiego otrzymał informację o zwiększającej się sile sztormu i zasugerował przerwanie akcji.

Zanim jednak podjęta decyzję o wycofaniu się, podjęto próbę wyciągnięcia na brzeg odkopanego nieco pojazdu. Nie doszła ona jednak do skutku. Coraz gwałtowniejsze porywy wiatru i uderzające coraz mocniej fale uniemożliwiły znalezienie haków niezbędnych do podczepienia liny... Dalsze szukania w tych trudnych warunkach zagrażało bezpieczeństwu płetwonurków. Zatem ta najtrudniejsza dla wydobywców decyzja musiała zostać podjęta. Mimo woli i olbrzymiego zaangażowania uczestników akcji, kierujący akcją zmuszeni zostali do jej odwołania. Planowana na dwa pełne dni ograniczyła się niestety do kilkunastogodzinnej bezskutecznej walki.

Członkowie „Latebry" planują dokończenie wydobycia niemieckiego Hetzera i powrót na helski półwysep w bardziej sprzyjających okolicznościach. Jednak pierwsza runda została przez niego wyraźnie wygrana, a może lepiej powiedzieć, została wygrana przez morze. ❑

Zdjęcia: arch. redakcji

Jeden z organizatorów Dominik Markiewicz.

Worki z piaskiem pełniły rolę falochronu. Na fot. „Saper" (z lewej) i Krzysztof Bartnik.

Wyciągarka BAT „Jimiego".

Tajemniczy obiekt na terenie byłej kopalni „Wenceslaus" w Ludwikowicach (d. Ludwigsdorf) budzi wciąż kontrowersje wśród eksploratorów. Przez jednych nazywany „muchołapką" – stanowić miał miejsce startu dyskoidalnych pojazdów lub stanowisko do testowania tajemniczych urządzeń, przez drugich zaś uznawany jest po prostu za dolną część chłodni kominowej. W dyskusjach padają mocne słowa łącznie z wzajemnym posądzaniem się o mitomanię czy wręcz... urojenia. Autor artykułu, znany z dociekliwości, postanowił „chłodnym okiem" przyjrzeć się bliżej spornej sprawie, pozostawiając Czytelnikom ostateczny osąd.

Koniec „muchołapki"

ROMAN OWIDZKI

Na początku muszę przyznać, że długo wahałem się, czy warto zająć się z pozoru niezbyt ważkim tematem. W końcu obiekt stoi sobie spokojnie ponad 60 lat, a złomiarze nawet nie zabrali się poważnie do jego rozbiórki. Jako Autor wiem, że Czytelnicy chętniej woleliby przeczytać coś o polu startowym dla V-7, niż o jakiejś mało ciekawej wieży chłodniczej. Kiedy jednak zacząłem zbierać materiały do artykułu, okazało się, że temat jest ciekawszy niż podejrzewałem, i znalazł swoje nieoczekiwane zakończenie poza granicami naszego kraju. A tego w ogóle się nie spodziewałem.

Należało więc odwiedzić Ludwikowice Kłodzkie, miejscowość, która nabrała rozgłosu za sprawą książek wieloletniego badacza hitlerowskich tajemnic – Pana Igora Witkowskiego, która również przysporzyła mu wielu oponentów co do znaczenia żelbetowej, okrągłej budowli położonej w sąsiedztwie byłej elektrowni Miłków (d. Mölke).

Teoria Igora Witkowskiego

W swojej książce *„Prawda o Wunderwaffe"* p. Witkowski tak opisuje obiekt, który w Ludwikowicach szczególnie go zaintrygował: *„(...) na kawałku płaskiej powierzchni znajdował się dziesięcioboczny basen o średnicy prawie 40 metrów, jego obramowanie pomalowane było wciąż widoczną zieloną farba maskującą. Wewnątrz niego wznosiła się dosyć niezwykła konstrukcja. Było to dziesięć masywnych filarów o wysokości po ok. 10-12 metrów, u góry połączone dziesięciobocznym, żelbetowym pierścieniem o średnicy 30-31 m. Było to dziwne, gdyż nie posiadało dachu, pomiędzy filarami nie było ścianek... Jedynie na obwodzie pierścienia u góry było widać coś w rodzaju metalowych umocnień. Wydawało się, że jest to rusztowanie nieukończonej tzw. chłodni kominowej czy wieży chłodniczej, należącej do pobliskiej , przedwojennej elektrowni"*. Dalej czytamy: *„(...)całość robiła niesamowite wrażenie, a jednocześnie coś mi przypominała. (...) Po powrocie do domu odnalazłem zdjęcie czegoś bardzo podobnego. Nosiło nazwę „muchołapka" i miało służyć do testowania obiektów startujących i lądujących pionowo"*. Ponadto p. Witkowski w tej samej książce podaje, że przebywający w Ludwikowicach Nick Cook pokazał mu zdjęcie Mach 4 Project 1794 Saucer – obiektu służącego do testowania dyskokształtnych obiektów latających. Było to zdjęcie jeszcze bardziej przypominające konstrukcję w Ludwikowicach. Tej fotografii nie ma w książce, w zamian za to zaprezentowano obraz współczesnej „muchołapki" do testowania śmigłowców w zakładach PZL (przypominające tylko kształtem obiekt w Ludwikowicach). Igor Witkowski przyznaje, że w rozmowach z mieszkańcami Ludwikowic niewiele się dowiedział. Basen jest obecnie wypełniony ziemią i zarośnięty. Ciekawa informacja dotyczy „betonowych postumentów" w basenie, ale Autor nie wyjaśnia o co chodzi, lecz ogranicza się do przedstawienia własnego, ogólnego szkicu basenu z filarami „spiętymi" żelbetowym pierścieniem. W końcowej konkluzji stwierdza: *„(...) dosyć sporą dyskusję wywołało podejrzenie, że w istocie może to być szkielet nieukończonej tzw. chłodni kominowej... Mimo najlepszych chęci trudno jednak konstrukcję z Ludwikowic uznać za coś takiego. Po pierwsze „muchołapka" jest ukończona – otynkowana i pokryta farbą maskującą. Nie ma śladu po rurociągach, a w przypadku chłodni jest to element dominujący. Poza tym: przy tej średnicy basenu osłona chłodni musiałaby być wysokości 20-30 piętrowego budynku. Musiałyby być fundamenty pod to, podczas gdy obramowanie basenu to coś o szerokości wąskiego krawężnika. Śladów takich w ogóle nie ma (...)".*[1]

Ciekawym uzupełnieniem stanowiska Igora Witkowskiego jest jego rozmowa, z lipca 2005 r., z Rafałem Krukiem. Wywiad ten zaprezentowany został na portalu www.poszukiwania.pl.[2] Na pytanie R. Kruka, co można powiedzieć obecnie w kwestii tzw. „muchołapki", p. Witkowski odpowiedział:

„(...) zasadnicze twierdzenia potwierdzają się. Nawiasem mówiąc, dla mnie nigdy nie była czymś wyjątkowo ważnym, wyeksponowała ją natomiast telewizja, gdyż... wizualnie im się podobała. W »Prawdzie o Wunderwaffe« zaprezentowałem parę ciekawych informacji, jakby pomijanych w dyskusji na temat tej konstrukcji, jaka pojawiła się po programach telewizyjnych. Najważniejsze przyszło jednak całkiem niedawno (...). Niemiecki historyk Rainer Karlsch (autor głośnej książki »Hitlers Atombombe«) opublikował w tej książce wyniki badań »muchołapki« przeprowadzonych przez Uniwersytet Giessen w Niemczech. W konstrukcji wykryto izotopy jednoznacznie wskazujące, że była ona poddana działaniu strumienia neutronów. Karlsch napisał, że »musiało tam pracować jakieś urządzenie przyspieszające jony do bardzo dużych prędkości« – czyli generalnie to, do czego ja doszedłem zupełnie inną drogą. Jest więc udowodnione, że nie była to żadna chłodnia kominowa lecz urządzenie badawcze szczególnego rodzaju". Wywiad ciekawy, szkoda tylko, że Igor Witkowski nie określił, jakie to mogło być szczególnego rodzaju urządzenie. Tym samym znowu powstała nisza do jałowej dyskusji. Nie zamierzam teraz poruszać tej kwestii, chciałbym natomiast zwrócić uwagę na stwierdzenie p. Witkowskiego, że jest już udowodnione (podkreślenie R.O.), jakoby obiekt w Ludwikowicach nie był chłodnią kominową. Na koniec ostatnia uwaga z ww. książki. W opisie zdjęcia lotniczego z jesieni 1944 r. znajduje się informacja, że na zdjęciu po raz pierwszy pojawia się tajemnicza pierścieniowa konstrukcja. Tyle Igor Witkowski.

W zasadzie artykuł powinien się już zakończyć, a mnie pozostałoby tylko zacząć pisać pochwalną recenzję, gdyby nie to, że Autor *„Prawdy o Wunderwaffe"* mnie nie przekonał. Postanowiłem przyjrzeć się 10-bocznemu basenowi z betonowymi filarami, wznoszącymi się na wysokość 10-12 metrów, zwieńczonymi żelbetowym pierścieniem – jako obiektowi ukończonemu w 1944 r. i pomalowanemu farbą ochronną. Obiektowi, który był urządzeniem badawczym szczególnego rodzaju, czego dowodzić miały m.in. wyniki badań przeprowadzonych przez niemieckich badaczy, w zakresie promieniowania, w rejonie tzw. „muchołapki" Igora Witkowskiego, przypominającej konstrukcję obiektu związanego z Mach 4 Project 1794 Saucer lub „muchołapką" w PZL.

„Niebieskie Koło"

W październiku br. odwiedziłem kilka razy Ludwikowice. Zdeptałem wiele kilometrów poznając niezwykłe, tajemnicze tereny z bunkrami, ruinami elektrowni i naszą kontrowersyjną budowlą. Pogoda dopisała jak nigdy i w promieniach jesiennego słońca w bajkowym żółto-czerwonym krajobrazie przyszło mi zmierzyć się w końcu z... „Niebieskim Kołem"! Tak, tak od razu była niespodzianka. Gdy zacząłem wypytywać mieszkańców o „muchołapkę", wszyscy patrzyli na mnie jak na faceta z... Marsa. Dopiero okazanie zdjęcia budowli rozwiązywało języki i zaczynała się rozmowa. W końcu zapytałem, jak ta budowla jest nazywana przez miejscową ludność? Ot po prostu – „Niebieskie Koło" – tak się przyjęło i tak zostało. Nic dziwnego, patrząc w górę przez żelbetowy pierścień, zawsze patrzymy w niebo! Szybko pokazano mi drogę dojazdową i w kilka minut byłem już na miejscu. Myślałem, że znajdę jakieś wypalone miejsce startowe, może płytę betonową, na której stać mogło urządzenie badawcze, albo jeszcze coś innego co mnie faktycznie zaskoczy. Było jednak inaczej.

Rzut okiem na budowlę

Nie ulega wątpliwości, że od pobytu w Ludwikowicach p. Witkowskiego, N. Cooka i niemieckich badaczy niewiele się zmieniło. Wokół soczysta roślinność, a wewnątrz budowli chaszcze i pokrzywy do 1,5 m. Moi koledzy z taśmą, łopatkami, miotełką i aparatem fotograficznym przystąpili do oględzin obiektu. Każdy filar otrzymał swój numer i... zdębieliśmy! Budowla składa się z 12 filarów! Jakim cudem Igor Witkowski doliczył się tylko 10? Ta zagadka wyjaśniła się nieco później.

Obiekt zbudowany jest na planie foremnego dwunastokąta, choć nie do końca jest to prawdą. Każdy filar o szerokości 104-105 cm jest też jakby dodatkowym bokiem – czyli tak naprawdę jest to 24- kątna budowla. Poszczególne filary są w dobrym stanie, choć wiele z nich ma ubytki w tynku, a w kilku odsłonięte jest uzbrojenie. O dziwo nie są to filary betonowe lecz żelbetowe (podobnie jak górny pierścień), i do tego mocno zbrojone, co widać szczegółowo na poniższym zdjęciu.

Okazało się, że filary są zbrojone prętami średnicy od 20 do 30 mm i to dosyć gęsto, bo średnio co 8 cm! Na szerokości 104 cm widać 13 prętów. Świadczy to dobitnie, że ta konstrukcja jest gotowa do przenoszenie dużych sił pionowych, np. ciężaru dobudowanej górnej części konstrukcji. Potwierdzić to może nawet uczeń technikum budowlanego. Kolejne zdjęcie pokazuje spojenie filara z pierścieniem.

Jest to bardzo istotna sprawa, bowiem Igor Witkowski wspomina, że na obwodzie pierścienia widać coś w rodzaju metalowych mocowań, które musiały zapewne do czego służyć. Poznawszy już walory budowli, jej masywną konstrukcję, należało rozważyć, czy tego rodzaju obiekt mógł stanowić dolną część chłodni kominowej. Wśród zwolenników tej teorii, jako przykład do porównania wskazywana jest chłodnia kominowa w Siechnic.

Raport Schelma

Nie musiałem jechać do Siechnic, bowiem robotę za mnie, i to wcześniej, wykonał niemiecki badacz Gerold Schelm. Jest to osoba pracująca w międzynarodowym zespole ds. badania tajemnicy tzw. filadelfijskiego eksperymentu z 1943 r. oraz zajmująca się tematyką antygrawitacji. Kiedy na Zachodzie ukazała się w 2005 r. książka Igora Witkowskiego *„The Truth about the Wunderwaffe"*, postanowiono sprawdzić szczególnie sprawę „The Bell" („Dzwon") w kontekście miejsca testowania, czyli obiekt „Henge" w Ludwikowicach. Co ciekawe, w niemieckiej wersji wikipedii znajduje się hasło *„Die Bell"* z wątkiem Ludwikowic i naszej budowli. Problem w tym, że w zakończeniu notki informuje się internautów, że znalazła się osoba, która zdemaskowała tę mistyfikację, uznając, że ludwikowicki obiekt stanowi podstawę wieży chłodniczej. Właśnie tą osobą jest... Gerold Schelm.[3]

Z raportu o nazwie *„The Henge at Ludwikowice, Poland- test rig for the Nazi-Bell?"*[4], rozpowszechnionego przez Gerolda Schelma w internecie, można dowiedzieć się kilku ciekawych informacji. Przede wszystkim Schelm podczas pobytu w Polsce w sierpniu 2005 r. stwierdził, że górna część chłodni w Siechnicy oparta jest na

pierścieniu podtrzymywanym przez 12 filarów (tyle samo co Ludwikowicach). Bolce umieszczone na pierścieniu służą do mocowania górnej części chłodni z żelbetowym pierścieniem. Poniżej dwa zdjęcia Gerolda Schelma, na których widać sposób łączenia dolnej i górnej części chłodni kominowej oraz porównanie dolnych części konstrukcji z Ludwikowic i Siechnicy.

Schelm stoi na stanowisku, że oba obiekty mają tak wiele wspólnych cech, że należy je traktować jako podobne! Ten raport spowodował, że na Zachodzie zaczęto obojętnie lub sceptycznie podchodzić do lansowanej przez Igora Witkowskiego możliwości eksperymentu „The Bell" w ludwikowickim obiekcie („The Henge"). Obok Schelma wątpliwości takie zaczęli mieć inni badacze antygrawitacji, jak np. Nick Cook czy Tim Ventura w artykule *„The New Nazi-Bell"*.[5] Artykuły Ventury i Schelma naprawdę warto przeczytać. Szczególnie Tim Ventura zwraca uwagę na eksponowanie przez Igora Witkowskiego znaczenia Ludwikowic w aspekcie projektu „Dzwon", co kłóci się z wypowiedzią p. Witkowskiego udzieloną Rafałowi Krukowi. Odnoszę wrażenie, że Igor Witkowski dla swojej teorii ma dwie wersje – krajową i zagraniczną... ale to tylko moja sugestia. Faktem jest, że obok krajowych adwersarzy nieoczekiwanie również pojawią się za granicą „chłodne osądy".

Promieniowanie

Jak wcześniej wspomniałem Igor Witkowski mocno wyeksponował badania przeprowadzone na Uniwersytecie Giessen w Niemczech, uznając nawet, że te wyniki są wręcz decydujące w przyjęciu założenia, że w Ludwikowicach miało być urządzenie badawcze szczególnego rodzaju. Jakiego rodzaju miało to być urządzenie – nie precyzuje. A szkoda. Wyniki zostały ogłoszone tylko w niemieckim oryginale książki Rainera Karlscha *„Hitlers Atombombe"*. Nie wiem dlaczego w polskim tłumaczeniu tej książki wyniki napromieniowania zostały jakby „ocenzurowane" i po prostu ich nie ma, natomiast pojawił się wprowadzony przez polskiego wydawcę tekst z książki Igora Witkowskiego mówiący o akceleratorach, cyklotronach lub generatorach udarowych, które miały być instalowane na Dolnym Śląsku.[6] Pikanterii w tej sprawie dodaje fakt, że polski wydawca w przypisie podaje angielską wersję książki p. Witkowskiego *„Prawda o Wunderwaffe"*. A żeby było ciekawiej, to w bibliografii niemieckiego wydania książki Karlscha w ogóle nie występuje Igor Witkowski. Nie chciałbym tu użyć mocnego słowa, ale mnie się to bardzo nie podoba.

Wróćmy zatem do badań, które opisane zostały w książce Karlscha.[7] W wyniku pomiarów promieniowania zasugerowane zostało występowanie kobaltu-60 w żelbetowej części ludwikowickiego obiektu, co mogło być efektem bombardowania neutronami żelaza lub niklu. Według informacji dr Schalcha, ze Strahlenschutzlabor der Justus Liebig Universität w Giessen, z dnia 7.XII. 2004 r., wyniki pomiarów były następujące:

- 0,13 Bq/300 gramów próbki (tolerancja +/- 40%), co ma odpowiadać dla 1945 r. wielkość 266 Bq/300 gramów próbki,
- poziom neutronów – 10 E 18n/cm

Dla większości Czytelników, jak również i dla mnie, powyższa analiza niewiele mówi. Poprosiłem więc o pomoc specjalistów z PAN w Krakowie. Ze strony Instytutu Fizyki Jądrowej PAN opinię naukową w tej sprawie przesłał mi doc. dr hab. Jerzy W. Mietelski – Kierownik Zakładu Fizykochemii Jądrowej oraz Pracowni Badań Skażeń Radioaktywnych Środowiska. Oto najważniejsze stwierdzenia pana docenta Mietelskiego: *„Byłbym ostrożny przy interpretacji współczesnego wyniku pomiaru stężenia kobaltu-60 jako skutku naświetlenia 60 lat temu neutronami. Aktualny wynik na poziomie 0,13 Bq/300g, a więc około 0,4 Bq/kg może wynikać z ekspozycji stali na śladowe, ale ciągłe promieniowanie kosmiczne. Jest to zjawisko dobrze znane osobom zajmującym się redukcją tła promieniowania i różnymi subtelnościami pomiarowymi. Na poziomie gruntu mamy cały czas tło neutronowe w wysokości 1 neutron na cm^2 na 100 sekund. Dawna, sprzed 60 lat ekspozycja na neutrony, powinna pozostawić znacznie wyraźniejsze ślady w postaci dużej aktywności czysto beta-promieniotwórczego niklu-63 (czas połowicznego zaniku 100 lat, a więc poprawka na rozpad byłaby liczbą rzędu 0,7 a nie rzędu tysiąca). Oprócz tego powinno się widzieć krzem-32 w samym betonie (czas połowicznego zaniku – 280 lat)"*.[8] Z powyższej opinii naukowej doc. dr J. Mietelskiego warto podkreślić, że do badań niemieckich należy podchodzić wyjątkowo ostrożnie. Szczególnie brak jest wyraźnych śladów w postaci dużej aktywności czysto beta-promieniotwórczego niklu-63, charakterystycznej dla oddziaływania neutronów. Można przyjąć, że powyższe wyniki okazały się zbyt kontrowersyjne i dlatego być może usunięte zostały na wniosek konsultanta merytorycznego.

Podczas pobytu w Ludwikowicach w sierpniu 2005 r., swoje pomiary wykonał również Gerold Schelm przy wykorzystaniu licznika Geigera. Poza naturalnym tłem promieniowania, nie stwierdził on żadnych podwyższonych wartości promieniowania. Nie ma zatem mocnych podstaw na dzisiaj, aby twierdzić, że ludwikowicki obiekt dodatkowo „naświetlano" neutronami.

Basen

Z tym basenem to muszę przyznać była trochę kuriozalna sprawa. Będąc w Ludwikowicach przeprowadziłem na ten temat rozmowy z mieszkańcami. Ponadto udało mi się dotrzeć do osób, które w latach powojennych często bywały na terenie ludwikowickiego okrąglaka. Zaskoczony byłem spójnością opisu basenu, który nieco odbiega od podanego w książce Igora Witkowskiego. Pani Jadwiga L. z Ludwikowic pamięta, że dolna część budowli była swego rodzaju zbiornikiem wodnym. W czasach gdy zbiornik napełnił się wodą, widać było jeszcze wystające z dna zbiornika, ponad powierzchnię wody, paliki betonowe. Owe paliki dobrze pamięta, bowiem utrudniały one pływanie i próbowano nawet je niszczyć przy użyciu młotów. Również Pan Franciszek P. z Jugowa (pracował w elektrowni Miłków) potwierdził fakt wystających palików betonowych z wody. Twierdzi, że były one ustawione w kilku rzędach – co najmniej w pięciu. Z kolei Pan Marek T. z Warszawy nadesłał mi ciekawe uwagi z pobytu w Ludwikowicach w latach 1947-48. Oto jak Pan Marek wspomina ów basen: *„(...) pamiętam, że za elektrownią znajdował się szkielet nieskończonej budowli żelbetowej w kształcie wpuszczonego w grunt betonowego zbiornika, z którego dna sterczały do poziomu gruntu pionowe, betonowe sterczyny – słupki. Nikt wówczas nie znał*

przeznaczenia tej budowli. W zbiorniku poniżej poziomu gruntu gromadziła się i zalegała stale woda. Podobno co niektóre osoby odważały się w nim kąpać. Woda, raczej deszczowa była koloru głęboko zielonego. Ale mogły to też być zwykłe, zakwitłe glony na powierzchni betonu. Taca poniżej gruntu mogła być tacą przejmującą spust lub zabezpieczającą przed przepełnieniem. Wystające ze zbiornika słupki mogły np. podpierać dno innego stalowego zbiornika, który mógł być urządzony wewnątrz żelbetowego szkieletu".

Całkowite novum w tej sprawie stanowią wystające w kilku rzędach słupki betonowe o wysokości sięgającej poziomu gruntu. Ba, ale co to miało być? W pierwszej kolejności postanowiłem zwrócić się do kogoś, kto zajmuje się „archeologią przemysłową". Takim pasjonatem u nas w kraju jest m.in. Pan Michał Banaś – geolog z PAN w Krakowie.

Niezależnie od swojej pracy zawodowej utrwala na zdjęciach ginące na naszych oczach zabytkowe obiekty przemysłowe. Wysłałem więc do Pana Michała powyższe opisy z prośbą by sprawdził, czy w swojej bogatej kolekcji zdjęć nie posiada obiektu z dolnym zbiornikiem, z rzędami słupków betonowych nie sugerując mu, że interesuje mnie coś w rodzaju wieży chłodniczej. Ku mojemu zaskoczeniu, już po paru dniach w mojej skrzynce poczty elektronicznej znalazł się mail od Pana Michała Banasia i zdjęcia obiektów z Zabrza.

Otrzymałem więc dowód koronny całkowicie odpowiadający opisowi „basenu" z Ludwikowic. Oto zdjęcia ze zbiorów Michała Banasia.

Pan Michał pisze, że na zdjęciach widać pierwsze dwa etapy chłodni kominowej. W prawej części zdjęcia widzimy wybudowany tylko zbiornik dolny, zaś z lewej strony, inny wznoszony obiekt, ale ze zbiornikiem i żelbetową konstrukcją szkieletową opartą na 8 filarach. Znakomicie widać słupki betonowe wewnątrz dolnego zbiornika, o których wspominali moi rozmówcy. Tak samo jak w Ludwikowicach, konstrukcja na filarach znajduje się wewnątrz dolnego zbiornika, szerszego niż rozstaw filarów. Również na pierścieniu żelbetowym znajdują się te same mocowania stalowe itd. Muszę przyznać, że powyższe zdjęcie powaliły mnie z nóg! Razem z raportem Schelma oraz zeznaniami świadków i kontrowersyjnymi wynikami pomiarów promieniowania, trudno mi uwierzyć, że jest już udowodnione, (a tak twierdzi p. Witkowski), że obiekt w Ludwikowicach nie był żadną chłodnią kominową. Jak dotychczas, nic nie potwierdza argumentów p. Witkowskiego. Nie przekonuje mnie również teza, że przy średnicy basenu 40 m osłona powinna być o wysokości 20-30 piętrowego budynku (czyli 60-90 m). Przecież to nie basen, ale filary połączone pierścieniem żelbetowym o średnicy 30 m mają udźwignąć ciężar osłony chłodni co dobrze widać na powyższym zdjęciu. Proszę pamiętać, że największa żelbetowa chłodnia kominowa w Polsce posiada średnicę podstawy 105,5 m i wysokość 132 m (proporcja 1:1,3 gdy Igor Witkowski próbuje zasugerować, że ta proporcja powinna wynosić 1:2 lub 1:3). Pisanie, że obiekt w Ludwikowicach jest już budowlą skończoną, to kolejny dowód pomijania tak istotnego faktu o wybudowaniu filarów o niezwykle gęstym i o wyjątkowo dużej średnicy zbrojenia. To co te potężne filary żelbetowe (nie betonowe!) miały dźwigać? Powietrze?

Zdjęcie lotnicze

Na zakończenie powrócę do zdjęć lotniczych terenu wokół Ludwikowic. Jedno ze zdjęć, starsze, prezentuje p. Witkowski w swojej książce *„Prawda o Wunderwaffe"* (drugie dostępne jest m.in. w internecie). Na obu fotografiach widoczna jest okrągła budowla. Pan Witkowski podaje, że zdjęcie z jego książki pochodzi z jesieni 1944 r. i na nim po raz pierwszy pojawiła się tajemnicza pierścieniowa konstrukcja. Nie wiem jak można sprawdzić datę zdjęcia, ale w zamian proponuję Czytelnikom coś innego. Poniżej prezentuję skan części mapy z... 1942 r.! Mapa w oryginale o wielkości czterech stron formatu A3 znajduje się w Archiwum Państwowym we Wrocławiu.[9] Dla potrzeb niniejszego artykułu zamieszczam legendę mapy oraz fragment z tajemniczą pierścieniową budowlą.

Mapa: Bauleitung Ludwigsdorf – Dynamit Aktien Gesellschaft vormals Alfred Nobel & Co (Kierownictwo Budowy Ludwikowice – Dynamit AG dawniej Nobel).

Na mapie, pochodzącej z listopada 1942 r. zaznaczone są obiekty do budowy, planowane oraz istniejące. Nasza budowla nie posiada żadnego numeru przypisanego obiektom AG Dynamit. Obiekty planowane do budowy w terminie późniejszym oznaczone są linią przerywaną. Może to sugerować, że sporny obiekt – narysowany cienką linią – pod koniec 1942 r. był już wybudowany! Jest to wielce prawdopodobne.

I jeszcze jedna refleksja odnośnie zdjęć. Nie wiem czemu ma służyć prezentowanie dla celów po-

równawczych zdjęcia miejsca testowania helikopterów przez WSK PZL. Jest to obiekt, przede wszystkim z płytą betonową, a dolna część w żaden sposób nie przypomina ludwikowickiego zbiornika. Ponadto jest to obiekt zdecydowanie mniejszy oraz o lekkiej konstrukcji stalowej, co widać na poniższym zdjęciu.

Moje spotkanie z ludwikowickim obiektem dobiega końca. Żadnym swym argumentem nie przekonał mnie Pan Igor Witkowski, że udowodnione jest, jakoby ludwikowicka budowla nie była chłodnią kominową. Po prostu nic nie zostało udowodnione. Nawet to, że miało tu być testowane urządzenie badawcze szczególnego rodzaju. Natomiast pojawiły się nowe szczegóły odnośnie niewidocznej dzisiaj dolnej części żelbetowej konstrukcji, które dowodzą, że bliżej nam do chłodni kominowej niż mitycznej „muchołapki". ❑

Zdjęcia: Autor, Michał Banaś. Zdjęcie klatki z „Sokołem" pochodzi z artykułu *„Jak Sokół uczył się latać"* autorstwa Budniaka K., Sałaty D., Sałaty K. i Wrony A. [w:] *„Aeroplan"* nr 5/6 z 2004 r.

Autor składa szczególne serdeczne podziękowania: doc. dr J. Mietelskiemu i Michałowi Banasiowi z PAN w Krakowie oraz Markowi Tomaszewskiemu

Przypisy:

[1] Witkowski I. *„Prawda o Wunderwaffe"*, wyd. WIS Warszawa 2005 (str.252-256, 261, 274)

[2] *„Wywiad z Igorem Witkowskim"* – www.poszukiwania.pl

[3] Die Bell von Wikipedia die freie Enzyklopädie

[4] Karlsch R. *„Atomowa bomba Hitlera"* Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 2006, str.181 wraz z przypisem Witkowski I. *„Truth about the Wunderwaffe"* Rarnborough 2005, str.217 i inne

[5] Karlsch R. *„Hitlers Atombombe"*, München 2005, str. 199

[6] Mietelski J.M.– mail z 13.X.2006 r. – archiwum autora

[7] *„PPT we Wrocławiu"* – teczka nr 34, str. 14 – ksero z archiwum autora

internet:

1. www.americanantigravity.com/documents/The-Henge
2. www.americanantigravity.com/documents/The-Nazi-Bell

Dziennik moich tajemnic (cz. 2)

Zatopione armaty

RYSZARD WÓJCIK

Usłyszałem tę historię z ust Mariana Jakubika w latach 70., niejako „po drodze" do innego tematu, który mnie do zamku w Liwie prowadził. Intrygująca była i pozostaje nadal sama historia ocalenia warowni pod rządem hitlerowskiego starosty powiatu sokołowsko-węgrowskiego Ernesta Gramssa, który kazał średniowieczny zabytek rozebrać, a cegłę z rozbiórki zamierzał użyć do budowy... krematoriów w niedalekiej Treblince.

Nie dość, że burzenia zaprzestał, to za namową niejakiego Warpechowskiego, przystąpił do odbudowy... zamku. Uwierzył samozwańczemu „archeologowi", że budowla jest dziełem krzyżackim, cenną pamiątką cywilizacyjnego pochodu Germanów na Wschód... Do dzisiaj zbieram materiały, rejestruję kamerą relację świadków tego świętego szalbierstwa, gromadzę okruchy faktów, które dramat szalonego ratownika, ale i jego niezwykłą postać pełniej zarysowują.

Marian Jakubik, ówczesny kustosz Muzeum Zbrojowni w Liwie, uczestnik i organizator powojennej rekonstrukcji zamku, już przez samo to jedno odezwanie się *„Otto Warpechowski zginął w dniu 5 lutego 1945 roku, a ja w tym dniu akurat, tylko że w 1926 roku, na świat przyszedłem... więc mam pewność, że Opatrzność postawiła mnie na jego miejscu i dzieło jego prowadzić muszę"*, stał się dla mnie fascynującym przewodnikiem, postacią z pogranicza jawy i urojenia. Musiałem przecież sam sprawdzić, czy aby na pewno tenże Jakubik odnalazł w Brzozowie ciotkę Ottona Warpechowskiego, która wskazała mu miejsce ukrycia bezcennych obrazów, jakie pod jej opieką przenosił potajemnie z zamku szaleniec Otto – obecnie cenne obrazy oglądać można w Zbrojowni... *„Pękł mi łańcuch w motocyklu, kiedy mijałem zagrodę Pieniakowej, musiałem u niej poszukać narzędzi do naprawy, choćby młotka do zaklepania ogniwa. Rozmawiając z gospodynią kiedy już wiedziała, że pilnuję zamku, nagle usłyszałem: »Otto, mój siostrzeniec, do mnie obrazy wynosił, tutaj je ukrywał, gdy Niemcy go ścigali, bo ich okłamywał. Nie wierzy Pan? To zaraz tam jedziemy, świadkowie żyją i pokażę strych i ścianę podwójną w stodole, gdzie płótna były chowane...«"*.

One tam leżą głęboko

Chodząc z panem Marianem naokoło zamku, oglądając szczerby i łaty w murach, te pamiętające kreislandera Gramsaa i te już powojenne z 1957 roku staraniem konserwatorów przywracające warowni kształt dawny, słuchałem opowieści o wojnach ze Szwedami, którzy dwukrotnie, w 1657 i w 1703 zamek zdobywali, pustoszyli okolicę, a zdobyte łupy wywozili. – *Próbowali też wywieźć armaty, ale w pośpiechu, odstępując pod naporem partyzantki chłopskiej zwanej rabarzami, tak się stłoczyli na długim moście, że most runął ciągnąc w bagno zaprzęgi i armaty i one tam gdzieś leżą głęboko* – stwierdził Marian Jakubik. Nie muszę się rozwodzić jak bardzo mnie ta opowieść wzburzyła, tym bardziej, że akurat w 1977 roku, latem, na kilka miesięcy przed wyprawą do Liwia, wziąłem po raz pierwszy do ręki wykrywacz metalu, sprzęt saperski, jakim posługiwał się Maciej Wojewoda poszukujący zardzewiałych skarbów na polu największej bitwy Września 1939 r. – nad rzeką Bzurą. Teraz kiedy

to piszę, doświadczenia tamtych poszukiwań zebrane przeze mnie w książce *„Kurz, krew, pamięć"* nareszcie dzielić mogę z Czytelnikami „Odkrywcy", utwierdzając siebie samego w przekonaniu, że nie jest nadaremnym praca amatorów poszukiwaczy, tropicieli śladu historii, że sprawa nasza jest święta.

Dwanaście armat polskich z XVI i XVII wieku – tyle ich ponoć było w Liwie – drzemie gdzieś na czterokilometrowej linii dawnej drogi pomiędzy Węgrowem i Liwiem, w trzewiach prawie osuszonych mokradeł. Turystyczny przewodnik autorstwa M. Jakubika mówi, że zamek liwski, choć był warownią niewielką, ale bronioną przez bagna i rozlewiska, dobrze ufortyfikowany na sztucznie utworzonym wzniesieniu, pełnił rolę stanicy na ważnym trakcie łączącym stolicę Korony czyli Kraków ze stolicą Litwy – Wilnem. Bywały tu zajazdem orszaki królewskie i wielkopańskie. Żywot Liwia był bezpieczny aż do 1657 roku, gdy zaatakowali go Szwedzi. Zaciekłą obronę przełamały jednak silniejsze szwedzkie armaty i zmusiły załogę do kapitulacji. W latach jakie potem dla Rzeczpospolitej nastały, zamek liwski już do dawnej świetności nie wrócił, z ruin się nie podniósł. Gdy w 1703 roku ponownie wojska szwedzkie zajęły miasto Liw, obrońcy zamku podjęli nierówny pojedynek: nie mieli takiej siły ogniowej jak ich przeciwnicy z 1657 roku, ciężkie kolubryny podtaczali Szwedzi prawie pod same mury twierdzy i dzień po dniu kruszyli je skutecznie, aż zamek zajęli. Nagle jednak zmuszeni zostali do odwrotu! W pośpiechu poczęli wywozić zagrabiony dobytek i zabrali 12 armat jakie w zamku zdobyli, a były tam działa fundowane przez biskupów płockich, miały swoje imiona i pewnie w archiwach szwedzkich znaleźć by można ich ślad gdyby... gdyby nie utonęły. Most drewniany na Liwcu nie wytrzymał ciężaru zaprzęgów, konwój z armatami zwalił się w bagno na odcinku, gdzie dzisiaj droga wiedzie ku wsi Krypy... Kroniki podają jedynie, że napierał na Szwedów oddział „chłopskiego pospólstwa", a zwano ich wówczas „rabarzami". Kto nimi dowodził? Nie wiadomo. Oni to jednak sprawili, że z czasów „Potopu" mamy gdzieś w liwskich mokradłach (mocno teraz wysuszonych) owe smukłe cenne falkony, grubolufe kartauny, jeszcze cięższe kolubryny...

Mamy dzisiaj w Muzeum Wojska tylko jedno polskie działo z tamtej epoki, z niekompletnym łożem, wydobyte z Wisły podczas budowy mostu Poniatowskiege w Warszawie. Liwskie armaty mogą mieć dobrze zachowane łoża bowiem bagno dobrze konserwuje drewno, możliwe jest odnalezienie wozów i zaprzęgów, udowodniły to bowiem wykopaliska prof. Igora Swiesznikowa z Kijowa, który na polach bitwy pod Beresteczkiem odnalazł dobrze zachowane resztki zatopionego taboru płk Iwana Bohuna, postaci skądinąd znanej (przetworzonej) z barwnych opisów w „Ogniem i mieczem". Filmowałem te wykopaliska podczas wystawy w Radomiu w 1991 roku, patrząc na doskonale zachowane skórzane pasy, sakiewki, buty Kozaków a także ich strzelby z drewnianymi kolbami, drewniane części instrumentów...

Wieść gminna niesie...

To miejsce, gdzie stał niegdyś długi drewniany pomost (zapewne burzony wielekroć w czasie wojen, odbudowywany, ale... czy aby w tym samym miejscu?) – wypada z lewej strony nasypu, którym biegnie szosa na Krypy, a teren ten nie jest już podmokły bo melioracje zrobiły swoje. Topograficznie rzecz się komplikuje. Jeszcze nie tak dawno żyli ludzie, którzy z przekazu ustnego mogli wskazać dokładnie miejsce, gdzie pomost się zawalił, były tam ponoć resztki pali. Pan Jakubik odebrał pisaną relację Bronisława Siwińskiego, której odbitkę prezentuję, mieszkańca Woli Korytnickiej, a potwierdził ją potem nauczyciel Gołębiowski, która jest świadectwem wersji niegdyś w okolicy znanej.

Muzeum Wojska jeszcze przed moim przybyciem do Liwia otrzymało raport tyczący tej sprawy, ale Marian Jakubik realnej pomocy nie otrzymał, bo jak sam stwierdził w rozmowie ze mną, niepotrzebnie rozgłosił, iż wspomagała go znana radiestetka Anna W., która różdżką namierzyła „trzy miejsca dające silny sygnał" i co ciekawe, punkty pomiaru układały się w linię. Linię równoległą do dzisiejszej drogi oddalonej od niej tylko nieznacznie. Czcigodni historycy z Muzeum Wojska nie zaryzykowali współpracy z różdżkarzami.

Marian Jakubik zaryzykował. Poprosił o pomoc komendanta pobliskiej jednostki wojskowej, który niby to „w ramach ćwiczeń" skierował ekipę saperów na wskazane miejsce, wspomagając żołnierzy koparką. Na głębokości prawie 3 metrów koparka zaczepiła o coś twardego... To „coś" miało kształt podłużny, ale... wykop już wypełnił się wodą i maszyna musiała odstępować szukając twardego podłoża. Ugrzęzła. Saperzy tykami „szpilowali" torfiastą pulpę, trafiali na twardy opór, ale nie potrafili założyć pętli na ten zagadkowy „obiekt". Skapitulowali. Koparkę ponoć trzeba było wywlekać z pomocą dwóch traktorów. – *Postanowiliśmy z komendantem, że wrócimy tu podczas mroźnej zimy. Będziemy odkuwać plastrami zamarznięty grunt aż dojdziemy do armaty. Bo ja wierzę, że ona tam jest.* Odwiedziłem Mariana Jakubika po raz kolejny, tym razem z dwoma wytrawnymi poszukiwaczami skarbów – Leszkiem Wilgatem, bardzo już zasłużonym znalazcą cennych militariów znad Bzury i Henrykiem Smętkowskim, znanym już wtedy konstruktorze wykrywacza metali. Jakubik chodził wtedy z nami po łące, wskazywał miejsca różdżką wyznaczone. Ślad po zasypanym przed dziesięciu laty wykopie był wciąż widoczny. Opowiadał, że kolejne zimy nie sprzyjały kopaniu, nikt nie spieszył mu z pomocą. Nasze wykrywacze metalu popiskiwały jak szalone. Wystarczyło trochę pokopać, a zaraz objawiała się przyczyna – rudy darniowej jest tam dostatek. Nie mieliśmy anteny czułej na „kolor", armaty odlewano nie z żelaza. Nie było z nami „georadarowców", ci pojawili się w Polsce dziesięć lat później, o kamerach na podczerwień tylko mówiono...

Pięć lat temu w „Gazecie Wyborczej" pojawiło się doniesienie Piotra Mergo, który przypomina (*„Znasz-li ten Liw?"*) legendę o zatopionych armatach: *„Prowadzone w 1992 roku przez fachowców z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN badania, potwierdziły zaleganie metalowych przedmiotów pod łąką, gdzie kopano przed laty".* Przeczytałem w zdumieniu – nie ma bowiem już ani słowa więcej konkluzji co się działo dalej lub dziać będzie!

Wciąż tajemnica

Pokazałem gazetę kompanionom ze Stowarzyszenia Poszukiwaczy Zabytków, tzn. Michałowi Łosiakowi, dr Jackowi Przeniosło (archeolog), Bronkowi Bartosiewiczowi – wszak to oni ze mną dzielili trudy i nadzieje poszukiwań tak zwanych głębokich lochów pod zamkiem w Pasłęku, gdzie ukrywa się hipotetycznie kolekcja broni Ericha Kocha (Ryszard Wójcik *„Lochy Pasłęka"* wyd. A. Zasieczny 2000), podczas trwających przez osiem miesięcy szturmów, bez georadarów i podczerwieni, ale z użyciem wypróbowanej aparatury sejsmicznej i elektrooporowej. Byłem pewien, że tajemnica liwskich armat poderwie ten szturmowy oddział do ataku. I rzeczywiście – kompani ruszyli do boju... ale beze mnie. Tak im jakoś dziwnie wypadło, że bojowa ekipa akurat tego dnia musiała jechać pod zamek w Liwiu kiedy mnie podobno nie było w Nowej Wsi. Z relacji Michała Łosiaka wiem, że dokopano się do dużego długiego głazu, który mógł uchodzić za lufę działa, że znaleziono kulę armatnią i parę kul muszkietowych, a także trafił się jakiś kawałek mocno zetlałego drewna... „coś niby resztka pala". Hej.

Do dzisiaj przechowuję szkic jaki dla mnie sporządził Michał Łosiak, pocieszając się, że tam gdzie ta kreska przecina się z tym kółeczkiem, trochę w lewo od linii szosy, może warto będzie jeszcze szukać... Podaję więc tę historię pod rozwagę zespołowi redakcyjnemu „Odkrywcy". Poszukajmy tych armat razem. Może i Stowarzyszenie Poszukiwaczy Zabytków z Jaktorowa do nas dołączy? Gra jest warta niejednej świeczki. ❑

Zdjęcie, dok.: arch. Autora

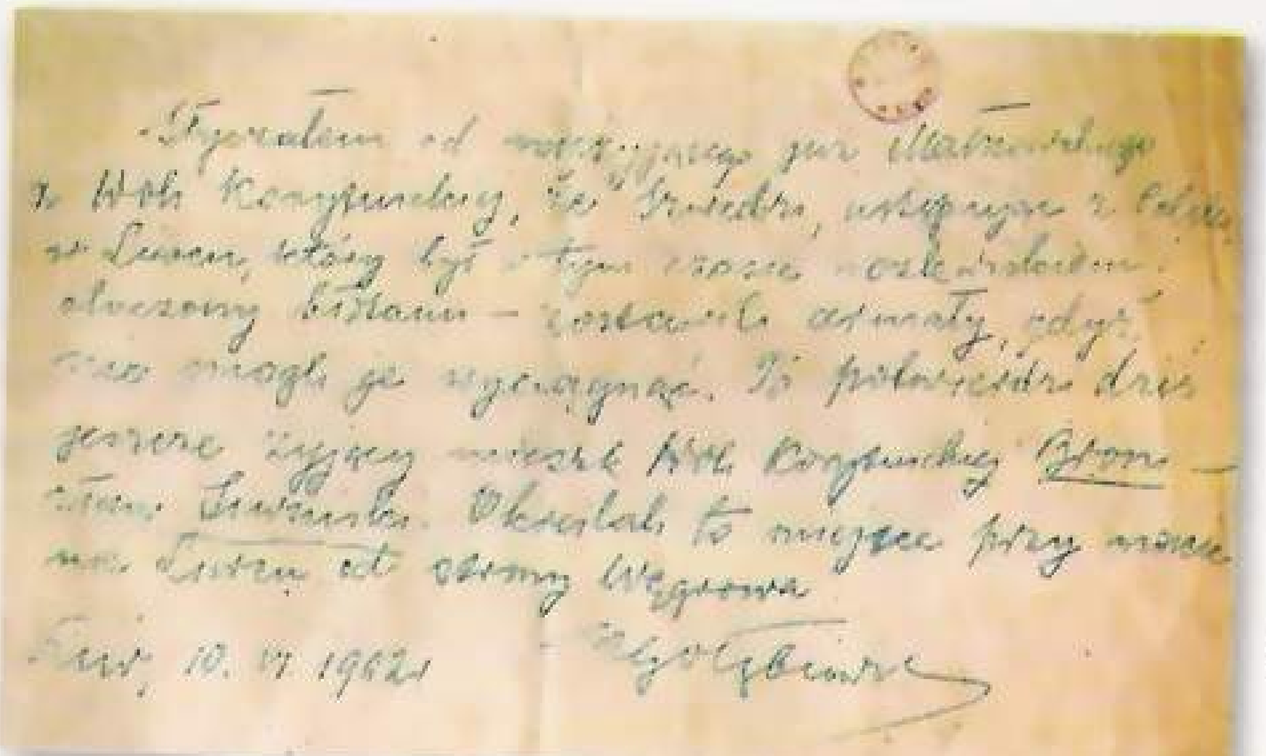
Słyszałem od [illegible] już [illegible] z Woli Korytnickiej, że Szwedzi, ustępując z [illegible] w Liwcu, który był w tym czasie [illegible] otoczony błotami – zostawili armaty, gdyż nie mogli ich wyciągnąć. To potwierdza dziś jeszcze żyjący mieszkaniec Woli Korytnickiej Bronisław Siwiński. Określił to miejsce przy moście na Liwcu od strony Węgrowa.
Liw, 10. VI. 1962 r.
Gołębiowski

Heeres – Nebenmunitionsanstalt Lissa, czyli kolejny obiekt militarny w południowej Wielkopolsce

Zapomniane magazyny amunicji

JERZY BOGDANOWICZ

Materiał ten jest, w pewnym sensie, kontynuacją artykułu zamieszczonego w „Odkrywcy", nr 3/2006, którego fragment zacytuję zamiast wstępu: *„Na terenie wsi Gronowo istniał w okresie okupacji, przeznaczony początkowo dla szeregowców, a następnie dla oficerów armii zachodnich, obóz jeniecki. Drugim obiektem, leżącym już na terenach pobliskiego Gronówka, były magazyny zdobycznej amunicji (Heeres – Nebenmunitionsanstalt Lissa). Obiekty te były, przynajmniej w początkowym okresie swojego istnienia, ściśle ze sobą związane (...)".*

Nie zachowały się żadne materiały archiwalne, nie ma map, planów czy dokumentów opisowych. W prasie i wydawnictwach lokalnych zamieszczano jedynie niewielkie, najczęściej ogólnikowe wzmianki. Jedynym źródłem wiarygodnej informacji są rozmowy, które przeprowadziłem z dwoma byłymi pracownikami magazynów i ówczesnymi mieszkańcami Gronowa oraz nieliczne, zachowane przez nich dokumenty.

Budowa fabryki

Budowę obiektu rozpoczęła, późną jesienią 1939 roku, firma budowlana „Polentzki – Zelner" z Drezna. Kierownikiem firmy był Johan Franke, który przebywał na terenie budowy tylko okresowo. Stale na miejscu przebywał i pełnił funkcję kierownika budowy – buchalter, Niemiec rodem z Bawarii. Wygrodzony obiekt zajmował obszar około 1300×2000 metrów, na którym według niemieckich planów miała powstać fabryka amunicji z całą związaną z nią infrastrukturą. Na sąsiadujących z obiektem polach – lotnisko (lądowisko?). W pierwszym etapie robotnicy niemieccy, polscy oraz okoliczni Żydzi rozpoczęli budowę istniejącej do dzisiaj „obwodnicy", czyli betonowej drogi szerokości 6 metrów i długości ponad 4 km. Następnie, z końcem lata 1940 roku, przy pracach budowlanych zatrudniono, jako główną siłę roboczą, około 150 jeńców francuskich. Przeniesiono ich z komanda roboczego (o nieznanym numerze) znajdującego się w przejściowym obozie koło folwarku „Boża Pomoc" niedaleko Gronówka, do specjalnie zbudowanego jenieckiego obozu pracy w Gronowie. Następnie Francuzów wywieziono, a na ich miejsce sprowadzono jeńców angielskich. Około 50 z nich rozpoczęło budowę bocznej linii kolejowej prowadzącej z Grzybowa na teren fabryki. Linia ta docelowo miała dochodzić do linii kolejowej na Wolsztyn.

Pracujących na budowie jeńców pilnowało dwóch żołnierzy niemieckich. Przebiegiem prac kierowało i nadzorowało dziesięciu uzbrojonych majstrów (Vorarbeiterów). – *Pracowałem razem z angielskimi jeńcami* – wspomina pan Józef L. – *I wkrótce dogadałem się z jednym z nich, nauczycielem z Londynu znającym dobrze język niemiecki. Nazwiska niestety nie pamiętam. Dokonywaliśmy przynajmniej raz na tydzień „wymiany towarowej". W ustalonym wcześniej miejscu w lesie, zostawiałem paczkę z kartoflami gotowanymi w łupinach, cebulą i innymi warzywami, a zabierałem paczkę z papierosami i czekoladą z otrzymywanych przez jeńców paczek przysyłanych przez „Czerwony Krzyż".*

Pozostałości ziemnych obwałowań.

Naloty RAF

– Jesienią 1940 roku nad terenem Gronowa pojawiły się dwukrotnie angielskie samoloty – wspomina Józef L. – *Po raz pierwszy w niedzielne popołudnie, a następnie po okresie około tygodnia, nocą. Samoloty nie dokonywały bombardowań, były to pewnie loty zwiadowcze.* W związku z lotami RAF-u podjęto decyzję o zaprzestaniu prac i przeniesieniu budowanej fabryki amunicji w inne miejsce, prawdopodobnie na teren poligonu wojskowego w Biedrusku. Tak przynajmniej wynikało z rozmów prowadzonych przez Niemców, (podsłuchanych przez robotnika Józefa. L oraz gońca kierownika budowy). Na poligon w Biedrusku najprawdopodobniej przeniesiono także jeńców angielskich. Prace budowlane przerwano zimą 1940/41 roku.

Ze sprawą przeniesienia budowy wiąże się ciekawa i sensacyjna historia. – *Sprawcą tego wydarzenia był chyba mój dobry znajomy Marcin W.* – wspomina pan Józef L. – *Pochodził z Gronowa i tu mieszkał do wybuchu wojny. W okresie okupacji mieszkał i pracował jako robotnik przymusowy w Berlinie i tam, jak sam mi opowiadał, po wojnie nawiązał z nim kontakt wywiad angielski, któremu przekazywał informacje zdobyte w miejscu pracy oraz podczas podróży i odwiedzin rodziny.* To najprawdopodobniej Marcin W. przekazał dane o zakrojonych na dużą skalę pracach budowlanych w Gronówku, a loty rozpoznawcze były efektem tych informacji. – *Marcin W. do końca wojny pracował w Berlinie, poznał tam młodą Niemkę, z którą po wojnie wziął ślub, następnie wrócił do Polski i zamieszkał w okolicy Głogowa. Do domu, z żoną Niemką, z oczywistych wtedy powodów wrócić nie mógł. Zmarł przed kilkunastu laty (w latach 80.).* Oczywiście fakty te nie trafiły nigdy do wiadomości publicznej i tylko dzięki wspomnieniom pana Józefa L. nie zostaną zapomniane. Szkoda tylko, że nie dowiemy się już nic więcej o życiu i działalności tego bohaterskiego Polaka.

Zmiana przeznaczenia obiektu

Teren po budowanej fabryce przeznaczono na magazyny zdobycznej amunicji, a właściwie na Pomocnicze Zakłady Amunicyjne Wojsk Lądowych (Heeres – Nebenmunitionsanstalt Lissa). Przechowywano tu zdobyczną wojskową amunicję artyleryjską (głównie francuską) i strzelecką różnych typów i kalibrów oraz różnorodny sprzęt zdobyczny. W końcowym okresie wojny, w ramach przygotowań do obrony regionu i miasta, gromadzono tu również amunicję niemiecką.

Opis obiektu

Teren magazynów otoczony był pojedynczym ogrodzeniem siatki i drutu kolczastego, którego południowy bok przylegał do istniejącej linii kolejowej Grzybowo-Wolsztyn. Do wewnątrz można się było dostać przez trzy bramy – dwie drogowe i jedną kolejową. Obiekt dzielił się na dwie zasadnicze części: warsztatowo-magazynową i magazyn amunicji. Bezpośrednio nad linią kolejową znajdowała się część warsztatowa, a w niej pięć, murowanych z cegły i pokrytych dachówką, budynków stojących w dwóch rzędach. W budynkach znajdowały się warsztaty sortowania zdobycznej amunicji i biura komendy magazynów, a następnie (prawdopodobnie od 1942 roku) również magazyny różnorodnego sprzętu. W kilku (dwóch?) budynkach, na poddaszach, nad pomieszczeniami magazynowymi, urządzono sale mieszkalne dla części robotników polskich. Były tam również toalety i umywalnie. W innej, wydzielonej siatką części, stały rowery, każdy z numerem (takim jak w legitymacji służbowej). Pomieszczenie zamykane było na klucz, którymi dysponował jeden z Polaków, wydający także rowery po zakończeniu pracy.

Na prawo od budynków wygrodzono park samochodowy. Samochody ciężarowe, osobowe, autobusy i ciągniki gąsienicowe stały w odstępach co 2-3 metry, w rzędach po 10 sztuk, przodem do wyjazdu. Wewnątrz ogrodzonego terenu zbudowano sieć dróg komunikacyjnych, wywiercono studnię głębinową, zbudowano wieżę ciśnień i wodociągi, a w rejonie budynków magazynowych – kanalizację. W małym lasku wewnątrz obiektu, przy południowej części „obwodnicy”, wybudowano podziemny magazyn paliwa (Tankstelle), chroniony przez posterunek ppoż. oraz dużą latrynę dla pracowników. Drugą latrynę zbudowano w pobliżu rampy kolejowej.

Bocznica kolejowa.

Betonowa „obwodnica” – stan obecny.

Do obiektu prowadziła, biegnąca wzdłuż południowego odcinka „obwodnicy”, boczna linia kolejowa, sięgająca szosy Gronowo-Gronówko. Linia kończyła się dwutorową bocznicą na „80 osi” (400 m). Po południowej stronie bocznicy znajdowała się rampa rozładowcza, a przy niej tymczasowy skład sprzętu. Stały tam okresowo wozy i wózki transportowe, niemieckie opancerzone ciągniki gąsienicowe i sprzęt zdobyczny rozładowywany z transportów lub czekający na załadunek. W pewnym okresie zgromadzono też dużą ilość sań długości około 10 metrów, zabudowanych skrzynią drewnianą o wysokości 0,4 metra i wyłożoną od wewnątrz pancerną blachą grubości 5 milimetrów. Sanie przeznaczone były na wschodni front.

W zewnętrznym pasie ziemi między „obwodnicą”, a ogrodzeniem stały luźno rozmieszczone, niewielkie drewniane budki magazynowe na amunicję strzelecką. Cały teren wewnątrz betonowej „obwodnicy” zajmowały okrągłe baraki z dykty, w których przechowywano skrzynie z amunicją artyleryjską. Część baraków posiadała, istniejące do chwili obecnej, ziemne obwałowania. Baraki połączone były siecią dróg i liniami kolejki wąskotorowej. Teren był odkryty, jedynie na wschodnim skraju obiektu znajdowały się małe laski sosnowe.

Fundamenty jednego z baraków warsztatowo-magazynowych.

Ochrona

Na teren magazynów można było się dostać przez trzy bramy: dwie drogowe na wylotach „obwodnicy” o betonowej nawierzchni, i jednej kolejowej. Każda miała budkę wartowniczą i chroniona była przez uzbrojonego wartownika. Ochronę zapewniali żołnierze z załogi pobliskiego obozu. Od strony zewnętrznej magazynów pilnowały, poza posterunkami przy bramach, patrole piesze. W rejonie magazynów nie było ukryć ani schronów p-lot. Komendantura składała się z trzech żołnierzy. Funkcję komendanta pełnił oficer w stopniu kapitana, pozostali to podoficer i żołnierz.

Transporty

Transporty ze zdobyczną amunicją zaczęły przybywać na przełomie 1940/1941 roku i trwały, z przerwami, do jesieni 1944 roku. Przychodziły niesystematycznie, czasem transport był co 2-3 dni, czasem dwa razy dziennie – średnio od 80 do 120 wagonów (platformy, kryte, węglarki).

Na teren magazynów, oprócz amunicji, przywożono koleją różne zdobyczne przedmioty wyposażenia pochodzące z frontu (zachodniego), jak m.in.: sprzęt saperski, kuchnie polowe, materace, rowery, wozy, narzędzia. Składowano także beczki 200 l ułożone w wielkie stosy (za torami, bliżej szosy Gronowo-Gronówko),

tysiące kanistrów 20 l, podzespoły silników samochodowych (w tym wtryski do silników Diesla), puszki ze smarami, pudełka ze środkami opatrunkowymi i apteczki. Rozładunkiem zajmowali się początkowo jeńcy z obozu (Anglicy), a następnie około 50 zatrudnionych na stałe robotników polskich. Część z nich przebywała stale na terenie obiektu, część dojeżdżała z okolicy. Nadzór sprawowali niemieccy majstrowie. Polacy pracowali, poza rozładunkiem i sortowaniem amunicji, przy rozładunku i załadunku pojazdów i innego sprzętu, klinowaniu i drutowaniu pojazdów na wagonach, sortowaniu i układaniu „towaru" w magazynach. Osobną grupę stanowiła, ciesząca się poważaniem u Niemców, brygada kierowców, licząca razem z majstrem 11 osób. – *Zajmowaliśmy się obsługą pojazdów* – wspomina pan Zenon J. – *Poza pojazdami przeznaczonymi do obsługi magazynów, także przychodzącymi koleją pojazdami zdobycznymi: samochodami ciężarowymi czy ciągnikami gąsienicowymi. Przychodziły też, prosto z fabryk, transporty autobusów, które dostarczaliśmy do Leszna (ul. Kościańska?) do warsztatów, w których zakładano tzw. „Winterbaukasten". Następnie autobusy, w kolumnach po 11 sztuk, odstawialiśmy do Poznania (chyba Biedrusko i Krzesiny...). Podlegało nam też kilka samochodów osobowych, w tym Opel „Blitz" komendanta magazynów. Tankowanie pojazdów odbywało się z cystern kolejowych lub, mniejsze ilości, z beczek, pod nadzorem posterunku ppoż.*

Po apelu – 1944 rok.

Warunki pracy

Dzień pracy rozpoczynał się o godzinie 7 rano apelem i podziałem do konkretnych prac. Śniadania i kolacje robotnicy przygotowywali we własnym zakresie, obiady początkowo wydawano w pobliskiej restauracji. W późniejszym okresie zorganizowano na terenie magazynów własną stołówkę, do której dowożono gotowe posiłki. Robotnicy używali własnych ubrań, z komendantury magazynów otrzymywali jedynie mydło do mycia.

Przy bocznicach pracowano tak długo, aż nie rozładowano (załadowano) pojazdów lub sprzętu na wagony przeznaczone do transportu (nawet w nocy). Następnie je tankowano. Gdy nie nadchodziły transporty, praca przy bocznicy i w magazynach trwała nie mniej niż 8 godzin. Nad przebiegiem prac czuwali niemieccy majstrowie. Od czasu do czasu wszyscy kontrolowani byli przez komendanta.

Przygotowania do likwidacji

W końcowym okresie wojny, w ramach przygotowań do obrony regionu i miasta, zwożono również niemiecką amunicję strzelecką i artyleryjską. Na terenie magazynów, na bocznicy kolejowej, przechowywano od jesieni 1944 roku trzy olbrzymie działa kolejowe, niemieckie lub zdobyczne. – *Dwa z nich, z początkiem zimy wywieziono, a trzecie, najprawdopodobniej uszkodzone, pozostało na terenie magazynów aż do wkroczenia wojsk radzieckich. Armata stała na bocznicy dłuższy czas i była ulubionym miejscem zabaw dzieci z Gronowa* – wspomina pan Leon B. – *Następnie przewieziono ją do Leszna (na bocznicę Zakładów Zbożowych przy ul. Przemysłowej). Podobno Rosjanie wywieźli ją do Głogowa.*

– *Któregoś dnia, pod koniec stycznia, komendant magazynów, Hauptmann, na apelu podziękował nam za pracę i powiedział, że możemy iść do domu, zabrać sobie co chcemy z rzeczy, które zostały w magazynach i pożegnał się* – wspomina ówczesny kierowca, pan Zenon J. – *Jechałem do domu jakimś ciągnikiem ale po kilkunastu kilometrach coś się popsuło i dalej szedłem pieszo.*

Niemcy nie planowali obrony magazynów. Ograniczyli się tylko do zaminowania minami ppanc. końcowego fragmentu linii kolejowej prowadzącej do magazynów oraz odcinka drogi biegnącej wzdłuż północno-wschodniego skraju wsi. Przy polnej drodze, w rejonie nieistniejącego dzisiaj domku, urządzili posterunek obserwacyjny. Linie okopów biegły dopiero na ówczesnym skraju miasta. Trzy dni przed wkroczeniem Rosjan, podpalili część składu amunicji. Pozostałe ładunki miały zostać zniszczone w barakach wewnątrz ziemnych obwałowań oraz w specjalnie wykopanych dołach, ułożone w stosy. Podobno z braku lontu, między niektórymi barakami z amunicją, w wykopanych specjalnych rowach, układano worki z prochem artyleryjskim. Była to jednak metoda mało skuteczna, gdyż wybuchy porozrzucały część worków i nie wszystkie ładunki eksplodowały.

Po zajęciu magazynów, Rosjanie kontynuowali przez jakiś czas niszczenie amunicji, wysadzając część zgromadzonych zapasów, a część zakopując lub wrzucając do znajdującego się na terenie magazynów stawu. W późniejszym czasie oczyszczeniem tych miejsc zajęli się polscy saperzy, jeszcze przez kilka lat wysadzając pozostałości zgromadzonych zapasów. Między innymi wypompowano, przy pomocy Ochotniczej Straży Pożarnej wodę ze stawu i po wydobyciu wysadzono zatopioną tu amunicję. Skutki tych eksplozji widoczne są do dzisiaj w postaci pęknięć na ścianach starych budynków. Podczas prac saperskich związanych z likwidacją składów, zginęło podobno dwóch saperów i jeden oficer. Dokładne szczegóły nie są znane, gdyż obiekt był w tym czasie pilnowany przez wojsko.

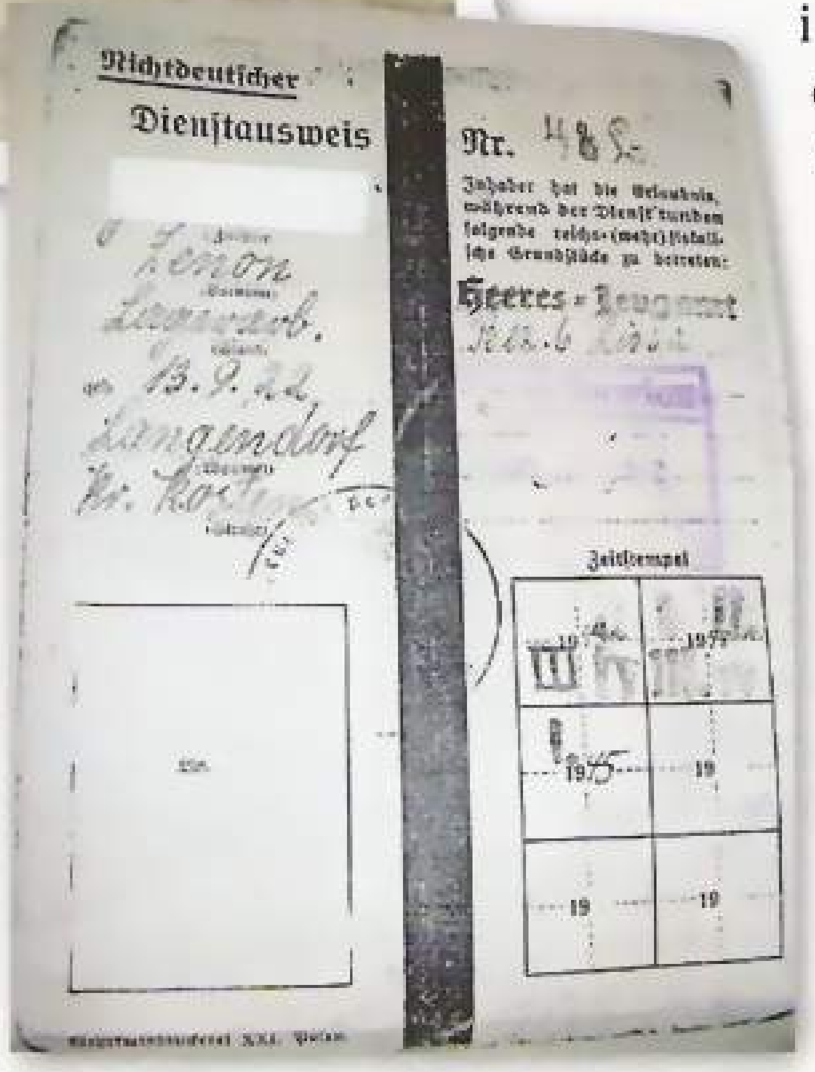

Przepustka polskiego robotnika.

Stan obecny

Niewiele zachowało się z dawnego obiektu. Po pięciu budynkach warsztatowo-magazynowych pozostały tylko fundamenty na polu ornym. Park samochodowy to też pola orne. Jedynie betonowa obwodnica istnieje nadal i to w dość dobrym stanie. Obszar magazynów amunicyjnych porasta obecnie gęsty las, zniknęła cała infrastruktura obiektu, bardzo szybko „zagospodarowana" przez okoliczną ludność. Gdzieniegdzie widoczne są jeszcze pozostałości dawnych ziemnych obwałowań. Cześć terenu po dawnej bocznicy, biegnącej w wykopach, wykorzystano na strzelnicę dla straży więziennej, a po przeciwnej stronie drogi wybudowano strzelnicę myśliwską. ❑

Zdjęcia, dokumenty pochodzą z prywatnych zbiorów Autora

Polski Cant odnaleziony

ŁUKASZ ORLICKI

Kilkusethektarowe jezioro Siemień leżące w pobliżu Parczewa do jesieni br. roku kryło w sobie zagadkę związaną z losami jedynego, najnowocześniejszego wodnosamolotu znajdującego się w dyspozycji Polskiej Marynarki Wojennej – włoskiego Canta Z-506 B.

Miejsce odnalezienia wodnopłata. Kadłub jest zagłębiony w ponad metrową warstwę błota.

Model polskiego Canta Z-506B. (z kolekcji K. Sikory). MiniReplika nr 4/99.

Historia brawurowego lotu z Monfalcone do Pucka w przeddzień wybuchu II wojny światowej oraz losy samolotu i jego załogi podczas Kampanii Obronnej 1939 roku mogą śmiało służyć za kanwę sensacyjnego filmu. Jednak historia Canta nie zakończyła się wraz z polskim wrześniem. Od kilkudziesięciu lat miejsce, w którym po raz ostatni na wodzie unosił się ogromny wodnosamolot, stanowiło magnes przyciągający pasjonatów, badaczy, historyków i poszukiwaczy pragnących dopisać ostatni wiersz w tej niesamowitej historii. Udało się to dopiero redaktorowi Adamowi Sikorskiemu.

Z Monfalcone do Pucka

W latach 30. kierownictwo Polskiej Marynarki Wojennej zdawało sobie sprawę z braku odpowiedniego ciężkiego wodnosamolotu zdolnego do wypełniania zadań bojowych na Bałtyku. W związku z brakiem ciekawych rodzimych rozwiązań, Główny Inspektorat Sił Zbrojnych rozpoczął starania o uzyskanie odpowiadających Marynarce maszyn za granicą. Po wnikliwej analizie wybrano nowoczesny bombowo-torpedowy wodnosamolot Cant Z-506B z włoskiej wytwórni „Cantieri Riuniti Dell'Adriatico" z Monfalcone, niedaleko Triestu. Ten trójsilnikowy dolnopłat o eleganckiej sylwetce, zdolny był do przenoszenia torpedy lub zamiennie ładunku bomb o masie do 1000 kg na odległość 2000 km. Uzbrojony w 3 karabiny maszynowe 12,7 mm Breda SAFAT, z których jeden obsługiwany był przez pilota, drugi umieszczono w tylnej, dolnej części kadłuba i trzeci w obrotowej wieżyce na grzbiecie samolotu, rozwijał prędkość przelotową ponad 300 km/h. Doskonale dopracowany technicznie, z wielkimi wyprofilowanymi pływakami, mógł startować na wzburzonym morzu nawet przy wysokiej, pół metrowej fali, stanowił realną siłę na Morzu Bałtyckim. Podpisany przez Polskę w lipcu 1938 roku kontrakt opiewał na dostawę sześciu maszyn (docelowo na wyposażeniu eskadr torpedowych miało znaleźć się 16 wodnosamolotów). Zapłacono z góry za całą pierwszą partię, jednak włoskie zakłady opóźniały dostawy i ostatecznie do Polski trafił tylko jeden egzemplarz, pozostałe zostały natomiast włączone już po 1940 roku do włoskiego lotnictwa morskiego.

Jedyny polski Cant pod dowództwem kpt. mar. pil. Romana Borowca po licznych przygodach dotarł do Pucka 27 sierpnia 1939 roku. Z racji ściśle przestrzeganego międzynarodowego prawa, wodnopłat lecący nad kilkoma państwami europejskimi nie mógł być uzbrojony. Dopiero po przylocie planowano zainstalowanie w nim karabinów maszynowych używanych w polskim lotnictwie. Problem stanowiły również wyrzutniki bombowe wraz ze zwalniaczami podwieszanych pod kadłubem torped. Docelowo miały być one wyprodukowane w Lublinie w zakładach inżyniera Świąteckiego, który zajął się ich opracowaniem. Bezbronny, pozbawiony amunicji do włoskich km-ów, bomb i torped Cant, kilka dni po przylocie z Włoch do bazy Marynarki Wojennej w Pucku, został zaskoczony wybuchem wojny. Udało mu się jednak uniknąć niemieckich ataków i schronić na Helu, gdzie ewakuowano wszystkie polskie wodnosamoloty z Pucka. Wkrótce po tym, dowództwo podjęło decyzję o wycofaniu jedynego tej klasy wodnosamolotu w głąb kraju i skierowaniu go w pobliże lubelskiej wytwórni, gdzie można było zamontować na nim polskie wyrzutniki bomb. Cant wystartował o świcie w kierunku Twierdzy Modlin, gdzie na Wiśle miał zostać zaopatrzony w paliwo, nie uzupełnione od czasu startu z Monfalcone. Niemieckie bombardowania i wojenna zawierucha uniemożliwiły załodze wykonanie tego planu, a lot kontynuowano w górę Wisły. Na resztkach paliwa, w dramatycznych okolicznościach kpt. Borowiec „posadził" maszynę między łachami mielizny, 2 km od wsi Świeże Górne koło Kozienic. Pomysłowo ściągnięte przez nawigatora por. mar. Wilkanowicza, z bazy wojskowej w Dęblinie paliwo, pozwoliło na start w kierunku miejsca docelowego – awaryjnego lądowiska na jeziorze Siemień, w pobliżu Parczewa. Staw należał do majątku hrabiego Czarnkowskiego, a dogodne połączenie z Lublinem mogło

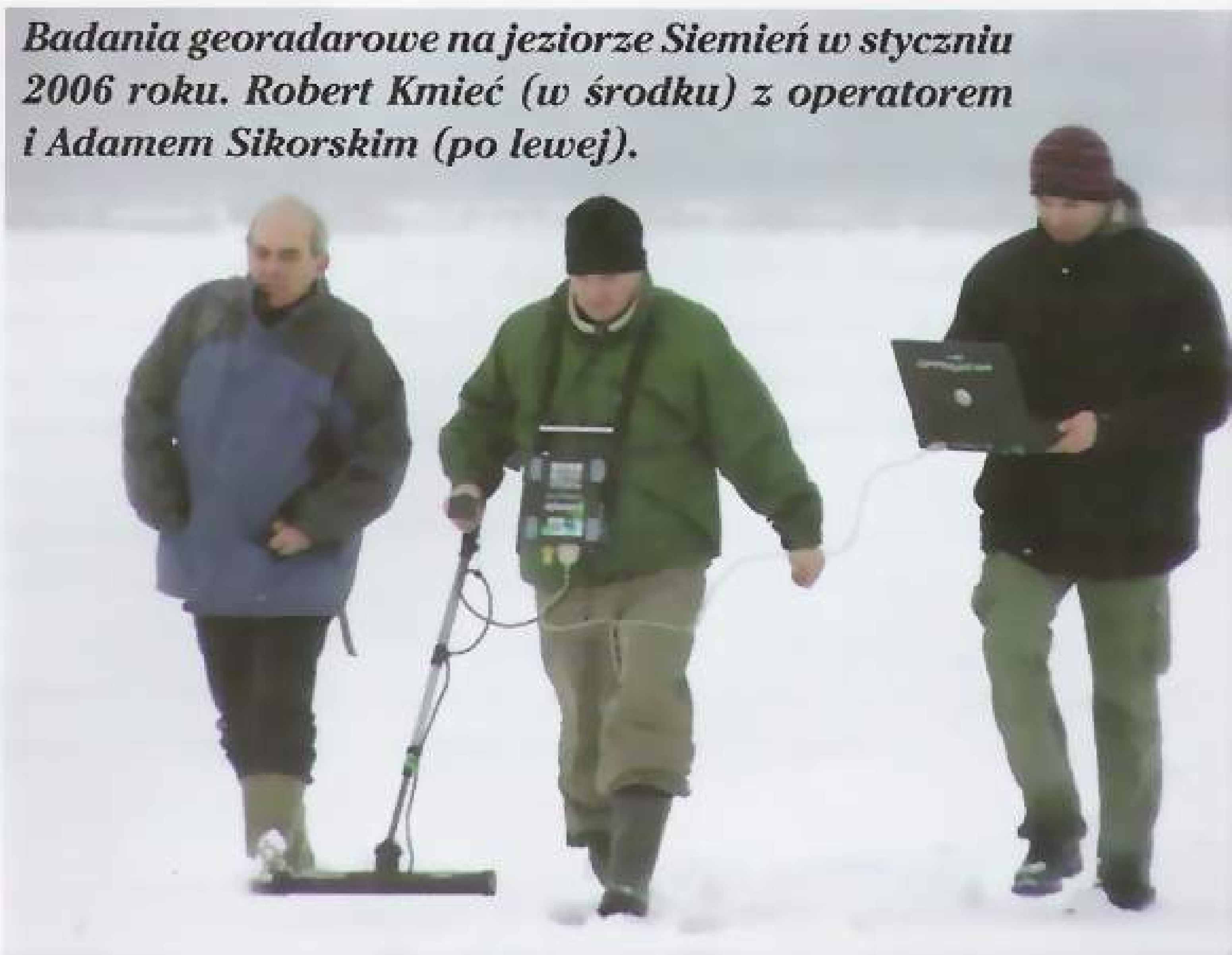

Badania georadarowe na jeziorze Siemień w styczniu 2006 roku. Robert Kmieć (w środku) z operatorem i Adamem Sikorskim (po lewej).

pomóc w przetransportowaniu potrzebnych urządzeń. 6 września przy pięknej słonecznej pogodzie można było zobaczyć niecodzienny w tamtych stronach widok. Na zawsze pozostał on w pamięci żyjącego do dzisiaj bratanka hrabiego, mecenasa Mieczysława Bielskiego: *„Było ustalone, że hydroplan przepłynie w pobliżu wyspy do takiego atolu trzcinowego między tzw. Sroczym Grądkiem a Zielonym Grądem. Widziałem jak nadleciał. W momencie kiedy pływakami dotknął do wody zrobiła się za nim wspaniała różnokolorowa chmura tęczy z której wypłynął jak piękny srebrny ptak"*. Samolot odholowano w kierunku wysepek, a załoga korzystając przez kilka dni z gościny hrabiego, próbowała bezskutecznie skontaktować się z wytwórnią inż. Świąteckiego, która spłonęła już po pierwszych lotniczych atakach na Lublin. Pechowo jezioro znalazło się na trasie niemieckich wypraw bombowych, mimo maskowania wodnosamolotu doszło do rozpoznania i zidentyfikowania Canta. 9 września w godzinach *„11.20-14.06 dziewięć He 111H z 4 Staffel (...) udało się w rejon Radzynia. Zbombardowano drogę i las wokół miasta. Załogi zauważyły polski wodnosamolot na jeziorze Siemień"*.[1] Trzy dni później nad jeziorem rozpętało się piekło. 11 września *„około godz. 6.30 Na jeziorze Siemień He 111 uszkodził polskiego Canta Z. 506B z MDL- u. Godzinę później pokazał się kolejny Heinkel. Tym razem polski wodnosamolot nie miał żadnych szans. Maszynę odkryła załoga z II Gruppe, ale ostatecznie nie wiadomo, kto ją zniszczył (...)"*.[2]

Red. A. Sikorski podczas segregacji znalezisk na brzegu.

Jeden z czterech pojemników z fragmentami Canta przekazanymi przez Adama Sikorskiego do Muzeum Lotnictwa w Krakowie.

Jak opowiadał mecenas Bielski samolot był atakowany dwukrotnie, najpierw podziurawiono mu z karabinów maszynowych pływaki i maszyna osiadła częściowo na dnie. W trakcie drugiego ataku nastąpiła silna eksplozja, a nad jeziorem uniosła się wielka chmura dymu. Jedyny polski Cant spłonął niemal doszczętnie, zapadając się w wodę, która miała w tym miejscu około 3 metrów głębokości, przez co mierząca prawie 8 metrów wysokości konstrukcja ciężkiego ośmiotonowego wodnopłata wystawała ponad taflę wody. Pozbawiona swego powietrznego statku załoga podążyła zatłoczonymi uciekinierami drogami w kierunku Pińska. Wojenne ścieżki zaprowadziły kpt. R. Borowca i jego dzielnych współtowarzyszy do Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" gen. F. Kleeberga. Swój szlak bojowy zakończyli po bitwie pod Kockiem trafiając do niemieckiej niewoli.

Poszukiwania

Jezioro Siemień powstało jako sztuczne rozlewisko rzeki Tyśmienicy pod koniec XVI wieku, kiedy groblę na rzece usypali schwytani przez wojska koronne jeńcy tatarscy. Ten duży kilkusethektarowy zbiornik wodny zmienił się od czasów II wojny światowej, w latach 60. wybudowana zapora spowodowała powiększenie jego obszaru, zmieniając w dużym stopniu linię brzegową. Trudno powiedzieć przez jaki okres czasu nad taflą wody sterczał szkielet trzysilnikowego wodnosamolotu. Okoliczna ludność szybko rozpoczęła akcję pozyskiwania poszczególnych części, które rozpoczęły swoje drugie życie pod strzechami gospodarstw. Wyrywano ocalałe fragmenty poszycia i odporniejszy na działanie temperatury metal. Szybko zniknęły pływaki, znakomicie nadające się na ... świńskie koryta. Jednak spora część wraku znajdująca się pod wodą ocalała, rozpoczął się powolny proces zagłębiania się kadłuba w muliste dno. Po przebudowaniu zbiornika wodnego nikt już nie był w stanie dokładnie określić położenia szczątków i znajdujących się tam pozostałych, ocalałych części.

Kilkadziesiąt lat później historia Canta stała się już legendą, znajdującą odbicie zarówno w opowieściach miejscowych, jak i różnego rodzaju publikacjach, dla których jego tajemnicze losy stawały się coraz częściej podstawą do przypisywania mu fikcyjnych działań. Pierwszą osobą, która dotarła do niepublikowanych relacji i wiarygodnych dokumentów stał się prof. Andrzej Olejko z Uniwersytetu Rzeszowskiego (współpracujący z „Odkrywcą" już od wielu lat), który zamieścił wyniki swoich badań w książce pt. *„Polski Cant"*. W trakcie pracy nad tą fascynującą sprawą dotarł on do kilku części spalonego Canta m.in. fragmentu poszycia, które znalazło się w rękach jednego z mieszkańców okolic jeziora Siemień. Obecnie znajduje się ono w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni. Jednak próby ustalenia dokładnego miejsca położenia szczątków, podejmowane przez wielu badaczy zafascynowanych tym tematem, spełzały na niczym. Wydawało się, że tajemnica największego wodnosamolotu służącego w polskim lotnictwie morskim pozostanie na zawsze pogrążona w toni jeziora...

Od kilku lat za sprawą redaktora Adama Sikorskiego z Lubelskiego Oddziału Telewizji Polskiej, autora znanego programu *„Było nie minęło"*, rozpoczął się kolejny etap poszukiwań wraku, do którego wprzęgnięto najnowsze zdobycze techniki. – *Sprawą Canta fascynowałem się już od lat 80. lecz do próby użycia nowszych technik poszukiwawczych skusił nas mój starszy telewizyjny kolega red. Tadeusz Chwałczyk od lat 50. zajmujący się historią lotnictwa, który pierwszy dotarł do mecenasa Bielskiego* (świadka lądowania i spalenia Canta – przyp. red.). *Jednak obszar jeziora Siemień jest potwornie duży. Mimo tego, że mieliśmy dane lokalizacyjne, to zmieniona topografia jeziora dawała nam do rozwikłania potężną zagadkę* – wspomina red. Sikorski. Przez kilka sezonów jego ekipa krążyła wokół jeziora Siemień, zbierając relacje świadków i natrafiając na niewielkie fragmenty w okolicznych obejściach. Podejmowane w międzyczasie kilkukrotne próby nurkowania spełzały na niczym, zielona, trudna do przeniknięcia wzrokiem woda nie pozwalała na uzyskanie widoczności lepszej niż kilka centymetrów. Dzięki danym uzyskanym z archiwów i miejscowym relacjom udało się częściowo odtworzyć dawny prawdopodobny zasięg jeziora. W oparciu o te informacje, Adam Sikorski wraz ze swoimi współpracownikami zawęził rejon poszukiwań do obszaru około 200 m², leżących niedaleko jednej z wysp.

Oczyszczone z błota tabliczki znamionowe z silnika Canta.

Odznaka Pilota Morskiego I Klasy.

Jednak precyzyjne ustalenie lokalizacji wydawało się niezwykle trudne. Choć woda z jeziora każdego roku była częściowo spuszczana i interesujące poszukiwaczy miejsce zamieniało się w błotnistą równinę, umożliwiającą brodzenie nad domniemanymi miejscami ostatniego lądowiska Canta, podejmowane z dużym wysiłkiem próby lokalizowania metalowych części spełzały na niczym. Sygnał wykrywacza nie mógł przebić sporej czasem ponad metrowej warstwy mułu. W pasie nabrzeżnych trzcin udało się natomiast namierzyć pociski z niemieckich lotniczych km-ów, które ułożyły się w długą serię wystrzeloną prawdopodobnie 11 września w kierunku kołyszącego się na wodzie samolotu.

Momentem przełomowym okazało się zastosowanie prostego i jednocześnie genialnego pomysłu Adama Sikorskiego. Na grubą taflę lodu pokrywającą jezioro, w lutym 2006 roku wprowadzono georadar oraz magnetometr protonowy. Robert Kmieć z firmy GPR System pracowicie przebadał każdy sektor wydzielonego rejonu. Po kilku godzinach ekran laptopa zapłonął czerwienią wykrytej anomalii, oznaczającą znaczne skupisko metalu. Na skanach wyraźnie dało się zauważyć regularnie usytuowanie dużej ilości metalowych części. Badania zimowe zakończono nanosząc dokładną lokalizację za pomocą pomiaru GPS. Jednak nikt z poszukiwaczy nie mógł mieć pewności, czy przesunięte o kilkadziesiąt metrów od domniemanego położenia Canta miejsce kryje w sobie właśnie ten metal, z ostrzelanego i zbombardowanego wodnosamolotu kpt. Borowca. Odpowiedź na te pytania miała dopiero nadejść wraz z jesiennym spuszczeniem wody ze stawu.

Jesienią 2006 roku taplając się w głębokim błocie ekipa red. Sikorskiego rozpoczęła eksplorację dokładnie oznaczonego rejonu. Polegało to początkowo głównie na poszukiwaniu... nogami. Okazało się bowiem, że każde dotknięcie stopą czegoś twardego, każde pochylenie się i grzebanie w błocie zwiastowało wyciągnięciem kolejnej części. Z błotnistej mazi zaczęły wyłaniać się: kolektory wydechowe, węże doprowadzające paliwo, rozłupany na części karter. Uczestniczący w akcji, obdarzony niesamowitym eksploracyjnym szczęściem Robert Kmieć już po pierwszym ruchu łopatą ostrożnie wydobył podłużną wygiętą w łuk tabliczkę, po oczyszczeniu której ukazał się napis: *„Motore Alfa 128 RC 21”*, z umieszczonymi po bokach charakterystycznymi herbami Viscontich. Te pierwsze minuty pozwoliły stwierdzić ponad wszelką wątpliwość – tropiony od wielu lat wrak jedynego wyprodukowanego w Monfalcone polskiego wodnopłatowca Cant Z-506 B został odnaleziony! Tabliczka pochodziła najprawdopodobniej z centralnego silnika samolotu, rozerwanego wybuchem na części. Rozpoczęto systematyczną eksplorację miejsca, lokalizując niedaleko kabinę ze spalonymi elementami pleksiglasowej osłony. Obok, pod odrzucanymi łopatami warstwami błota pojawił się przedział radiowy z dużą ilością izolatorów i różnego rodzaju części od włoskiej radiostacji Marconi RA-350. Nieco dalej, pół metra za kabiną, pojawiła się znaczna ilość zdetonowanych polskich łusek do lotniczych karabinów maszynowych. Cyżby Cant był jednak uzbrojony?

Błoto, błoto i jeszcze raz błoto, w którym 30 cm poniżej poziomu gruntu zaczynała się czarna warstwa spalenizny, a w niej niczym rodzynki tkwiły kolejne części. Atmosfera niesamowitego odkrycia udzieliła się nawet towarzyszącej red. Sikorskiemu ekipie realizatorskiej. Co mogło zostać pozostawione w niszach kabin? 11 września 1939 roku, po ostatecznym ciosie zadanym przez niemieckiego Heinkela 111, potwornie okaleczony Cant znieruchomiał z wystającym ponad wodę jednym pływakiem i wbitym w dno przeciwległym skrzydłem. Może to było przyczyną, że w schowkach i przy ścianie znajdującego się za radiostacją stanowiska strzeleckiego odnaleziono największą część przedmiotów osobistych (m.in. śrubokręt pokładowego mechanika i stopiony prawie bezkształtny pęk kluczy z żółtym krążkiem carskiej monety umieszczonym w charakterze breloczka), które sprawiały wrażenie, jakby przetoczyły się po przechylonej podłodze. Ponownie w rękach Roberta znalazł się najcenniejszy chyba skarb: cztery zawiasy i narożniki z blachy mosiężnej, które wytrzymały potworny żar płonącej kabiny, a obok nich spalone, trudne do zidentyfikowania resztki oraz... skuwki od koalicyjki, guziki, klamra z galowego munduru oficera Polskiej Marynarki Wojennej i Odznaka Pilota Morskiego I Klasy! W niezwykły sposób odnalezione po 67 latach pozostałości niewielkiej osobistej walizeczki kpt. mar. pil. Romana Borowca. Pozostawiony paradny mundur, zaledwie kilka dni przed niemiecką agresją, służył dowódcy samolotu świętującemu na oficjalnych rautach wśród kolegów z Regia Aeronautica przejęcie pierwszego z partii pięknego Canta.

W ciągu następnych tygodni Adam Sikorski podjął kilka wypraw, podczas których zgromadzono m.in. tabliczki znamionowe, dalsze części silnikowe, zdeformowane guziki, fragmenty pasów i sznury od spadochronów, całe części węzła konstrukcyjnego, kolektory ssące i fragmenty blachy z poszycia z malowaniami. – *Wszystko to znalazło się w czterech pojemnikach przekazanych miesiąc temu Muzeum Lotnictwa w Krakowie. Sprawa Canta dostarczyła mi niesamowitych emocji, tropiliśmy go praktycznie od lat 80. Na miejscu zostawiliśmy w mule krawędzie natarcia płata ze zgiętą wyraźnie profilowaną sklejką, ponieważ nie znamy technologii osuszania tego typu materiału i pragniemy aby sprawą zajęli się specjaliści z Muzeum Lotnictwa w Krakowie lub Muzeum Morskiego* – opowiada odkrywca Canta. Niewątpliwie sprawa polskiego wodnopłata będzie miała ciąg dalszy. Zachowały się resztki farby umożliwiające doprecyzowanie rodzaju malowania, odnaleziona amunicja może pomóc w odpowiedzi na pytanie: czy Cant był całkowicie bezbronny, a zachowane szczątki stać się ozdobą wystaw poświęconych pięknym kartom polskiego lotnictwa II RP. ❑

Zdjęcia: Robert Kmieć

Dziękuję serdecznie red. Adamowi Sikorskiemu z Lubelskiego Oddziału TVP i Robertowi Kmieciowi z firmy GPR System oraz redaktorom naczelnym Krzysztofowi Sikorze z „MiniRepliki” i Wojciechowi Sankowskiemu z „Lotnictwo z Szachownicą” za udostępnione materiały.

LITERATURA:

1. Olejko A. „Polski Cant”, Tarnobrzeg 1998
2. Emmerling M. „Luftwaffe nad Polską 1939”, Gdynia 2005, t. II
3. Morgała A. „Samoloty w polskim lotnictwie morskim”, Warszawa 1985
4. Sikora K. „Z wody włoskiej do Polski”, [w:] „MiniReplika” nr 4/99

Przypisy:
[1] M. Emmerling *„Luftwaffe nad Polską”*, II tom, str. 180. (Co ciekawe według ludności miejscowej o miejscu jego pobytu poinformowali Luftwaffe drogą radiową członkowie V kolumny).
[2] Tamże, str. 207

Czy parkowe wzgórze – miejsce po zniszczonym, ewangelickim kościele św. Anny ukrywa cenne zbiory biblioteki miejskiej?

Wyrok na Elbląg

LESZEK ADAMCZEWSKI

W międzywojennych Prusach Wschodnich Elbing był jednym z największych ośrodków miejskich, chociaż miał zaledwie rangę miasta powiatowego w rejencji kwidzyńskiej. Zimą 1945 roku duży elbląski węzeł kolejowy i silny ośrodek przemysłowy na mapach sztabowców radzieckich stanowił ważny cel. Jak się okaże, nie tylko militarny.

Płonęła stara kamieniczka przylegająca do domu towarowego „Löwenthal". Na czarno-białych zdjęciach filmowych radzieckiego dokumentu „W łogowie zwieria" o walkach Armii Czerwonej w Prusach Wschodnich widać języki ognia, które – co pokazują następne kadry – wkrótce objęły też tę chlubę międzywojennego Elbinga. Ten dom towarowy zbudowano na początku I wojny światowej koło Mostu Nizinnego na Starym Mieście i jako atrakcję posiadał ruchome schody! Niezwykła rzadkość w Prusach Wschodnich. Już na pierwszy rzut oka „Löwenthal" wyróżniał się od stojących obok wiekowych kamieniczek, co krytykowali ci, którym zależało na zachowaniu starego piękna tej dzielnicy.

Ale w lutym 1945 r. nikt nie myślał o zachowaniu piękna Starego Miasta. Wojna wydała wyrok na cały Elbing, chociaż najbardziej miało ucierpieć właśnie Stare Miasto i stojący tam dom towarowy „Löwenthal", który na archiwalnym zdjęciu z końca lat 40. jest już tylko wypalonym kikutem.

Rajd czołgów Diaczenki

„Do odjazdu pociągu było jeszcze kilka godzin. Poszedłem więc na Plac Słowiański, a stamtąd na Stare Miasto. Ulice były ludne, spotykało się na nich wielu mężczyzn w wojskowych mundurach; przeważały szare uniformy Wehrmachtu. Ubrania i twarze kobiet były szare. Wszyscy byli zatroskani i gdzieś się spieszyli. Trudno było odnaleźć bezroską atmosferę kanikuły. Jedynie dzieci chlapały się hałaśliwie przy fontannach i ulicznych pompach" – tak po latach wojenny Elbing wspominał Edmund Łoński, który w tym mieście znalazł się latem 1943 roku. Już wtedy elbląski przemysł, wspierany przez robotników przymusowych, jeńców wojennych i więźniów filii obozu koncentracyjnego Stutthof, pracował na potrzeby wojny. Zamiast autobusów produkowano pojazdy opancerzone dla Wehrmachtu, a statki ze stoczni Schichaua zastąpione zostały przez małe okręty podwodne. W swych wspomnieniach Łoński używał współczesnych nazw. Plac Słowiański nazywał się wtedy Friedrich-Wilhelm-Platz i był centralnym punktem miasta. Tu też stał charakterystyczny gmach tak zwanego nowego ratusza.

Właśnie ten gmach zapamiętał kapitan Gienadij Diaczenko, oficer Armii Czerwonej dowodzący specjalnym oddziałem szturmowym czołgów, który we wtorek, 23 stycznia 1945 roku, w szaleńczym rajdzie z okolic Osterode (Ostródy) zapchanymi cywilnymi uciekinierami i żołnierzami z rozgromionych jednostek Wehrmachtu drogami, wieczorem wdarł się na ulice Elbinga. To był grom z jasnego nieba. Nikt tu nie spodziewał się Rosjan. W miejskim teatrze, przekształconym w kino, wyświetlano film „Opfergang". I chociaż Diaczenko zmarł już w 1947 roku, zdążył opowiedzieć, że w tamten wtorkowy wieczór jego czołgi jechały przez prawie nie zaciemnione ulice, na których było pełno ludzi. *„Czyżby wojna się już zakończyła"* – pomyślał i w tym momencie coś huknęło. Do czołgów jego oddziału zaczęto strzelać. – *Ognia!* – rozkazał przez radiostację Diaczenko. Czołgi, pełną mocą swych silników, ruszyły na północ, tratując wszystko, co znalazło się na ich drodze. W tym tramwaj pełen pasażerów.

Tu do lutego 1945 roku było Stare Miasto. Po wojnie odbudowano najpierw kościół świętego Mikołaja (obecną katedrę), a później rozpoczęto rekonstrukcję pozostałej zabudowy.

Na ulicach Elbinga Diaczenko stracił dwa czołgi, ale pozostałe bez przeszkód dojechały do Zalewu Wiślanego, gdzie ukryte w opuszczonych gospodarstwach kilka dni czekały na nadejście głównych sił. Gdy czołgi Diaczenki zbliżały się do placu Fryderyka Wilhelma, nadburmistrz Elbinga doktor Fritz Leser ze współpracownikami przeglądał akurat dokumenty z magazynów i hurtowni dotyczące zapasów żywności, które – jak się okazało po podliczeniach – powinny wystarczyć na dwa miesiące. Brakowało tylko soli, ale współpracownicy nadburmistrza obiecali ją zdobyć. Elbląg mógł się zatem długo bronić.

Piekło na ziemi

Rajd czołgów Diaczenki wywołał w mieście panikę, którą opanowano drakońskimi metodami. Ale ci, którzy zostali w Elblągu, mieli dopiero zobaczyć, co oznacza zwrot „piekło na ziemi". Tysiącom z nich, zarówno cywilom, jak i żołnierzom, nie dane będzie przeżyć najbliższego miesiąca. Zrazu paniczna ucieczka, sprzeczne rozkazy i w końcu obrona miasta przed przeważającymi siłami wroga dyszącego żądzą zemsty złożyły się na obraz dni przełomu stycznia i lutego.

9 lutego, ponad dwa tygodnie od rajdu czołgów Diaczenki, walki o Elbing trwały w najlepsze. *„Żołnierze* – pisał Egbert Kieser w pracy »*Zatoka Gdańska 1945*« – *jeszcze walczyli o każdy dom, każdą ulicę. Z budynku szkoły imienia Heinricha von Plauena słychać było wołanie o pomoc. Rosjanie zajęli otaczające budynki i przygotowywali się do ataku na szpital wojskowy. Około osiemnastej rozpoczęła się w szkole bez-*

ładna strzelanina. 2400 rannych i czterech lekarzy z sanitariuszami zostało wystawionych na zmasowany ogień nacierających Rosjan. Nigdy nie wyjaśniono, co stało się z tymi ludźmi".

Tego dnia artyleria radziecka przez długich 105 minut ostrzeliwała Stare Miasto. Eksplodujące pociski niszczyły jedną z najpiękniejszych starówek wśród miast Hanzy, pełną wiekowych zabytków sakralnych i świeckich. To był już koniec. Na odsiecz nie można było liczyć. W tej sytuacji dowodzący obroną Elbinga pułkownik Schöpffer podjął decyzję, i w nocy z 9 na 10 lutego główne siły garnizonu rozpoczęły wycofywać się z oblężonego miasta w kierunku Gdańska. *„W drodze na północny zachód* – pisał Kieser w cytowanej pracy *– słyszeli jeszcze strzały rozpoczynającej się za nimi masakry, ale krzyki kobiet i dzieci już do nich nie dochodziły".*

Dymy pożarów unosiły się nad miastem długo jeszcze po 10 lutego 1945 roku, który uważany jest za dzień zajęcia Elbląga przez Armię Czerwoną, chociaż potyczki z ukrywającymi się w gruzach niedobitkami hitlerowskimi trwały jeszcze kilka następnych dni.

Ukryte skarby

Niepodzielną władzę w mieście sprawowała wtedy radziecka Komendantura Wojenna „goroda Elbinga", na której czele stał podpułkownik J. A. Nowikow. Formalnie bez jego wiedzy i zgody nic tu wydarzyć się nie mogło, ale w wielu przypadkach samodzielnie działała stalinowska bezpieka: NKWD i kontrwywiad SMIERSZ. Za rządów Nowikowa rozpoczęło się systematyczne grabienie miasta. Przede wszystkim jego przemysłu, który – o dziwo – z dwutygodniowych walk wyszedł w stosunkowo dobrym stanie i chyba nie było to dziełem przypadku. Gdy radziecka artyleria 9 lutego ostrzeliwała Stare Miasto, działa były tak wycelowane, by nie raziły znajdującej się tuż obok stoczni Schichaua.

Mało natomiast znanym aspektem działalności Rosjan w Elblągu jest grabież skarbów kultury. Wiele wiekowych zabytków sakralnych, jak ołtarze, rzeźby i obrazy, leżało pod gruzami świątyń. Sporą część z tego wyposażenia elbląskich kościołów udało się później uratować Polakom. Także Niemcy ukryli część elbląskich skarbów. Na terenie stoczni Schichaua zamurowano w ścianie trzy dawne sztandary, w tym sztandar wojsk miejskich z monogramem Stanisława Augusta Poniatowskiego i jego rodowym herbem Ciołek. W lasach, 16 kilometrów od Elbląga zakopano zabytki archeologiczne i przyrodnicze ze zbiorów Städtisches Museum. A do starych kopalń srebra pod Goslarem ewakuowano – po dokładnej selekcji – archiwalia elbląskie.

Krajobraz po bitwie. Elbląg w lutym 1945 r. – porzucone na ulicach tramwaje, trupy ludzi i koni.

Do dzisiaj jednak nie wiadomo, co stało się z najcenniejszym zabytkiem, który znajdował się w Elbingu. Przechowywana w Bibliotece Miejskiej (Stadtbibliothek) słynna „Księga elbląska" była pochodzącym z początku XV wieku rękopisem – najstarszym zbiorem polskiego prawa zwyczajowego, spisanym w języku niemieckim na potrzeby władz krzyżackich i oprawionym w formę tak zwanego klocka. Czy „Księga elbląska" mogła wpaść w ręce Rosjan? Doktor Stefan Burhardt, organizator i pierwszy dyrektor Biblioteki Głównej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, wspominał: *„W Wydziale Kultury i Oświaty w Elblągu oświadczono mi, że radziecka komisja* (zajmująca się zabezpieczaniem skarbów kultury na terytorium Rzeszy Niemieckiej) *niemal w parę dni po zdobyciu Elbląga zabrała dużą partię zbiorów specjalnych Stadtbibliothek, wszystkie rękopisy, zbiory kartograficzne, zbiory rycin, zbiory nut".*

Ruiny elbląskiej Starówki na archiwalnym zdjęciu (prawdopodobnie z 1946 lub 1947 r.). W tym miejscu stał budynek Stadtbibliothek Elbing.

Doktor Burhardt w swych wspomnieniach powtórzył zasłyszaną w Elblągu pogłoskę, ponieważ kilka dni po zdobyciu miasta przez Rosjan nie było w nim Polaków, ale – jak w każdej pogłosce – może być w niej jakaś część prawdy. Otóż działająca na tyłach wojsk 2. Frontu Białoruskiego tak zwana brygada trofiejna Komitetu do spraw Sztuki przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRR i dowodzona przez podpułkownika Leontija Denisowa, zanim na początku kwietnia 1945 roku założyła swą bazę w zniszczonym Gdańsku, w marcu odwiedziła kilka miast zajętych przez wojska marszałka Konstantego Rokossowskiego. Najprawdopodobniej Denisow lub jego ludzie byli też w Elblągu… chociaż, w znanych historykom materiałach archiwalnych nie ma informacji o wywiezionych z tego miasta dobrach kultury.

Ograbione fabryki i domy

Jeśli ludzie Denisowa byli w zniszczonym Elblągu pod koniec marca, to ich działalność w częściowo zniszczonym gmachu Stadtbibliothek mógł zauważyć któryś z członków przebywającej już wtedy w mieście polskiej Morskiej Grupy Operacyjnej pod dowództwem majora Mieczysława Borowieckiego. To oni organizowali zalążki polskiej władzy w mieście. 3 kwietnia 1945 roku ukonstytuował się Zarząd Miejski, na którego czele stanął prezydent Wacław Wysocki. 15 kwietnia swe prace zainaugurowało Starostwo Powiatowe ze starostą Olafem Kunickim, chociaż ich władza ograniczała się właściwie tylko do niewielkiego fragmentu miasta, zwanego „dzielnicą polską", gdzie wkrótce uruchomiono bank, pocztę, sklep spożywczy i komendę MO. Oficjalnie Elbląg przekazano władzom polskim 19 maja, kiedy podpułkownik Nowikow uroczyście wręczył prezydentowi Wysockiemu symboliczne klucze do miasta.

Niespełna miesiąc później, bo 15 czerwca, Zarząd Miejski przygotował memoriał o stanie miasta, w którym czytamy między innymi: *„Fabryka Komnicka została całkowicie wywieziona – stoją tylko puste hale fabryczne. Fabryka Wyrobów Blaszanych została zdewastowana przez wywiezienie większej części maszyn. Zarządowi wiadomo, że ze stoczni Schichaua, fabryki lokomotyw Schichaua i fabryki samochodów Bussinga zostają wywożone maszyny. Potrzebna natychmiastowa interwencja z prośbą o pozostawienie w tych przed-*

siębiorstwach reszty maszyn i urządzeń technicznych. (...) Od 2-3 tygodni władze sowieckie rozmontowują i wywożą z budynków mieszkalnych będących w dobrym stanie i zdatnych do użytku radiatory ogrzewcze (kaloryfery), piecyki łazienkowe, wanny, piece kuchenne wolnostojące tak elektryczne jak i gazowe, liczniki gazowe i elektryczne, zamki i klamki drzwiowe". Tak było.

Zaginiona księga

I na koniec wróćmy jeszcze do „Księgi elbląskiej", o której pisałem już w „Odkrywcy" („*Księga na wagę złota*" nr 26/2001). Po publikacji tego artykułu ktoś zwrócił mi uwagę na parkowe wzgórze w centrum Elbląga. Na jego szczycie stoi duży biały krzyż. To pamiątka po wizycie w tym mieście papieża Jana Pawła II w czerwcu 1999 roku. Na przybitej do krzyża tabliczce napisano także, że w tym miejscu do 1945 roku stał ewangelicki kościół świętej Anny. W porównaniu ze średniowiecznymi świątyniami elbląskiego Starego Miasta, była to budowla znacznie młodsza, bo z przełomu XIX i XX wieku. Przez elblążan zwana „kościołem na górze", świątynia ta została uroczyście poświęcona 20 września 1901 roku. I ewangelikom służyła niespełna 44 lata. Do pamiętnej zimy 1945 roku.

Kilka miesięcy później znany nam już doktor Stefan Burhardt, dysponując decyzją Ministerstwa Oświaty RP o przekazaniu zbiorów byłej Stadtbibliothek Elbing w długoletni depozyt Bibliotece Głównej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, rozpoczął – z pomocą przydzielonej mu grupy Niemek – segregowanie i pakowanie zbiorów: książek i rękopisów. Nie spodobało się to elbląskim radnym PPR, którzy zażądali natychmiastowego przerwania prac i przedstawienia stosownego dokumentu z... Ministerstwa Ziem Odzyskanych, którym kierował sekretarz generalny PPR i jednocześnie wicepremier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej Władysław Gomułka. Ekipa Burhardta opuściła więc Elbląg, a doktor wyruszył na poszukiwania Gomułki. Znalazł go w ministerstwie na warszawskiej Pradze i bez trudności uzyskał jego zgodę na kontynuowanie prac.

Wielkie było zdziwienie Burhardta, gdy po powrocie do Elbląga jego ekipa w bibliotece nie znalazła nie tylko zostawionych do wysuszenia zawilgoconych starodruków, ale także przygotowanych do ekspedycji trzech skrzyń z napisem „Lisowski". Było to nazwisko zastępcy Burhardta. Rychło okazało się, że suszące się księgi wyrzucili sami pracownicy elbląskiego magistratu, a sprawy zaginionych skrzyń nigdy nie udało się wyjaśnić. Najprawdopodobniej padły one łupem szabrowników.

I w tym miejscu zainteresujmy się ruinami kościoła świętej Anny, które znajdowały się w odległości mniej więcej kilometra od zniszczonego budynku biblioteki. Ruiny świątyni groziły w każdej chwili zawaleniem, więc elblążanie omijali je z daleka, chociaż wielu z nich z zazdrością patrzyło na kikut wieży, gdzie błyszczał żółty krzyż. Uważano, że wykonany jest on ze szczerego złota. Około 1950 roku przyszła kolej na rozbiórkę ruin kościoła. Zatrudnieni przy tym robotnicy zapamiętali, że w rozległych podziemiach świątyni natrafiono na wiele starych ksiąg. Sprowadzony na miejsce znaleziska przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej (ówczesny odpowiednik dzisiejszego prezydenta miasta) orzekł jednak, że to bezwartościowa makulatura niemiecka i polecił podziemia zasypać gruzem. – *Kościół świętej Anny wzniesiono na dawnym forcie ziemnym z XVII wieku, będącym częścią ówczesnych fortyfikacji elbląskich. Fort ten miał na pewno podziemia. Do tego doszły podziemia kościoła. Tu Niemcy na przełomie lat 1944/45 mogli ukryć wiele wartościowych, zabytkowych przedmiotów. Nie tylko książki* – powiedział mi elbląski historyk-amator. Podziemia tej świątyni – dodajmy – mogły stanowić idealny schowek choćby dla tych, którzy z gmachu byłej Stadtbibliothek wynieśli trzy skrzynie z napisem „Lisowski". Wiedząc, że do grożących zawaleniem ruin rzadko kto zagląda, tu mogli przenieść łup, by spokojnie go posegregować lub wręcz porzucić, gdy zobaczyli, że w skrzyniach – zamiast złotych skarbów – są jakieś stare księgi. To, rzecz jasna, tylko hipoteza. Dzisiaj pewnie nikt już jej nie sprawdzi. A może jednak. ❑

Zdjęcia Autora i z archiwum Autora

NAJWIĘKSZA IMPREZA KOLEKCJONERSKA W POLSCE

NA EKSPOZYCJI PRZYGOTOWANEJ W FORMIE ŻYWEJ DIORAMY SWOJE ZBIORY ZAPREZENTUJĄ GRUPY OSÓB ODTWARZAJĄCE FORMACJE WOJSKOWE OD ŚREDNIOWIECZA DO WSPÓŁCZESNOŚCI OPRAWĘ WYSTAWY STANOWIĆ BĘDĄ ORYGINALNE POJAZDY I SPRZĘT WOJSKOWY. DODATKOWO: SPOTKANIA Z AUTORAMI KSIĄŻEK I PREZENTACJE MUZEÓW.

VIII WYSTAWA

GRUP REKONSTRUKCJI HISTORYCZNEJ I POJAZDÓW MILITARNYCH

ŁÓDŹ · 13 STYCZNIA 2007 · HALA EXPO

NA GIEŁDZIE KOLEKCJONERSKIEJ SPRZEDASZ, KUPISZ, ZAMIENISZ, ZOBACZYSZ: MILITARIA, STAROCIE, POJAZDY MILITARNE, MOTOCYKLE I SAMOCHODY ZABYTKOWE I KLASYCZNE, CZĘŚCI, AKCESORIA, LITERATURĘ, UBIORY I WSZYSTKO CO DOTYCZY DAWNEJ TECHNIKI. DODATKOWO: PREZENTACJA WARSZTATÓW RENOWACJI ZABYTKOWYCH POJAZDÓW, WYSTAWA MOTOCYKLI

ŁÓDŹ 13 STYCZNIA 2007

HALA SPORTOWA/HALA EXPO BIS AL.POLITECHNIKI/UL.SKORUPKI

GIEŁDA KOLEKCJONERSKA

MOTO WETERAN BAZAR

ŁÓDŹ 2007

www.motoweteranbazar.com

ZAPRASZAMY W GODZINACH 8.00-17.00

PONAD 600 STOISK
3 HALE I TEREN ZEWNĘTRZNY
15 TYSIĘCY ZWIEDZAJĄCYCH
WIELE ATRAKCJI
WSPANIAŁA ATMOSFERA
15-LETNIA TRADYCJA

INFORMACJA, REZERWACJA STOISK

TEL/FAX. 0-42 2054433
TEL. 0-602 328837
info@motoweteranbazar.com

GIEŁDY W 2007 ROKU

11-12 MAJA, 6-7 LIPCA
7-8 WRZEŚNIA

Odcinek gąsienicy na złomowisku w Czersku.

Kawałek obciętego pancerza przedniego...

StuG 40 z Czarnej Wody

JERZY JANCZUKOWICZ

Pewnego zimowego dnia dotarła do mnie elektryzująca wiadomość, że Jarek, znany w Trójmieście poszukiwacz, wraz ze swoją ekipą wyciąga z bagna niemiecki czołg! Od dawna zajmuję się hobbystycznie poszukiwaniem i wydobywaniem przeróżnych zatopionych „obiektów", wiele ludzi o tym wie, dlatego też dość często informują mnie o różnych znaleziskach lub też akcjach wydobywczych.

Opowieść prawdziwa

Bardzo często docierają do mnie wiadomości o zatopionych pojazdach lub samolotach. Wszystko skrupulatnie zapisuję w specjalnym diariuszu, który powoli wypełnia się po brzegi. Mam mnóstwo takich „super wiadomości" zebranych przez lata i jestem pewien, że życia by mi nie starczyło, aby je wszystkie posprawdzać. Zdaję sobie sprawę, że niestety, fantazja ludzka nie zna granic i większość tych informacji, wiem to z własnej praktyki, jest nieprawdziwa... niemniej jednak nigdy nie rezygnuję.

Wróćmy zatem do znaleziska Jarka. Wiadomość, która dotarła do mnie pocztą pantoflową, była mało precyzyjna. Wiedziałem, że akcja rozgrywa się gdzieś w Borach Tucholskich... Bezpośrednio od ekipy wydobywczej dokładniejszych danych nie udało mi się jednak ustalić. Taki jest niepisany kodeks poszukiwaczy – chronią swoje dane. Z jednej strony byłem – co jest zupełnie naturalne – bardzo ciekawy tej akcji i chciałem jak najwięcej na ten temat wiedzieć, z drugiej, rozumiałem ich stanowisko. Nikt z poszukiwaczy nie lubi jak mu „pod bokiem" jakaś inna ekipa coś znajduje i, nie daj Boże, wyciąga! W końcu ja też działałem podobnie. Gdy nasza ekipa „Rekina" wydobywała podwozie gąsienicowe ze Stegny, nie rozgłaszałem wszem i wobec... nie dawałem ogłoszenia do gazety, aby wszyscy mogli oglądać naszą akcję... tak było. Nauczeni doświadczeniem, strzeżemy swoich tajemnic, aby uniknąć np. takich sytuacji, jakich byłem świadkiem parę lat temu...

Kilka lat temu natrafiliśmy („Rekin") na zalegający na dnie jednego z jezior Pojezierza Pomorskiego rozbity samolot Messerschmitt Me-210. Parę miesięcy później Jarek (wówczas zaprosiłem go do uczestnictwa w akcji poszukiwawczo-wydobywczej), poinformował mnie, że jakaś inna grupa „buszuje" w tym jeziorze i wydobywa elementy „naszego" samolotu! Cholera mnie wzięła, ale nic nie mogłem zrobić! Sam przestrzegam zasad niepisanego kodeksu honorowego, który nie pozwala innym ekipom poszukiwawczym podkradać znalezisk, więc... musiałem „przełknąć gorzką pigułkę" porażki i uznać ten fakt.

Ale wróćmy do Jarka. Żałowałem, że tak ciekawa akcja rozgrywa się gdzieś w pobliżu, a ja nie mogę tego choćby zobaczyć, nie mówiąc o uczestnictwie... Niestety, ekipa znalazców-wydobywców zazdrośnie strzegła swojej tajemnicy, a mnie pozostawały jedynie domysły i wieści dochodzące z zewnątrz. „Życzliwi" informowali mnie, że ze Stoczni Gdańskiej został wynajęty naj-

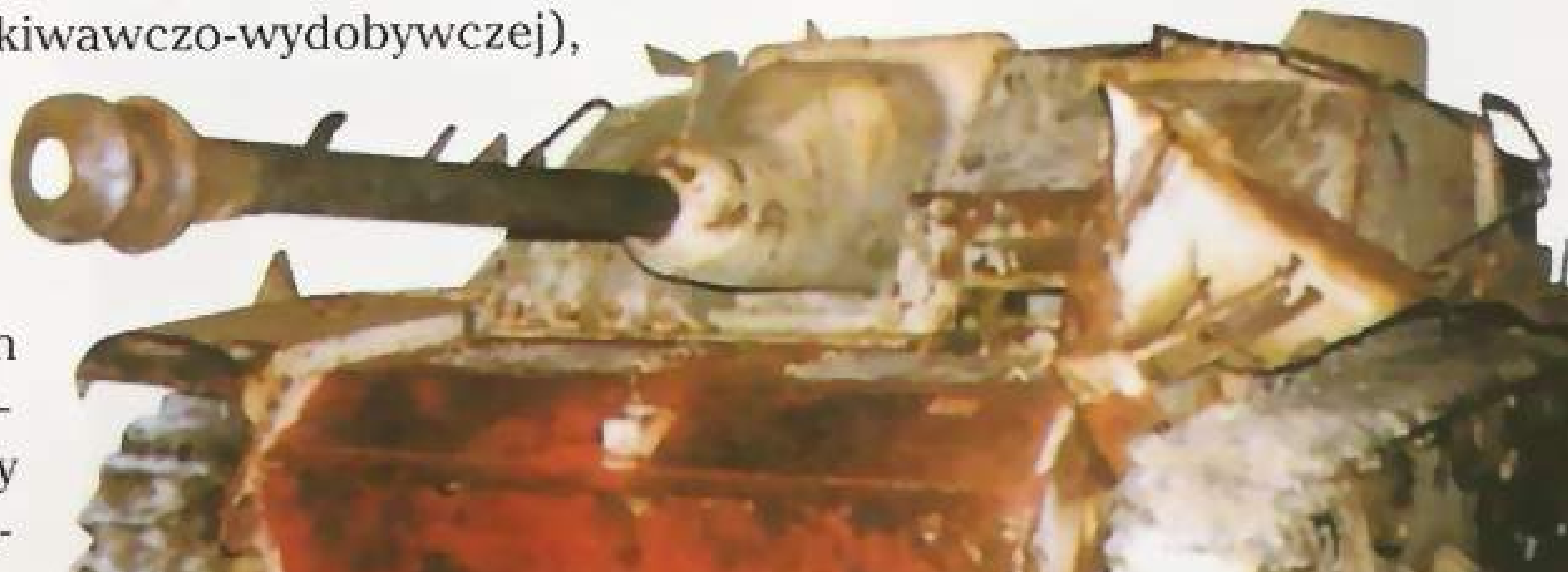

StuG 40 (Sd.Kfz. 142/1 Ausf. G). – zdj. arch.

większy ciągnik, a od Straży Pożarnej – wyciągarka o uciągu 60 ton! A już za moment… będzie odbywało się wydobywanie, wyrywanie czołgu z bagniska. Temperatura rosła… Po jakimś czasie dotarło nieco więcej wiadomości: że pojazd, o który toczy się walka, to PzKpfw. III, już bez wieży, który w 1945 r. uciekając przed Rosjanami ugrzązł w podmokłej łące próbując przejechać niewielką rzeczkę. Po wojnie okoliczni mieszkańcy zaczęli „eksploatować" ten „dar Boży"(?) Najpierw „rozprawiono" się z górną częścią pojazdu – został tylko płaski korpus. Ktoś pomysłowy stwierdził, że można go wykorzystać jako „przyczółek mostowy" i w ten sposób, zanurzony w bagnie korpus został wykorzystany – zbudowano mostek, z którego przez lata wszyscy korzystali. Po jakimś czasie o „skarbie" zapomniano. Miejsce zarosło krzewami, starsi mieszkańcy, świadkowie tych wydarzeń odeszli… a następne pokolenia właściwie już nie wiedziały o przeszłości „filara mostowego". W końcu stało się to co zawsze, już mało kogo interesował niemiecki czołg. Ale nie wszyscy o nim zapomnieli. Ktoś, przypadkiem, komuś powiedział i… informacja dotarła do Jarka, który postanowił wydobyć pojazd. Jednego tylko nie mogłem zrozumieć. Dlaczego Jarek tak pospiesznie zdecydował się na wydobywanie go zimą, gdy ziemia i bagno są zamarznięte, tworząc twardą i prawie niemożliwą do pokonania zmarzlinę otaczającą zatopiony, stalowy, wielotonowy ciężar? Oczywiście trudno byłoby tam postawić tabliczkę informacyjną: *„Ja Jarek to znalazłem! Proszę tego nie ruszać! Przybędę tu we właściwym czasie i wraz z moją ekipą to wydobędę!"* – niemniej jednak warunki atmosferyczne były poważnym utrudnieniem. No ale cóż…

Przednie koło napędowe.

Mamy więc zimę, mróz, na polach hula zimny wiatr, zacina śniegiem. Jedynym plusem jest zamarznięta, twarda, bagnista łąka – idealna nawierzchnia do przejechania ciężkim ciągnikiem Straży Pożarnej. Ale czołg, a raczej jego resztki pozostawione przez „eksploatorów", zanurzony jest w zamarzniętym bagnie! To tak jakby był po prostu zabetonowany! Próby odkopania „stalowego potwora" łopatami czy kilofami, a sądzę, że takie byłyby czynione przez ekipę wydobywców – nie dadzą żadnego rezultatu: po prostu jest to bardzo ciężka praca! Nie wiem co było przyczyną, ale po jakimś czasie… doszła do mnie wiadomość, że akcja się nie powiodła. Ciągnik, mimo tak dużej siły swojej wyciągarki nie wyrwał z zamarzniętego bagna stalowego korpusu czołgu. Ponadto poniesione koszty były tak znaczne, że na dalsze próby już zabrakło. W końcu Bory Tucholskie są dość daleko od Gdańska (skąd wynajęto ciągnik). Piszę Bory Tucholskie, bowiem nadal miejsce akcji nie było mi znane, a przestrzegane przez ze mnie (mam nadzieje, że nie tylko) zasady „Kodeksu Postępowania Poszukiwaczy" nie pozwalały na „wchodzenie z butami" po cudze znalezisko. Tym bardziej, że byłem pewny, iż ekipa Jarka będzie kontynuowała akcję wydobywczą… trzeba jedynie zebrać siły i środki.

Minęło kilka miesięcy, zbliżało się lato. Zajęci własnymi poszukiwaniami powoli zapominaliśmy o tym temacie. Niestety, nieudana akcja wydobywania „czołgu" odbiła się głośnym echem wśród okolicznych mieszkańców. Wszyscy wiedzieli, gdzie jest pojazd. Nieopodal tego miejsca swój letni obóz rozbili harcerze z Warszawy. Oni również szybko dowiedzieli się o jedynej atrakcji w okolicy jaką jest niemiecki czołg! Wielu z nich każdą wolną chwilę spędzało na oględzinach i próbach penetracji korpusu! Niestety jeden był na tyle sprytny, że udało mu się wygrzebać z mułu, z wnętrza korpusu cały pocisk! Piękna, mosiężna łuska z „czubkiem". Co za wspaniała zdobycz! Jak pokaże kolegom w Warszawie… To będzie coś! Jak pomyślał tak i zrobił. Przetransportował pocisk do obozu i schował go w swoim plecaku! Po powrocie do domu, „nasz" Sprytek ukrył swoją zdobycz… pod

Przednia część pancerza wraz z kołem napędowym gąsienicy.

Kawałek burty, kółko jezdne gąsienicy, wahacze…

łóżkiem! W trakcie robienia codziennych porządków, mama młodego „bohatera" wymiotła spod łóżka coś ciężkiego – pocisk armatni! Przerażona kobieta natychmiast zatelefonowała do męża, który zupełnym zbiegiem okoliczności był zawodowym wojskowym. Zaalarmowany przyjechał i zabrał pocisk… Następnie „przesłuchał" swojego syna. Dowiedział się gdzie i skąd go pozyskał. Dalej wypadki potoczyły się już błyskawicznie. Oficer zawiadomił patrol saperski, który udał się na wskazane miejsce. Gdy okazało się, że w terenie zalega jeszcze sporo pocisków, nikt nie brał pod uwagę, że szczątki czołgu posiadają wartość historyczną, teraz było to niebezpieczne miejsce, które należało oczyścić z zagrażających życiu pocisków. Zasada działania patroli saperskich jest jasna – nie narażać ludzi na niebezpieczeństwo. Nikt więc nie trudził się, aby „wygrzebywać" z korpusu czołgu stare pociski armatnie. Dowódca patrolu wydał rozkaz – założyć ładunki i wysadzić amunicję! Tak też się stało. Efekt? Wybuch rozerwał na strzępy korpus czołgu.

Następnie, powiadomieni przez sołtysa fachowcy z Kółka Rolniczego przyjechali ciągnikiem, wyposażeni w palniki do cięcia metalu i dźwig. Większe kawały zostały pocięte na miejscu, pozostały złom skrzętnie wyzbierany i odwieziony na najbliższe złomowisko czyli do Czerska. Wbrew pozorom to jeszcze nie koniec...

„Dziura w ziemi" po wydobyciu. Nie zostało już nic...

Któregoś dnia mój znajomy, też poszukiwacz, przechodząc koło miejscowego złomowiska rozpoznał elementy pojazdu z Borów Tucholskich. Telefonicznie powiadomił mnie o swoim znalezisku. Wsiadłem w samochód i popędziłem do Czerska. Faktycznie, na złomowisku znalazłem szczątki pociętego i porozrywanego korpusu niemieckiego czołgu. Po zalegających plac detalach rozpoznałem „trójkę" czyli PzKpfw III. Od pracowników złomowiska dowiedziałem się skąd pochodzą części. Okazało się, że przywieziono je z Rzepiczna. W ten sposób poznałem wreszcie miejsce akcji, gdzie Jarek ze swoją ekipą próbował wyrwać z bagna korpus przy pomocy ciągnika ze Straży Pożarnej! Pojechaliśmy więc oglądnąć to miejsce chcąc sprawdzić, czy nie pozostały jeszcze inne fragmenty pojazdu. Pobieżna penetracja terenu nie wykazała żadnych pozostawionych części. Wróciliśmy więc na złomowisko. Próby odkupienia elementów czołgu nie powiodły się. Nie wyszliśmy jednak z pustymi rękami. Dowiedzieliśmy się, że wszystkie militarne pozostałości wywożone są do Gdańsku – na wielkie złomowisko na Trojanie. Jedziemy tam. W Gdańsku udało mi się kupić niektóre elementy zniszczonego czołgu. Przywiozłem je do siebie i złożyłem na podwórku, przed domem, gdzie składuję wszystkie pozyskane elementy. Wiadomość o tym natychmiast rozniosła się po okolicy. Dowiaduje się o tym m.in. „Rudy" – znany zbieracz militariów z Goraja. Za sprzedaż elementów z „czołgu" proponuje mi części od Willysa i Czapajewa – bo ja właśnie posiadam takie niekompletne samochody wojskowe. Zakupione na złomowisku części... trafiają do Goraja. Tym samym kończy się prawdziwa historia „czołgu". Kolejny zabytek techniki militarnej, z którą nasi Ojcowie walczyli, a który mogliby oglądać ich wnukowie w jakimś muzeum, powędrował do huty na przysłowiowe żyletki...

Jakiś czas później dowiedziałem się, że kilku poszukiwaczy wyposażonych w metaldetektory przeszukiwało dokładnie teren w Rzepicznie i natrafili m.in. na tzw. „świński ryj" – czyli osadę armaty w korpusie działa pancernego. Czyli nie był to czołg „trójka", tylko działo pancerne StuG 40 czyli Sd.Kfz. 142/1. ❑

Zdjęcia: arch. Jerzego Janczukowicza

R E K L A M A

Eskadra Rozpoznania 5(H)13

WOJTEK STOJAK

Właściwie nie ma już o czym pisać. Ostatni odcinek szlaku bojowego Aufklärungsstaffel 5(H)/13 prowadził przez pokonaną już Polskę... a fotografie pokazują krajobraz po bitwie. Zniszczone polskie tankietki zepchnięte na pobocze drogi, sprzęt porzucony na pobojowiskach, wraki polskich samolotów i, zdobyte przez Niemców, trącące myszką armaty stojące rzędami w Modlinie.

w kampanii przeciwko Polsce (cz. 3)

Autor tekstu pisze o jeńcach spod Kocka, płonącej Warszawie, spokojnych dniach w Dęblinie i o tym, że Leutnant Tettenborn został Oberleutnantem. Wspomina też o czterech odznaczonych Krzyżem Żelaznym II klasy, swoistej przeciwwadze w stosunku do czterech żołnierzy z jego oddziału poległych w Kampanii Wrześniowej.

Dwudziestego października jednostka załadowała się na lory kolejowe i trzy dni później o godzinie 5.30 była już na macierzystym lotnisku w Göppingen. Na razie wojna się skończyła. Dowódca eskadry Oberleutnant Günther Falk kończy swój dziennik słowami:

Za Naród i Ojczyznę!
Za Führera i Państwo!

Mój telefon (071) 354 54 40.

Gdzie można kupić „Odkrywcę"

W punktach i salonach sieci: **RUCH, EMPiK, HDS, Garmond-Press, Kolporter, Franpress** w całej Polsce. Są także jeszcze inne miejsca, w których dostaniecie „Odkrywcę".
Będzin – zamek, ul. Zamkowa 1;
Białystok – Muzeum Wojska, ul. J. Kilińskiego 7;
Bolesławiec – Biuro Usług Turystycznych i Artystycznych „Perfekt", ul. Sierpnia 80 nr 12/13;
Bydgoszcz – Pomorskie Muzeum Wojskowe, ul. Czerkaska 2; Sklep Militarny „Ranger", ul. Sienkiewicza 1;
Częstochowa – Antykwarnia Księgarnia „Niezależna", ul. Kopernika 4, tel. (034) 324 94 67;
Gdańsk – sklep „Militaria", ul. Czerwony Dwór (targowisko), „Gdańska Księgarnia Naukowa", ul. Łagiewniki 56; księgarnia „Muza", ul. Garncarska 33; „Paragraf 22": ul. Konopnickiej 3B, ul. Łagiewniki 52, Świętojańska;
Gdynia – „Desant", ul. Portowa 4;
Hel – Stowarzyszenie Przyjaciele Helu, Bulwar Nadmorski 2;
Jawor – Muzeum Regionalne, ul. Klasztorna 6;
Jelenia Góra – sklep „U Benia", ul. Długa 11;
Kętrzyn – Muzeum im. Wojciecha Kętrzyńskiego, pl. Zamkowy 1;
Konin – księgarnia „Mawi", ul. 3 Maja 2;
Kraków – „Antyki – Militaria", ul. Felicjanek 17; „Phantom", ul. Sławkowska 13-15; Galeria Rycerska, ul. Szpitalna 5;
Krosno – „Army Shop", ul. Piłsudskiego 18;
Leszno – „Kiosk", ul. Węgierska;
Lubań – P.H. „Dawid", ul. Żymierskiego 2;
Łódź – Księgarnia Odkrywcy, ul. Sienkiewicza 11, księgarnia Wojskowa, ul. Tuwima 34;
Mielec – „Księgarnia Dębickich" s.c., ul. Mickiewicza 5, tel. 017/ 586 42 73
Nadarzyce/Jastrowie – Bar Militarny;
Niechorze – Muzeum Rybołówstwa, al. Bursztynowa 28;
Nowa Ruda – Kopalnia Węgla, ul. Obozowa 4;
Osowiec – Twierdza (kontakt: Mirosław Worona);
Osówka – Podziemna Trasa Turystyczna w Górach Sowich;
Piła – PZMot Automobilklub Nadnotecki, ul. 11 Listopada 1;
Poznań – księgarnia „Dobra Książka", pl. Wielkopolski 4; księgarnia „Powszechna", Stary Rynek 63/Kozia 20; Księgarnia Uniwersytecka, ul. Zwierzyniecka 7; antykwariat „Na Mostowej", ul. Mostowa 26;
Przemyśl – Centrum Informacji Turystycznej, Rynek 26;
Rzeczka – Podziemna Trasa Turystyczna w Górach Sowich;
Rzeszów – sklep „Agatka", al. I Armii WP 1; kiosk, ul. Broniewskiego k/pawilonu Merkury;
Skarżysko-Kamienna – Muzeum Orła Białego, ul. Słoneczna 90;
Sochaczew – Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą, ul. Kościuszki 2;
Szamotuły – PHU „Iwa", Rynek 18;
Szczecin – Kiosk „Mati", ul. Jasna 82/84; PHU-Paul Dż, al. Wyzwolenia – Przejście Podziemne;
Szklarska Poręba – Muzeum Ziemi, Szosa Jeleniogórska 9, Stara Chata Walońska;
Świnoujście – Fort Gerharda;
Tomaszów Mazowiecki – Muzeum, ul. POW 11/15;
Toruń – Fort IV Twierdza, ul. Chrobrego 86;
Walim – Muzeum Sztolni Walimskich, ul. 3 Maja 26, www.sztolnie.pl;
Wałcz – „Bar u Majora";
Wambierzyce – skansen, ul. Wiejska 52;
Warszawa – „Pelta", ul. Świętokrzyska 16; „Azymut", ul. Corazziego 4; sklep „Mapa", ul. Ostrobramska 109; Sklep Podróżnika, ul. Kaliska 8/10;
Włodarz – trasa turystyczna;
Wrocław – sklep „V2", ul. Cybulskiego 8; sklep „R.C. Digger", ul. Wierzbowa 23; Centrum Informacji Turystycznej, Rynek 14; księgarnia „Ossolineum", ul. Kołłątaja 16; księgarnia „Marco Polo", ul. Wyszyńskiego 96; księgarnia „Paragraf", ul. Krupnicza 6/8; „Księgarnia Podróżnicza", ul. Wita Stwosza 19; księgarnia, pl. Hirszfelda 16/17; księgarnia „Sfera", ul. Szczytnicka 50/52; „Księgarnia Dolnośląska" ul. Świdnicka 28; księgarnia, podziemie Dworca PKP, księgarnia, Dworzec PKS; księgarnia „Eureka", ul. Kołłątaja 34
Zamość – Muzeum Barwy i Oręża „Arsenał", ul. Zamkowa 2;
Zgorzelec – księgarnia „Verbum", ul. Piłsudskiego 8;
Zielona Góra – Księgarnia Akademicka, al. Wojska Polskiego 69
Złoty Stok – Kopalnia Złota, ul. Złota 7;

Można również skorzystać z elektronicznej wersji miesięcznika – www.odkrywca.pl albo zaprenumerować.

Warunki prenumeraty oraz zakupu archiwaliów podajemy w stopce redakcyjnej.

Do nabycia **„Gazeta Rycerska"** od nr 1 do 11.

Zachęcamy do zakupu roczników „Odkrywcy" w cenach preferencyjnych.

Polityka skarbowa

IZABELA KWIECIŃSKA, PIOTR MASZKOWSKI

Skarby – to przygoda i dreszcz emocji związany z ich poszukiwaniami. Skarby – to złoto, biżuteria, Bursztynowa Komnata, depozyty, ale również łuski, guziki, zardzewiałe pojazdy i ich części. Mogą być bezcenne, mieć wartość umowną, kolekcjonerską, ale również rynkową. Zawsze wzbudzały emocje i zainteresowanie, od wieków poszukiwali ich zarówno awanturnicy wszelkiej maści, jak i poszukiwacze. Organizowano również państwowe lub rządowe ekspedycje po skarby, czego modelowym wręcz przykładem był podbój Ameryki. Mimo upływu wieków, zainteresowanie czynników państwowych, łatwym i sowitym łupem nie maleje...

Przy okazji afery dotyczącej m.in. domniemanej inwigilacji prawicy przez Urząd Ochrony Państwa i procesu płk Jana Lesiaka oficera UOP, właściciela i dysponenta najbardziej znanej szafy III RP, ponownie wyszła, na pozór, sensacyjna sprawa poszukiwań skarbów przez służby specjalne. Niezorientowane w sprawie media nagłośniły ten epizod jako sensacyjny... i faktycznie taki był, lecz bagatela – niemal 10 lat temu. Chociaż i dzisiaj ma pewien smaczek, gdyż stanowi swoisty precedens w historii polskiej eksploracji, niestety, nie taki jednak, jaki by sobie tego wszyscy zaangażowani życzyli. Mamy bowiem sytuację, w której przedstawiciel polskiego rządu podpisuje umowę z osobą fizyczną na wskazanie wartego kilkadziesiąt miliardów dolarów skarbu, w zamian za 10 % zysku od wartości całkowitej pozyskanych dóbr. Jednocześnie podjęte zostają czynności weryfikujące wiarygodność informacji dotyczących miejsca ukrycia skarbów, zlecone rzecz jasna służbom specjalnym. Robi się więc już na tym etapie bardzo sensacyjnie... Warto zatem przyjrzeć się dokładniej tej historii, a także samemu procesowi zaangażowania się państwa w poszukiwanie ukrytych dóbr.

W środowisku poszukiwaczy, badaczy tajemnic historii, działalność służb specjalnych zaangażowanych w eksploracje, bądź co najmniej bacznie monitorujących takowe działania uznawana jest za fakt niezaprzeczalny. Nie znajdziemy chyba nikogo, kto zdecydowanie zaprzeczyłby tej tezie. Dotyczy to oczywiście największych spraw, kultowych tematów, takich jak Bursztynowa Komnata, „złoty pociąg", „złoto Wrocławia", „szczelina jeleniogórska", czy też poszukiwania zaginionych dóbr kultury, dzieł sztuki, większych poniemieckich depozytów oraz dokumentów. Pech chce, że na naszym rodzimym poletku, akurat kwestia głównie nazistowskich, budzących największe emocje skarbów jest słabo udokumentowana. Całość eksploracyjnej wiedzy bazuje na zapisie relacji świadków pośrednio bądź bezpośrednio zaangażowanych w ukrycie dóbr, ewentualnie na tej podstawie tworzonych dokumentów przez instytucje takie jak Służba Bezpieczeństwa czy Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich. Istotną rolę w popularyzowaniu poszczególnych skarbów miał mjr Stanisław Siorek, pracownik SB i kontrwywiadu MSW. Początkowo w ramach obowiązków służbowych, później prywatnie, zgromadził jedno z największych archiwów tematów skarbowych w kraju. Archiwum już niemal legendarne, tym bardziej, że nie wiadomo gdzie się obecnie znajduje. Niewątpliwie dało ono jednak początek i usystematyzowało większość historii skarbowych dotyczących głównie Dolnego Śląska, choć nie tylko. Mając za sobą aparat bezpieczeństwa, związane z tym możliwości oraz niesamowity zapał i pasję, nadał eksploracji dotąd nieznane oblicze. Do tego stopnia, że był w latach 80. jednym z motorów jedynej zorganizowanej po wojnie akcji eksploracyjnej prowadzonej przez Wojsko Polskie, MSW i WSW. Warto jednak przy tej okazji uporządkować pojęcie poszukiwań, oraz przybliżyć jak wyglądały poszczególne akcje na przestrzeni ostatnich 60 lat.

Lata 40. i 50.

Koniec II wojny światowej oraz pierwsze lata pokoju obfitowały w liczne działania zmierzające do ujawnienia miejsc ukrycia wszelkiego rodzaju dóbr. Specjalne oddziały zwycięskich armii, zarówno na Wschodzie, jak i Zachodzie poszukiwały wartościowego poniemieckiego mienia. Szczególne znaczenie miała kwestia poszukiwań zaginionych, zagrabionych i ukrytych dzieł sztuki i dóbr kultury materialnej. Następnie, istotnym elementem była konieczność, czy też potrzeba, przejęcia depozytów bankowych, walorów pieniężnych, kruszcu i drogich kamieni, które mogły zostać ukryte w skrytkach, bądź niedostępnych i zamaskowanych kryjówkach. Kwestia odkrycia składów broni, amunicji i zaopatrzenia, niewykorzystanych w trakcie działań wojennych bądź przeznaczonych dla nazistowskich grup dywersyjnych oraz zbrojnego podziemia niepodległościowego, była szczególnie istotna dla zapewnienia stabilizacji ustrojowej kształtującego się państwa komunistycznego. Wreszcie, równie istotne było pozyskanie niemieckiej dokumentacji technologicznej, dotyczącej zarówno techniki wojskowej, jak i cywilnej. Wydawałaby się banalną, tendencja do pozyskiwania wszelkiego rodzaju urządzeń czy nawet budulca przeznaczonego do odbudowy zniszczeń wojennych oraz przemysłu. Była jednak kluczowa.

Ważnym elementem stały się także działania zmierzające do przejęcia archiwów, z materiałami szczególnie cennymi dla obronności, wywiadu i kontrwywiadu oraz wymiaru sprawiedliwości – archiwów dokumentujących zbrodniczą działalność III Rzeszy i jej sojuszników. Na ziemiach polskich tego typu przedsięwzięcia są niezwykle słabo udokumentowane. Dopiero ostatnio udało się pozyskać i opracować materiały dotyczące działalności Państwowego Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych czy szczegółów Akcji Rozbrojenia Linii Odry. Działań prowadzonych przez państwo, jednak przy ukrytym udziale Urzędu Bezpieczeństwa i niejasnych konotacjach kompetencyjnych.

Przekonanie o prowadzeniu pewnych akcji, które w przyszłości staną się motorem późniejszych poszukiwań i narodzin tematu tzw. „złota Wrocławia", wynikały z zeznań przesłuchiwanego przez UB Herberta Klosego, mającego mieć związek z ukryciem depozytów pochodzących z wrocławskich banków. Co prawda związek ten wyszedł przez przypadek, jednak zapoczątkował legendę, która wielu pasjonuje do dzisiaj. W podobnym świetle pojawia się również tajemnicza postać Antoniego Dalmusa, związanego z tajemnicami sowiogórskiego kompleksu „Riese", również pozostającego w sferze zainteresowań wielu służb. Jeszcze słabiej udokumentowane są działania w sferze poszukiwań prowadzonych przez Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, niewątpliwie prowadzących szczególnie na Ziemiach Odzyskanych czynności operacyjne. Dotyczy to również oficerów Informacji Wojskowej zajmujących się wywiadem i kontrwywiadem. – *Do ich głównych zadań należała walka i likwidacja niemieckich grup dywersyjnych, zbrojnego podziemia niepodległościowego oraz wszelkiej opozycji politycznej i ustrojowej wraz z zapleczem. Przy okazji tych działań znane są przykłady przejmowania pewnych ilości ukrytego mienia* – mówi płk Henryk Piecuch.

W kwestii poszukiwań zaginionych dóbr kultury dość dobrze znane są działania delegatów Ministerstwa Kultury i Sztuki, dzięki którym odzyskano wiele utraconych wcześniej zabytków. Miały one charakter zorganizowany i przez pewien okres ciągły, jednak w miarę upływu czasu ulegały

wygaszaniu. Nigdy jednak nie zaprzestano całkowicie akcji pośrednich, zmierzających do pozyskiwania ukrytych dóbr.

W podsumowaniu tej części, należy wspomnieć również pozostałe dwa elementarne czynniki, mające szczególne znaczenie dla wyników poszukiwań z lat 40. i 50. oraz późniejszych, które bezpośrednio wpłynęły na nikły stan wiedzy i zatarcie wielu cennych tropów. Czynnikiem absolutnie destrukcyjnym był prowadzony na szeroką skalę szaber, szczególnie na Ziemiach Odzyskanych, obejmujący absolutnie każdy przedmiot nadający się do użycia. – *Na jednego delegata, funkcjonariusza czy żołnierza przypadało 99 szabrowników* – mówi H. Piecuch. – *To oni wydobyli większość mniejszych skarbów* – dodaje. Nie sposób pominąć roli Sowietów, masowo pozyskujących wszelkie dobra, włącznie z całkowitym wyposażeniem fabryk i działających często z chirurgiczną precyzją, trofiejnych spec grup NKWD i SMIERSZ. – *Począwszy od 1945 roku na terenie naszego kraju miał miejsce rabunek i dewastacja. Najpierw Sowieci wbrew wszelkim ustaleniom międzynarodowym rabowały z ziem zachodnich i północnych wszystko to, co należało się prawnie Polsce. To czego nie znaleźli i nie zabrali, wyszabrowali potem Polacy* – mówi dr Jacek Wilczur, wieloletni członek GKBZH w Polsce i jednocześnie prezes Towarzystwa Poszukiwań Zabytków. Działania te miały znacznie głębsze konsekwencje niż mogłoby się wydawać. – *Przy tej okazji niszczono jednak i zacierano wszelkie ślady i ścieżki, przez barbarzyńskie traktowanie obiektów, w których prowadzono poszukiwania. W rezultacie dzisiaj już trudno trafić, tam gdzie jest szansa odnalezienia czegokolwiek.*

Z drugiej jednak strony globalny efekt tych działań jest absolutnie nieznany, ponieważ nawet wyobraźnia nie jest nam w stanie podpowiedzieć, jakiego rodzaju dobra można jeszcze znaleźć w moskiewskich magazynach i archiwach.

Lata 60.

Po dość specyficznym okresie lat 40. i 50. nadeszła dekada lat 60. Zdecydowanie odmienna, gdyż brakuje skali i częstotliwości poszukiwań znanej z okresu poprzedniego. Można zdecydowanie wyróżnić tu charakterystyczne działania wskrzeszonej na nowo Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. Instytucja ta zasadniczo ukierunkowana na dokumentowanie zbrodniczej działalności nazistów w czasie wojny, przesłuchiwała tysiące świadków, poszukiwała miejsc męczeństwa, grobów i masowych mogił, dokumentów i archiwów obozowych, a także ścigała zbrodniarzy wojennych. Przy okazji wielu prowadzonych spraw, zaczęły wychodzić poboczne wątki skarbowe, wobec których czasami podejmowano pewne czynności wyjaśniające. Takim właśnie wątkiem były poszukiwania prowadzone przez dr Jacka Wilczura, podczas wyprawy badawczej w Górach Sowich. Przy okazji badań funkcjonujących w wymienionych rejonach obozów koncentracyjnych, miano zbadać poszczególne obiekty podziemne również pod kątem ukrycia w nich pewnych dóbr, w tym legendarnej Bursztynowej Komnaty. Opisywana wyprawa była monitorowana przez wywiad radziecki, a w ekipie znalazł się również funkcjonariusz SB. – *W roku 1964 wpakowano mi w trybie służbowym parę osób, co do których już po pierwszej dobie wiedziałem, że są z wywiadu. Dało mi to ogląd kto się interesuje moimi działaniami. Był to wywiad polski i sowiecki. Wyciągnęli dobre wędliny, wędzone węgorze i najlepszą ówcześnie wódkę, próbując wyciągnąć potrzebne im informacje. Na szczęście zorientowałem się dość szybko i to ja ich upiłem, a nie oni mnie* – wspomina dr Wilczur. Akcja zakończyła się nagle, została odwołana bez jakiejkolwiek sensownej przyczyny.

Należy zwrócić uwagę, że ówczesna Służba Bezpieczeństwa, wraz ze stopniowym otwieraniem się granic, zaczęła notować coraz częstsze przypadki prowadzonych poszukiwań przez obywateli niemieckich, wywożących pewne ilości dóbr przez granicę zachodnią, głównie z terenów Sudetów. Wpłynęło to zapewne na zainteresowanie się tego typu sprawami i wzmocnienie komórek kontrwywiadu zarówno Milicji Obywatelskiej jak i SB.

Lata 70.

Na początku dekady pojawia się niezwykle ważna postać, prekursor poszukiwań skarbów w Sudetach i jednocześnie źródło wielu informacji na ten temat, ówcześnie kapitan komórki kontrwywiadu wrocławskiej Służby Bezpieczeństwa Stanisław Siorek. W trakcie swojej działalności operacyjnej zetknął się problemem poszukiwań ukrytych dóbr na Dolnym Śląsku. Korzystając z dotychczasowego dorobku swoich poprzedników i własnych doświadczeń, rozpoczął żmudny proces gromadzenia informacji dotyczących potencjalnych i rzeczywistych miejsc przechowywania depozytów poniemieckich. Oficer ten był również członkiem Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, co umożliwiało bezpośredni dostęp do materiałów archiwalnych tej instytucji oraz żyjących świadków interesujących go wydarzeń. Początkowo w ramach obowiązków służbowych, następnie hobbystycznie, opracował obszerną dokumentację, która w kolejnej dekadzie stała się prawdopodobnie podstawą do przeprowadzenia największej akcji eksploracyjnej zorganizowanej od zakończenia II wojny światowej. Materiały Stanisława Siorka zawierały informacje dotyczące miejsc ukrycia depozytów ludności, skrytek zawierających walory bankowe, zaginione dzieła sztuki oraz archiwalia. Jednocześnie oficer starał się zainteresować możliwością wydobycia dóbr swoich przełożonych i władze państwowe. W latach 80. jego marzenia się spełniły...

Wydaje się, że zaangażowanie służb w tym okresie ograniczało się raczej do monitorowania niż konkretnych działań. Przykład operacji „Żelazo" może sugerować, że nielegalne pozyskiwanie środków na działalność operacyjną tajnych służb, ograniczały się raczej do działań o charakterze przestępczym i rabunkowym niż do konkretnych akcji poszukiwań ukrytych dóbr poniemieckich.

Lata 80.

Dekada najgłębszego kryzysu PRL, stanu wojennego i generała Jaruzelskiego. – *Postępujący upadek gospodarczy i tragiczna sytuacja ekonomiczna sprawiły, że ekipa rządząca poszukiwała wszelkich środków*

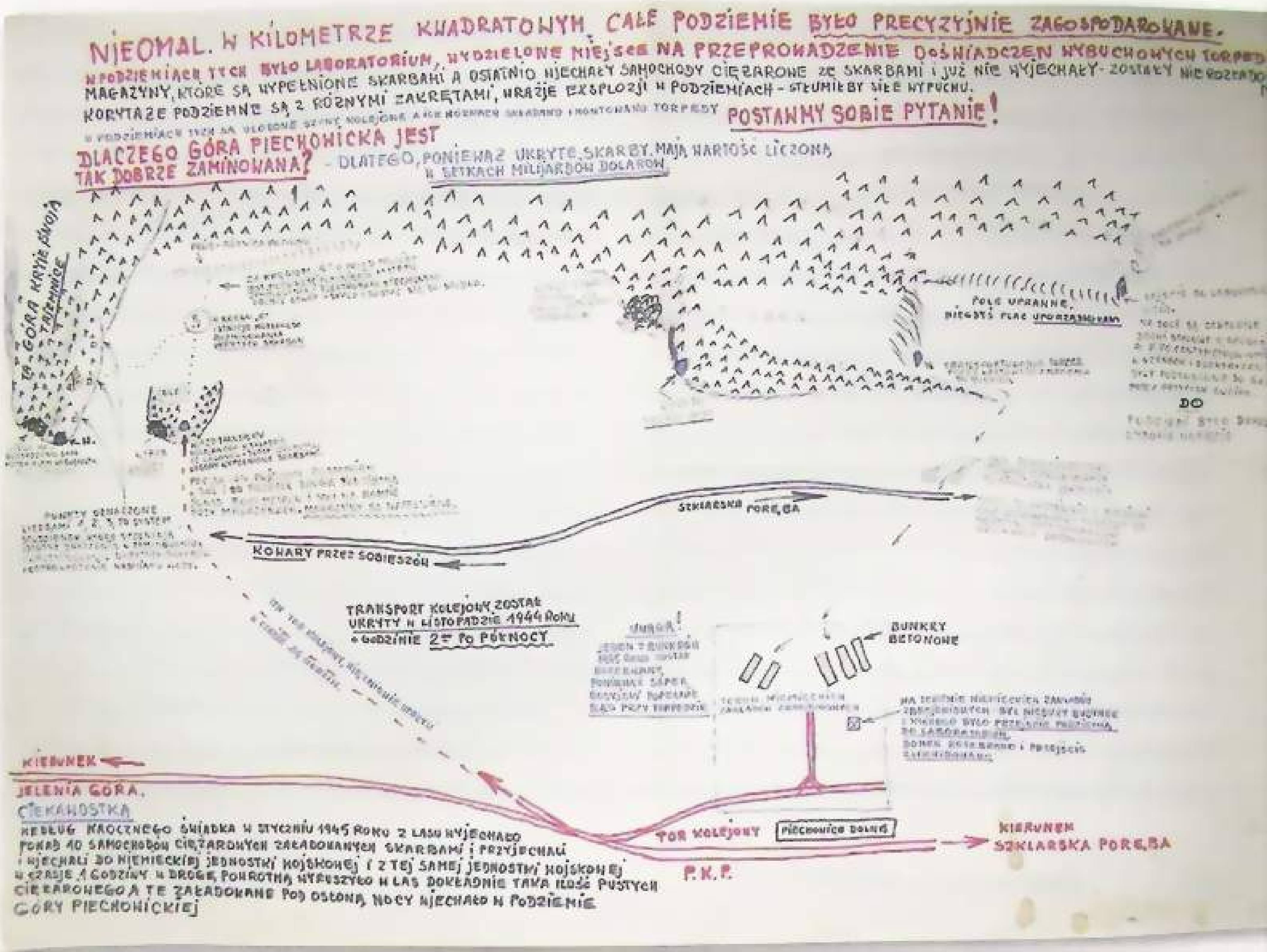

Jedna z pierwszych własnoręcznych map sporządzonych przez Władysława Podsibirskiego.

zaradczych, aby zatrzymać proces upadku systemu komunistycznego w Polsce. Obok wielu desperackich przedsięwzięć mających na celu zarówno ratowanie własnego wizerunku, jak i podreperowanie stanu finansów państwowych, rząd podjął się jednej z najbardziej kuriozalnych akcji w historii Polski – mówi Robert Kudelski, autor książki *„Złoto generałów"* dotyczącej m.in. omawianej poniżej akcji.

Jak się okazuje Stanisław Siorek nie był jedynym oficerem służby bezpieczeństwa żywotnie zainteresowanym penetracją nazistowskich skrytek. Amatorzy drugowojennych tajemnic zajmowali również znacznie wyższe stanowiska. Inicjatorem akcji był generał Czesław Kiszczak, Minister Spraw Wewnętrznych od 1981 roku, wcześniej szef Zarządu II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego (1972-1979) oraz Wojskowej Służby Wewnętrznej (1979-81). Tak więc człowiek zarządzający wojskowym wywiadem i kontrwywiadem oraz najważniejszym resortem siłowym dla bezpieczeństwa publicznego, mający dostęp do największych tajemnic państwa, zdecydował się w drugiej połowie 1980 roku na poważną, zakrojoną na szeroką skalę akcję eksploracyjną firmowaną przez MSW, WSW i MON. Miała ona na celu odnalezienie depozytów bankowych ukrytych w rejonie Sudetów, znanych dzisiaj jako „złoto Wrocławia". Na początku powołano więc zespół rekonesansowy oficerów reprezentujących powyższe służby, i w oparciu o posiadane materiały archiwalne, dokumenty i zeznania świadków rozpoczęto (poprzez wywiad terenowy) typowanie najbardziej obiecujących miejsc ukrycia hitlerowskich dóbr. Wyniki tych działań były na tyle obiecujące, że zespół został rozbudowany o oddział saperów, operatorów geofizycznego sprzętu pomiarowego reprezentujących wojskowe i cywilne ośrodki badawcze. Ekipa została również wyposażona w znaczną ilość sprzętu ciężkiego, użytego do zaawansowanych prac ziemnych. Równolegle trwały poszukiwania archiwalne mające na celu ostateczne wytypowanie obiektów rokujących największe nadzieje, głównie depozytów bankowych III Rzeszy. Ostatecznie wyznaczono do penetracji 11 lokalizacji potencjalnych obiektów, jednak w trakcie działań liczba miejsc objętych pracami uległa zwiększeniu. Badania prowadzono z przerwami do 1982 roku oraz w latach 1985-1986. Niestety, nie przyniosły zamierzonych efektów. Właściwie nie odnaleziono nic poza zupełnie niezwiązanym z III Rzeszą skarbem Piastów Śląskich w Lubiążu. Przynajmniej oficjalnie. Przyczyniły się za to pośrednio do rozpropagowania idei eksploracji oraz powstania wielu legend, które dodatkowo popularyzował wspomniany wcześniej, uczestniczący również w powyższej akcji Stanisław Siorek. Zaangażowanie w poszukiwania służb specjalnych ugruntowało również przekonanie o ich przemożnym wpływie na wszelkie działania eksploracyjne, prowadzone w późniejszym okresie. W pewnym stopniu ma to swoje uzasadnienie, jednak ze względu na specyfikę tajnych służb, których zadaniem jest pozostawać niezauważalnymi (chyba, że wytyczne mówią inaczej) trudno tę tezę zweryfikować. Istnieje również prawdopodobieństwo zaangażowania się w eksplorację byłych funkcjonariuszy tychże służb, co uwidacznia się dekadę później.

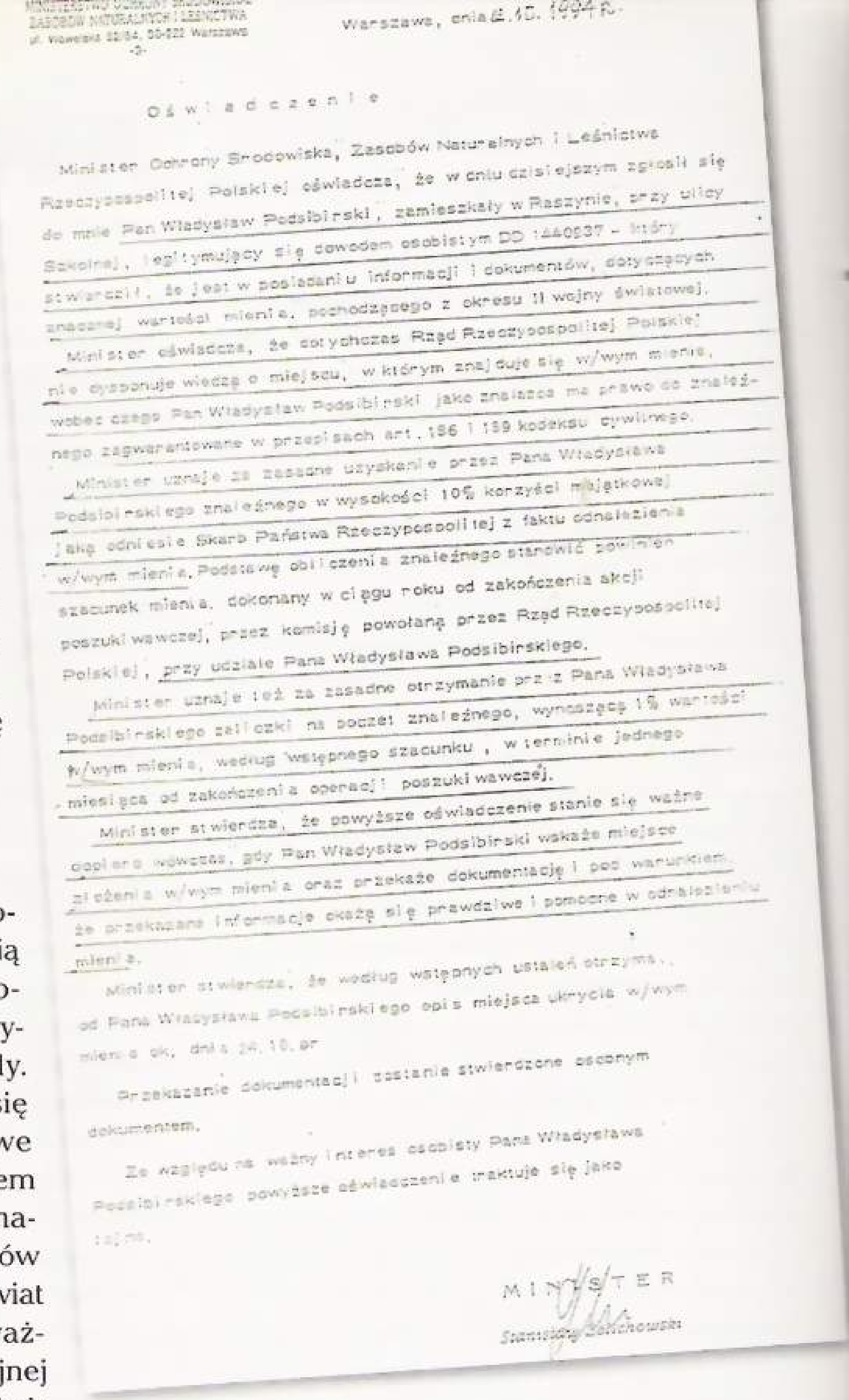
MINISTERSTWO OCHRONY ŚRODOWISKA
ZASOBÓW NATURALNYCH I LEŚNICTWA
ul. Wawelska 52/54, 00-922 Warszawa
-3-

Warszawa, dnia 2.10.1994 r.

Oświadczenie

Minister Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa
Rzeczypospolitej Polskiej oświadcza, że w dniu dzisiejszym zgłosił się
do mnie Pan Władysław Podsibirski, zamieszkały w Raszynie, przy ulicy
Sokolnej, legitymujący się dowodem osobistym DD 1440537 - który
stwierdził, że jest w posiadaniu informacji i dokumentów, dotyczących
znacznej wartości mienia, pochodzącego z okresu II wojny światowej.
Minister oświadcza, że dotychczas Rząd Rzeczypospolitej Polskiej
nie dysponuje wiedzą o miejscu, w którym znajduje się w/wym mienie,
wobec czego Pan Władysław Podsibirski jako znalazca ma prawo do znaleźnego zagwarantowane w przepisach art. 186 i 189 kodeksu cywilnego.
Minister uznaje za zasadne uzyskanie przez Pana Władysława
Podsibirskiego znaleźnego w wysokości 10% korzyści majątkowej
jaką odniesie Skarb Państwa Rzeczypospolitej z faktu odnalezienia
w/wym mienia. Podstawę obliczenia znaleźnego stanowić powinien
szacunek mienia, dokonany w ciągu roku od zakończenia akcji
poszukiwawczej, przez komisję powołaną przez Rząd Rzeczypospolitej
Polskiej, przy udziale Pana Władysława Podsibirskiego.
Minister uznaje też za zasadne otrzymanie przez Pana Władysława
Podsibirskiego zaliczki na poczet znaleźnego, wynoszącą 1% wartości
w/wym mienia, według wstępnego szacunku, w terminie jednego
miesiąca od zakończenia operacji poszukiwawczej.
Minister stwierdza, że powyższe oświadczenie stanie się ważne
dopiero wówczas, gdy Pan Władysław Podsibirski wskaże miejsce
ukrycia w/wym mienia oraz przekaże dokumentację i pod warunkiem,
że przekazane informacje okażą się prawdziwe i pomocne w odnalezieniu
mienia.
Minister stwierdza, że według wstępnych ustaleń otrzymał
od Pana Władysława Podsibirskiego opis miejsca ukrycia w/wym
mienia ok. dnia 24.10.br
Przekazanie dokumentacji zostanie stwierdzone osobnym
dokumentem.
Ze względu na ważny interes osobisty Pana Władysława
Podsibirskiego powyższe oświadczenie traktuje się jako
tajne.

MINISTER
Stanisław Żelichowski

Lata 90.

Wraz z transformacją ustrojową, demokracją, wolnością słowa, postępem technologicznym itp. eksploracja „wypłynęła" na szerokie wody. Wykrywacze metalu stały się dostępne, historie skarbowe były obowiązkowym dodatkiem niemal każdej gazety, a amatorskie poszukiwania skarbów stały się modnym hobby. Świat się jakby skurczył, a najważniejszy element eksploracyjnej układanki, jaką jest niewątpliwie informacja, był w zasięgu ręki niemal każdego. Otworzyły się również, częściowo niedostępne do tej pory archiwa i instytucje. Wydawało się, że w takich okolicznościach nie ma siły, aby nie nastąpił przełom, a legendy, ze sfery domysłów stały się faktem. Wiele na to wskazywało, a rozwiązanie największych tajemnic bywało niezmiernie blisko. Dusze i umysły pasjonatów tajemnic rozpalała „szczelina jeleniogórska", niezwykła, wielopoziomowa skrytka zawierająca potężne ilości dzieł sztuki, biżuterii, złota i archiwaliów. Ten na wpół legendarny schowek, którego lokalizacji do dzisiaj nikt, poza „zainteresowanymi" osobami nie zna, był i jest bardzo realny, znamy wręcz kilka dość szczegółowych opisów jego wnętrza i zawartości, tym bardziej, że co jakiś czas „wychodzą" na światło dzienne przedmioty pochodzące ze „szczeliny". Pikanterii i dramaturgii sprawie dodaje fakt, że w nieznanych okolicznościach zginęło kilka osób zbyt zainteresowanych sprawą, i oczywiście udział w odkryciu i eksploatacji byłych... funkcjonariuszy służb specjalnych. Na pewnym etapie znalazcy chcieli przez pośredników zalegalizować swój skarb, zgłosić państwu, lecz ryzyko było chyba zbyt duże i zdania zbyt podzielone.

Zupełnie odwrotna sytuacja ma się ze sprawą „złotego pociągu" ukrytego w Górze Sobiesz nieopodal Piechowic (woj. dolnośląskie). Władysław Podsibirski od samego początku próbował zainteresować jego wydobyciem polskie władze, co mu się zresztą udało. Podpisana została umowa, ruszyły pewne procedury, UOP sprawdzał wiarygodność informacji, zostały przeprowadzone badania terenowe i stosowna akcja przy udziale ekip prywatnych inwestorów. Niestety, efekt jest na chwilę obecną – żaden, chociaż sprawa jest nadal w toku, trwają cały czas badania, szykowane są kolejne akcje...

Do tej sprawy jeszcze wrócimy, dla porządku jednak warto wspomnieć o jeszcze jednym „żelaznym temacie" – poszukiwaniu Bursztynowej Komnaty, której tropy zaprowadziły poszukiwawczy w latach 90. do kilkunastu miejsc w samej tylko Polsce, żeby nie wymienić najgłośniejszych domniemanych lokalizacji jak Pasłęk czy Bolków. Tropy i w tej sprawie prowadziły donikąd... Warto także opowiedzieć o próbie rozwiązania tajemnicy kompleksów „Riese" w Górach Sowich, gdzie mimo że nie udało się jej zgłębić do końca, zagospodarowano trzy z nich, a poziom uzyskanej wiedzy i badań tam prowadzonych stanowi niewątpliwie chlubną kartę polskiej eksploracji. No cóż, nie sposób pominąć internetu, chyba najbardziej „bogatego w skarby" medium, gdzie na forach wirtualna eksploracja przybiera skalę nieznaną do tej pory w realnym świecie.

Oczywiście wymienione przykłady skarbów mogą się wydać znawcom tematyki nieco wybiórczo dobrane, niemniej są to przykłady najbardziej spektakularne, nie pomniejszając oczywiście roli, jaką miały liczne akcje w innych częściach Dolnego Śląska, Sudetów, czy też w pozostałych rejonach Polski.

„Złoty pociąg", „Kielczanin", minister, UOP

Przyczynkiem do tego skromnego podsumowania, była wspomniana na wstępie, głośna ostatnio sprawa zawartości szafy pułkownika Urzędu Ochrony Państwa Jana Lesiaka i zaangażowania jego zespołu w znacznie bardziej pasjonującą działalność niż inwigilacja prawicy, a mianowicie, weryfikację wiarygodności informacji dotyczących „złotego pociągu" z Piechowic. Dzięki „wyciekowi" tej sprawy, mamy możliwość poznania procedur i pewnego mechanizmu postępowania polityków, urzędników i jednocześnie służb specjalnych w przypadku pojawienia się informacji o skarbie.

Historia „złotego pociągu" jest dobrze znana i wielokrotnie powielana. Prasa w połowie lat 90. rozpisywała się obszernie o politycznej i sensacyjnej otoczce tego tematu. Dla porządku jednak, warto przypomnieć kilka najważniejszych faktów, tym bardziej, że uda nam się rozpatrzyć tę sprawę z pewnym emocjonalnym dystansem zarówno naszym, jak i głównych bohaterów tej historii oraz z perspektywy czasu.

„Kielczanin"

Inicjatorem poszukiwań i ojcem „złotego pociągu" w górze Sobiesz był Władysław Podsibirski. Poświęcił na badanie tej sprawy wiele lat, jednak w gruncie rzeczy do tej pory trudno znaleźć odpowiedź skąd czerpał inspiracje i rzeczywiste informacje dotyczące licznych szczegółów wydarzeń rozgrywających się w Piechowicach w 1944 i 1945 roku. Dzisiaj wiemy, że „sprawcą" był Henryk G. obecnie mieszkaniec Kielc, cichy bohater tej historii, który w Kielcach na długie lata ukrył swoją przeszłość. Równie tajemniczy jest moment zetknięcia się obu panów. – *Poszukiwania dokumentów odbyło się poprzez Niemcy, Kanadę i Boliwię, a odnalazłem je w polskich Kielcach. Dokumenty zostały przejęte od córki wdowy wysokiego funkcjonariusza III Rzeszy stacjonującego w Petersdorfie* – pisze w swoim opracowaniu Władysław Podsibirski.

Rzeczywista wersja brzmi już znacznie bardziej banalnie. „Kielczanin" miał być zaopatrzeniowcem z Piechowic, który przywoził z Raszyna, z firmy Wł. Podsibirskiego, części. Przez lata panowie zaprzyjaźnili się, a wspólną ich pasją były opowieści o nieprzebranych bogactwach ukrytych na Dolnym Śląsku, m.in. w Górze Sobiesz, o których „Kielczanin", a wtedy jeszcze „Piechowiczanin" wiedział bardzo dużo. Kim był Henryk G.? Teorii jest mnóstwo. – *Był to jeden ze strażników SS, oddelegowany do ochrony pociągów obsługujących trasę do Piechowic. Był świadkiem wtoczenia „złotego pociągu" do wnętrza Góry Sobiesz. Wszedł również w posiadanie dokumentacji jego ukrycia* – opowiada Ryszard Wójcik, dziennikarz telewizyjny, autor wielu eksploracyjnych publikacji oraz członek ekipy prowadzącej badania Piechowic w 1997 roku. On również miał być posiadaczem oryginalnej dokumentacji niemieckiej i ostatecznie wskazać miejsce ukrycia wszelkich dóbr. Inna teoria mówi, że „Kielczanin" to tzw. strażnik, członek Hitlerjugend, który tylko z daleka widział ukrycie skarbu. Warto wspomnieć, że Henryk G. był przesłuchiwany przez UOP, który jednak ocenił wiarygodność informacji świadka bardzo nisko.

Minister

W tajnym oświadczeniu sygnowanym przez Ministra Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa Stanisława Żelichowskiego, z października 1994 roku, możemy przeczytać o wstępnych ustaleniach z Władysławem Podsibirskim dotyczących sporządzenia przyszłej umowy. Określona została nagroda za wskazanie miejsca ukrycia „*znacznej wartości mienia (...) w wysokości 10% korzyści majątkowej, jaką odniesie Skarb Państwa Rzeczpospolitej z faktu odnalezienia w/w mienia*". Jednak tylko wtedy, gdy „*(...) Pan Władysław Podsibirski wskaże miejsce złożenia w/wym mienia oraz przekaże dokumentację i pod warunkiem, że przekazane informacje okażą się prawdziwe i pomocne w odnalezieniu mienia*". Tak więc wysokiej rangi polityk podjął pewne zobowiązanie, i jednocześnie zapewne wszczął procedurę sprawdzającą. Co ciekawe, udało nam się dotrzeć do ekspertyzy geofizycznej Góry Sobiesz zleconej według naszych źródeł przez UOP jeszcze w 1994 roku. Materiał ten nie został jednak nigdy odebrany, ani opłacony. Faktem jest, że wyniki nie były rewelacyjne i jednoznaczne, lecz czy to były powody? Na pewno nie, gdyż teoretycznie UOP o tym nie wiedział. Więc wynik przeoczenia, czyjegoś zaniedbania czy świadomego działania? Pułkownik Lesiak o ekspertyzie z pewnością nie wiedział...

Tak czy inaczej, 9 maja 1995 roku Minister Finansów, reprezentowany przez dyrektora generalnego w randze wiceministra Jana Bogutyna, podpisał umowę w głównych założeniach opartą na zasadach ustalonych we wcześniejszym oświadczeniu ministra Żelichowskiego. Politycy zapewne działali w porozumieniu i za zgodą swoich przełożonych, włącznie z premierami Józefem Oleksym, a wcześniej Waldemarem Pawlakiem. W międzyczasie, następuje szereg wydarzeń, w wyniku których nigdy nie doszło do poszukiwań organizowanych przez stronę rządową. Szczegóły tej sprawy są trudne do uchwycenia, obie strony rzucały wzajemne oskarżenia o nie wywiązanie się z umowy, dodatkowo Władysław Podsibirski oskarżył UOP o wykradzenie oryginalnej dokumentacji z rąk ich właściciela, oraz o jego zastraszenie. Wymiana przebogatej korespondencji pana Podsibirskiego, oficjalne skargi wysyłane do wszystkich prawie polityków i do różnych instytucji publicznych trwają do dzisiaj. Bez specjalnego odzewu.

Historia jest o tyle ciekawa, że zapewne w wyższych sferach rządowych istniała, przez pewien czas, być może nadal istnieje silna frakcja sprzyjająca idei poszukiwań „złotego pociągu" i innych walorów wskazywanych przez Władysława Podsibirskiego. Jednak to nie rząd, a prywatni inwestorzy przez szereg lat sponsorowali niezwykle zaawansowane badania geodezyjne oraz prace ziemne z wykorzystaniem sprzętu ciężkiego ponosząc olbrzymie koszty. W pracach tych w 1997 roku uczestniczył m.in. Ryszard Wójcik, który filmował przebieg całej akcji. – *Polsat zakontraktował ze mną reportaż o poszukiwaniach „złotego pociągu", który miał być początkiem cyklu. Niestety, gotowy, przygotowany do emisji materiał, zdjął mi UOP.* Należy zaznaczyć, że nie była to jedyna ekipa pracująca ówcześnie na Górze Sobiesz. Równolegle, na drugim zboczu pracowała zupełnie inna ekipa. Prace prowadziły również jednostki Nadwiślańskie, które przywiozły własny sprzęt. Dalej próba rekonstrukcji wydarzeń i działań w Piechowicach jest zbyt skomplikowana, a uchwycenie jakiejkolwiek chronologii i identyfikacja pracujących ekip niemal niemożliwa. Niewątpliwie działania tam prowadzone są na pewno na swój sposób monitorowane do dzisiaj.

Władysław Podsibirski zajmuje się tematem Piechowic od kilkudziesięciu lat, w trakcie których zebrał „niepodważalne" dowody na istnienie skarbów oraz własnoręcznie opracował szereg dokumentów i map. W środowisku poszukiwaczy skarbów uważany jest za postać kontrowersyjną, tak samo zresztą jak jego teorie. Nie można jednak zapomnieć, że jako jedynemu udało się mu przekonać rząd, do podjęcia pewnych działań, kilka profesjonalnych ekip poszukiwawczych oraz zdobyć znaczne środki finansowe od licznych sponsorów. Pomimo upływu wielu lat, Piechowice wraz z okolicami są z jego inspiracji systematycznie badane. Sprawa „złotego pociągu" jest jedną z niewielu, która pozwala zapoznać się z metodyką działań służb specjalnych, również w kwestii poszukiwań skarbów. Z tym większą przyjemnością zapraszamy do krótkiej rozmowy jaką przeprowadziliśmy z płk Janem Lesiakiem – jednym z głównych bohaterów tej historii.

Wiemy, że był Pan zaangażowany w zupełnie inne działania niż poszukiwania skarbów. Jak to się stało, że przydzielono Panu sprawę „złotego pociągu"?

Jak zawsze zadania i tematy do rozpracowania dostawałem od szefa. Tylko uwaga... jeżeli mówi się, że nam kazano szukać skarbów, to trzeba zdać sobie sprawę z bardzo ważnej rzeczy. Otóż takie potencjalne działania, mają charakter sporej inwestycji. Przed jej rozpoczęciem, naszym zadaniem było przede wszystkim sprawdzenie wiarygodności tych informacji oraz określenie, czy warto się tym zająć.

Wszystkie działania podejmowane przez Pana można określić mianem „specjalne". Przyzna Pan, że to zadanie było wyjątkowe i odmienne od tych, którymi zajmowaliście się do tej pory. Jak zatem odnalazł się Pan w tych specyficznych realiach skarbów, złota i eksploracji?

Muszę powiedzieć, że do tych działań przystąpiliśmy niezwykle podekscytowani. Przygoda szykowała się niesamowita, jednak staraliśmy się podchodzić do tej sprawy na chłodno. Z jednej strony przygoda, z drugiej, czysta kalkulacja. W „Rzeczpospolitej" były zamieszczane notowania złota. Jak zacząłem przeliczać 40 mld $ w złocie na wagony o nośności 20 ton, wyszło mi, że pociąg miałby długość kilku kilometrów. To mnie trochę ostudziło. Poza tym były jeszcze inne względy. Po pierwsze, po wojnie stacjonowali w okolicy dość długo Rosjanie. Nie było działań wojennych, więc mogłem przypuszczać, że mieli bardzo dużo czasu i... podstawowe środki do prowadzenia zaawansowanych poszukiwań. Dostęp do źródeł informacji w postaci jeńców i autochtonów, odpowiednie służby do weryfikowania ich relacji, ponadto sprzęt, ludzi i tanią siłę roboczą. Po drugie, poszliśmy po tropach źródeł pana Podsibirskiego i mieliśmy wrażenie, że raczej mówiono mu to, co chciał usłyszeć, a nie to, co rzeczywiście miało miejsce. Miały być niemieckie zestawienia, mapy... były niestety własnoręczne szkice Podsibirskiego, które miały być tworzone na podstawie oryginalnej dokumentacji... Tej jednak nikt nigdy nie widział.

Czy konsultował się Pan z jakimiś specjalistami z branży... jednej albo drugiej?

Faktycznie pojechaliśmy do Szklarskiej Poręby, gdzie miały miejsce rozmowy z kilkoma co najmniej osobami, w tym również związanymi ze „służbami". Ludzie ci do poszukiwań mieli stosunek neutralny, lecz posiadali pewną wiedzę, która mogła mi się przydać. Przyznaję, że w tej sprawie zdania ich były jednak podzielone.

Dość szybko Pański zespół uzgodnił, że relacje Pana Podsibirskiego nie są jednak wiarygodne na tyle, aby podjąć działania. Czy był to jednak koniec Pańskiej roli w tej sprawie?

I tak i nie. Sporządziliśmy raport dla ministra Kołodki, w którym napisaliśmy, że informacje dotyczące skarbu są mało wiarygodne i na tym etapie zakończyliśmy oficjalną część. Mieliśmy jednak świadomość, że gdybyśmy się pomylili i odpuścili do końca temat, to konsekwencje byłyby znaczne... obecna afera z inwigilacją prawicy przy tej sprawie byłaby niewinną igraszką. W związku z tym staraliśmy się monitorować sytuację, zbieraliśmy informacje. To trwało dość długo... Dzisiaj wydaje się, że nasza ocena sytuacji była słuszna.

Jak i czy planowaliście ewentualne utajnienie akcji wydobywczej?

Faktycznie, już w pierwszym etapie naszych działań, wybiegając myślami w przyszłość, zastanawialiśmy się jak my to zrobimy, żeby tak potężną akcję zachować w jako takiej dyskrecji. W razie przecieku byłby przecież na miejscu tłum gapiów i mediów. Niestety, do końca nie mieliśmy pomysłu, na którego realizację byłoby nas stać. Pamiętajmy, że i po naszej stronie wszystko rozbijało się o koszty, a umowa z panem Podsibirskim przewidywała jedynie jego dziesięcioprocentowy udział w skarbie, przy zerowym wkładzie własnym w jego wykopanie, czyli koszty inwestycji ponosić miał w całości budżet państwa.

Czy przebogate archiwa Pańskiej instytucji były pomocne w tej sprawie?

Nasze archiwa powszechnie uważane są za najbogatsze, pełne, i że mamy najwięcej tajnych dokumentów. Nic bardziej mylnego. Otóż materiały służb specjalnych są zawsze mocno okrojone, niepełne i wyrywkowe. Są np. materiały tzw. „twarde" w sensie operacyjnym, wynikające z podsłuchów i innych technik operacyjnych, szczegółowe i na temat. Lecz nawet tego typu dokumenty nie gwarantują sukcesu, bo mogą być nadinterpretowane przez prowadzącego, bądź nawet celowo wzbogacane o pewne treści. Tak więc materiały służb specjalnych nie mogą być traktowane jako pewnik. Samo zdobywanie informacji ze względu na pewne rygory obarczone jest sporym ryzykiem błędu. Tego typu informacje trudno weryfikować, w dodatku w ten sposób, aby nie zdekonspirować źródła i swoich zainteresowań.

Panie pułkowniku, czy w Pańskiej „szafie" przypadkiem nie ma archiwum Stanisława Siorka?

Niestety nie ma. Owszem zapoznałem się przy okazji z jego notatkami, ale na pewno ich nigdy nie przechowywałem.

Dziękujemy za rozmowę.

Zdjęcia, dok.: arch. redakcji

Autorzy serdecznie dziękują za pomoc w przygotowaniu artykułu: płk Henrykowi Piecuchowi, Robertowi Kudelskiemu, dr Jackowi Wilczurowi, Ryszardowi i Alicji Wójcikom, Władysławowi Podsibirskiemu, Janowi Pawlickiemu oraz Lechowi Zwirełło.

LITERATURA:

Materiały własne Władysława Podsibirskiego

1. Gębczak J. „Losy ruchomego mienia kulturalnego i artystycznego na Dolnym Śląsku w czasie II wojny światowej", Wrocław 2000

2. Sukmanowska A. Stolarczyk S. „Tańcząc na wulkanie", Warszawa 1991

3. Sayer J., Botting D. „Złoto III Rzeszy", Warszawa 1999

4. Piecuch H. „Skarb III Rzeszy", Warszawa 1999

5. Wójcik R. „Łowcy Skarbów", Warszawa 1997

6. Kowalski J.M, Kudelski J.R. „Złoto generałów. Służby specjalne PRL na tropie skarbów III Rzeszy", Wrocław 2005.

Historia na srebrnym ekranie

PIOTR MASZKOWSKI

Historia od jakiegoś czasu stała sie modna. Ma to swoje plusy i minusy... jedno jest pewne – nie stracą na tym pasjonaci tej nauki, oraz miłośnicy wszelkich tajemnic przeszłości. Ponieważ poza wątkiem patriotyczno-martyrologicznym okresu PRL, ukochanym przez obecny układ polityczny, jest szansa na częstsze pojawianie się tematyki eksploracyjno-historycznej na ekranach naszych telewizorów. Po okresie posuchy w tym względzie, kiedy programy te ukazywały się sporadycznie zaczęła się istna rewolucja. I nie chodzi tu o wysyp programów, a powstawanie tematycznych kanałów telewizyjnych.

Poszukująca wspomnień Faye Schulman przed laty i...

... obecnie.

Od kiedy programy Bogusława Wołoszańskiego, zniknęły z ekranów telewizorów, poza Adamem Sikorskim i jego „Było nie minęło", żadna ze stacji telewizyjnych, państwowych czy komercyjnych, nie znalazła odpowiedniej formuły na program historyczny cieszący się akceptowalną przez dyrektorów programowych oglądalnością. Wydaje się, że konkurujący ze sobą nadawcy przegapili coś niesamowicie istotnego, a mianowicie wzrastający trend, jaką niewątpliwie jest społeczna potrzeba poznawania przeszłości. Co więcej, według wszelkich badań Polacy słabo znają swoją historię, ale uwielbiają ją oglądać. Potwierdzają to wyniki oglądalności kanału „Discovery" sprzed kilku lat, dostępnego jedynie na platformach cyfrowych i w sieciach kablowych. Mimo tego, żaden jednak polski nadawca telewizyjny nie zdecydował się na wprowadzenie do oferty, w pewnym chociaż stopniu, podobnych programów.

Coś jednak drgnęło, a może i nawet mocniej się poruszyło, bo z nicości oto wyłaniają się już nie programy, a tematyczne kanały telewizyjne. „TVP Historia" oraz „TVN Discovery Historia" są poświęcone w całości prezentowaniu przeszłości, jednak wydaje się, w dwóch odmiennych koncepcjach. Niestety, oba dostępne będą jedynie na platformach cyfrowych, choć jest również szansa, że część produkcji trafi na ogólnodostępne anteny TVP i TVN. Odmienność wynika przede wszystkim z oferty programowej. Kanał telewizji państwowej będzie bazował na przebogatym dorobku własnym, ogromnych zasobach archiwalnych TVP i produkcji bieżącej. Historia będzie prezentowana w formie filmów dokumentalnych, programów publicystycznych i debat o charakterze edukacyjnym i informacyjnym (z udziałem największych autorytetów naukowych w państwie), w których walka o rzetelność i jedyną prawdę historyczną będą odgrywały kluczową rolę. 11 listopada br. została zainaugurowana działalność tej stacji, a start jej planowany jest z początkiem roku 2007.

Dzięki uprzejmości stacji TVN, redakcja „Odkrywcy" miała przyjemność uczestniczyć w inauguracji kanału „TVN Discovery Historia", który działa na platformie „n" już od 15 listopada. Oferta składa się głównie z produkcji znanych z kanału „Discovery" oraz TVN i podawana będzie w przystępny sposób, w formie raczej bliższej młodszemu odbiorcy. Obok oczywistej funkcji edukacyjnej, programy mają być przede wszystkim intelektualną i pouczającą zarazem rozrywką, gdzie poznawanie przeszłości jest fantastyczną przygodą, a badanie jej jednym z bardziej fascynujących zajęć. Całość ubrana jest w atrakcyjną wizualnie i realizatorsko formułę znaną z dotychczasowych produkcji „Discovery". Lecz uwaga. Zapowiada się nie lada gratka, bowiem w znanej już ramówce pojawiają się programy o tematyce m.in. eksploracyjnej, do realizacji której zaproszono także naszą redakcję. W cyklu „Sekrety i skarby" zaprezentowane będą m.in. tematy poświęcone tajemnicom twierdzy kłodzkiej, poszukiwaniom „Portretu Młodzieńca", „Rafaela" i innym zaginionym w czasie wojny dziełom sztuki, oraz zagadkom Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. Poza tym godny polecenia wydaje się cykl „Wywołane z pamięci", realizowany przy wykorzystaniu archiwalnych, lecz amatorskich taśm 16 i 8 mm zawierających autentyczny zapis ludzkich losów rozgrywających się na tle wielkiej historii. Poza tym ukażą się kolejne nie emitowane do tej pory odcinki „Wielkich ucieczek". W programie „W poszukiwaniu wspomnień" będzie okazja do zapoznania sie z losami pięknej dziewczyny, fotografa – Faye Schulman. Na podstawie autentycznych zdjęć program przenosi nas w koszmar wojennej zawieruchy widzianej obiektywem wrażliwej kobiety, dokumentującej dzień po dniu życie partyzanckiego oddziału. Z kolei w produkcji zatytułowanej „Gabby", mamy okazję prześledzić historię amerykańskiego pilota polskiego pochodzenia, asa II wojny światowej i wojny w Korei – Francisa Stanleya Gabreskiego, zrealizowanej na podstawie odnalezionych niedawno materiałów filmowych. Z miesiąca na miesiąc oferta programowa będzie z pewnością bogatsza.

Już niedługo nowe nieemitowane odcinki „Wielkich ucieczek".

Funkcjonowanie równolegle dwóch zbliżonych tematycznie kanałów, będzie zapewne motywował obie stacje do uatrakcyjniania oferty i wzbogacania jej o nowe, bliskie nam wszystkim tematy historyczne. Tak więc po latach posuchy mamy szansę na istną eksplozję treści historycznych płynących do nas ze srebrnego ekranu. Być może przy okazji uda się odkryć niejedną zgłębianą od lat tajemnicę? Cóż, czas pokaże.

Zdjęcia: mat. prasowe „TVN Discovery Historia"

Modlińskie Święto Odzyskania Niepodległości

PATRONAT MEDIALNY
ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

JAREK MOŻDŻYŃSKI

12 listopada br. na terenie Fundacji „Park Militarny Twierdzy Modlin" odbył się cykl imprez „Spotkania z żywą historią". Celem imprezy było uczczenie Święta Odzyskania Niepodległości. Impreza finansowana była przez Ministerstwo Obrony Narodowej, a konkretnie przez Departament Wychowania i Obronności. Dzięki tym środkom finansowym fundacja mogła maksymalnie uatrakcyjnić program obchodów.

Program imprezy obejmował dwa symboliczne epizody historyczne. Nawiązujące co prawda do czasów II wojny światowej, ale z uwagi, że w całym kraju obchody Święta Niepodległości nawiązywały do wydarzeń z listopada 1918 r., fundacja postanowiła pokazać walkę o odzyskanie niepodległości w nieco innym kontekście. Walkę obronną z przewagą techniczną najeźdźcy i dążenie do niepodległości pomimo braku armii regularnej.

Pierwszą atrakcją jaką mogła obejrzeć licznie przybyła publiczność, była ekspozycja polskiej tankietki TK-S ze zbiorów MWP wraz z załogą w mundurach historycznych. Załoga tankietki reprezentowała GRH „SMOK", odtwarzająca jednostki pancerne w Wojsku Polskim II RP. O godz. 12 widzowie zostali zaskoczeni odgłosami gwizdków i komend w języku polskim i niemieckim. Wśród publiczności, która w bezpośredniej odległości mogła podziwiać akcję, rozpoczęły formowanie pododdziały grup rekonstrukcyjnych. Po krótkiej odprawie i pobraniu broni, oddziały biorące udział w inscenizacjach udały się na zbiórkę, która miała miejsce na placu bitwy. Nie była to ostatnia niespodzianka, nagle wśród szeregów piechoty, motocykli i pojazdów historycznych pojawił się oddział 1. Pułku Szwoleżerów im. J. Piłsudskiego (ze Stowarzyszenia Szwadronu Jazdy RP Stara Miłosna) dowodzony przez porucznika rez. Roberta Woronowicza – człowieka legendę w kręgach kawalerzystów, wielkiego miłośnika i pasjonata jazdy polskiej.

Po godz. 13 rozpoczął się pierwszy epizod inscenizacji. Część rekonstruktorów przebrana za „ludność cywilną" przedstawiła exodus ludności polskiej zmuszonej przez najeźdźcę do opuszczenia domostw. W tę rolę wcielili się rekonstruktorzy ze Stowarzyszenia PSZ, dysponujący nieprzebranymi zasobami ubrań, mundurów i eksponatów. Szturm na pozycje polskie jak zwykle rozpoczęła zmotoryzowana czołówka Kampfgruppe „Lisa". Atakiem dowodził zespół sztabowy GRH „REHN". Sztab ten kierował siłami niemieckimi reprezentowanymi przez GRH „Marienberg", GRH „AA7", GRH „Bastion Grolman", wraz gośćmi z oddziałów niemieckich Strzelców Górskich. Obrona polska składała się z GRH „Kampinos", uniwersalnych rekonstruktorów GRH „Marienberg" oraz gości z GRH „Radosław". Epizod miał na celu pokazanie uporczywej i bohaterskiej walki regularnego Wojska Polskiego oraz wolę dalszej walki w obronie niepodległości, w strukturach konspiracji i utworzonego Podziemnego Państwa Polskiego. Najciekawszym i zarazem najbardziej widowiskowym elementem inscenizacji była szarża szwoleżerów na oddziały niemieckie i ich bezwładny odwrót z pola bitwy. W trakcie przerwy pomiędzy epizodami, szwadron szwoleżerów wykonał pokaz musztry na koniach oraz, najbardziej emocjonującą widzów, pozorowaną walkę bronią białą kawalerii.

Drugi epizod pozwolił zaprezentować publiczności symboliczne wydarzenia z okresu walk partyzanckich, takie jak spadochronowy zrzut Cichociemnych (w tej roli SRH PSZ) oraz schwytanie (wspaniały pomysł GRH „AA7") i odbicie członków ruchu oporu. Wszystkie grupy rekonstrukcyjne dołożyły wszelkich starań, aby te epizody były jak najbardziej zbliżone do prawdy historycznej, i w najbardziej dostępny sposób przekazane widowni. Składamy ogromne podziękowania wszystkim uczestnikom biorącym udział w inscenizacjach. Osobne podziękowania należą się Arturowi „Nietoperzowi" Gacy za wykonanie trudnego zadania lektora, komentującego akcję jaka rozgrywała się na polu walki. Niewidocznymi dla publiczności instytucjami wspierającymi naszą imprezę była: Agencja Mienia Wojskowego OT Warszawa, magazyn „Odkrywca", portal internetowy „Militarni.pl". Jak zwykle wielkie podziękowania należą się Panu Stanisławowi Kęszyckiemu za pomoc logistyczną i transportową. Dzięki Panu Stanisławowi, który zapewnił transport pojazdu, mogliśmy wszyscy podziwiać zabytkowy czołg TK-S. Mamy nadzieję, że kolejna impreza była ciekawym doświadczeniem tak dla rekonstruktorów, jak i publiczności. Chcemy, aby imprezy o tym charakterze wpisały się na stałe w kalendarz inscenizacji w Twierdzy Modlin.

Jeszcze raz Wszystkim bardzo dziękujemy i serdecznie zapraszamy na kolejne imprezy „spotkania z żywą historią" oraz na atrakcyjny i zabytkowy teren architektury militarnej jakim jest Twierdza Modlin.

Zdjęcia: arch. Autora

Nowe formy prezentacji historii

MIROSŁAW ZIENTARZEWSKI

PATRONAT MEDIALNY ODKRYWCA SKARBY • WOJNA • HISTORIA

11 listopada obchodziliśmy jedno z największych świąt państwowych – Święto Odzyskania Niepodległości. Od 1918 r. ta data skłania do refleksji nad burzliwą historią Państwa Polskiego. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie corocznie przygotowuje, obok wystaw tematycznych poświęconych odzyskaniu niepodległości i udziałowi polskich żołnierzy w walce o jej utrzymanie, także historyczny akcent techniczny. W ubiegłym roku Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej – Oddział MWP przygotował wystawę transporterów opancerzonych na Pl. Piłsudskiego w Warszawie, dzięki czemu z wystawionymi muzealiami zapoznało się kilka tysięcy osób. Informacji o historii i zastosowaniu pojazdów udzielali pracownicy muzeum skupieni w I Grupie Rekonstrukcji Historycznej Polskiej Broni Pancernej „SMOK". W tym roku muzeum gościło w swoim Oddziale zwiedzających, którzy przed lub po uroczystościach państwowych związanych z obchodami Święta Niepodległości mogli uczestniczyć w pokazie dynamicznym czołgu T-55 AM „Merida".

Pokaz dynamiczny czołgu T-55 AM „Merida" w czasie I Pikniku Historycznego w Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej.19.VI.

Przedsięwzięcia historyczno-edukacyjne organizowane w plenerze zawsze przyciągają dużą grupę widzów. I Piknik Historyczno-Edukacyjny. 18.VI.

Nieczęsto zdarza się, aby placówka muzealna prezentowała swoje eksponaty wielkogabarytowe poza swoją siedzibą, jednak wymagania stawiane przez zwiedzających zmuszają do poszukiwania nowych form prezentacji historii wojskowej. Muzeum WP próbuje sprostać tym oczekiwaniom uczestnicząc w wielu przedsięwzięciach organizowanych na terenie całego kraju. Ponadto obchody świąt związanych bezpośrednio z Wojskiem Polskim organizowane na terenie muzeum przybrały w ostatnich latach odmienny od dotychczasowego charakter. Obecnie statyczna prezentacja techniki wojskowej odchodzi powoli w zapomnienie. Goście placówek muzealnych oczekują już nie tylko estetyki na wystawach plenerowych i poprawnie wykonanych podpisów, ale chcą oglądać sprzęt muzealny w ruchu lub chociaż posłuchać pracy silnika pojazdu (niestety na sprawne samoloty przyjdzie nam jeszcze długo czekać), który dla Wojska Polskiego jest już historią. Muzealników z pewnością cieszy ta sytuacja, choć niestety, realizacja szeroko zakrojonych prac remontowych jest dla większości placówek muzealnych trudne do udźwignięcia.

Nowe formy prezentacji historii to również współpraca z Grupami Rekonstrukcji Historycznej (GRH). Dopiero połączenie sprawnych muzealiów z dobrze przygotowaną GRH, daje obserwatorowi szanse zrozumienia wielu kwestii, które przy statycznych wystawach są nieosiągalne. Realizując tę formę prezentacji w Oddziale Muzeum przy ul. Powsińskiej 13 kilka razy w roku organizowane są rekonstrukcje historyczne i pokazy sprawnego sprzętu ciężkiego. Od wiosny do jesieni dla zwiedzających jest udostępnione wnętrze czołgu T-55U, wiele osób przyjeżdża do muzeum tylko po to, by móc przybliżyć sobie, a szczególnie dzieciom realia służby w broni pancernej, przez pryzmat zwiedzenia czołgu.

To jedna z wielu dróg nauki historii i patriotyzmu, która dociera do młodzieży bezpośrednio, zachęcając do pogłębiania wiedzy z zakresu historii Polski, pozwalająca zaszczepić właściwe wzorce zachowań i odnaleźć w przeszłości autorytety, których ranga w obecnym świecie jest znikoma. ❑

Zdjęcia: arch. Autora

R E K L A M A

PENelektronik Sopot
0 58 551 42 98 , 0 504 458 599
www.wykrywacze.com.pl
wykrywacze@wykrywacze.com.pl

ELEKTRONIK PEN

MASTER, DUKAT, PIONIER, MAGNETOMETRY

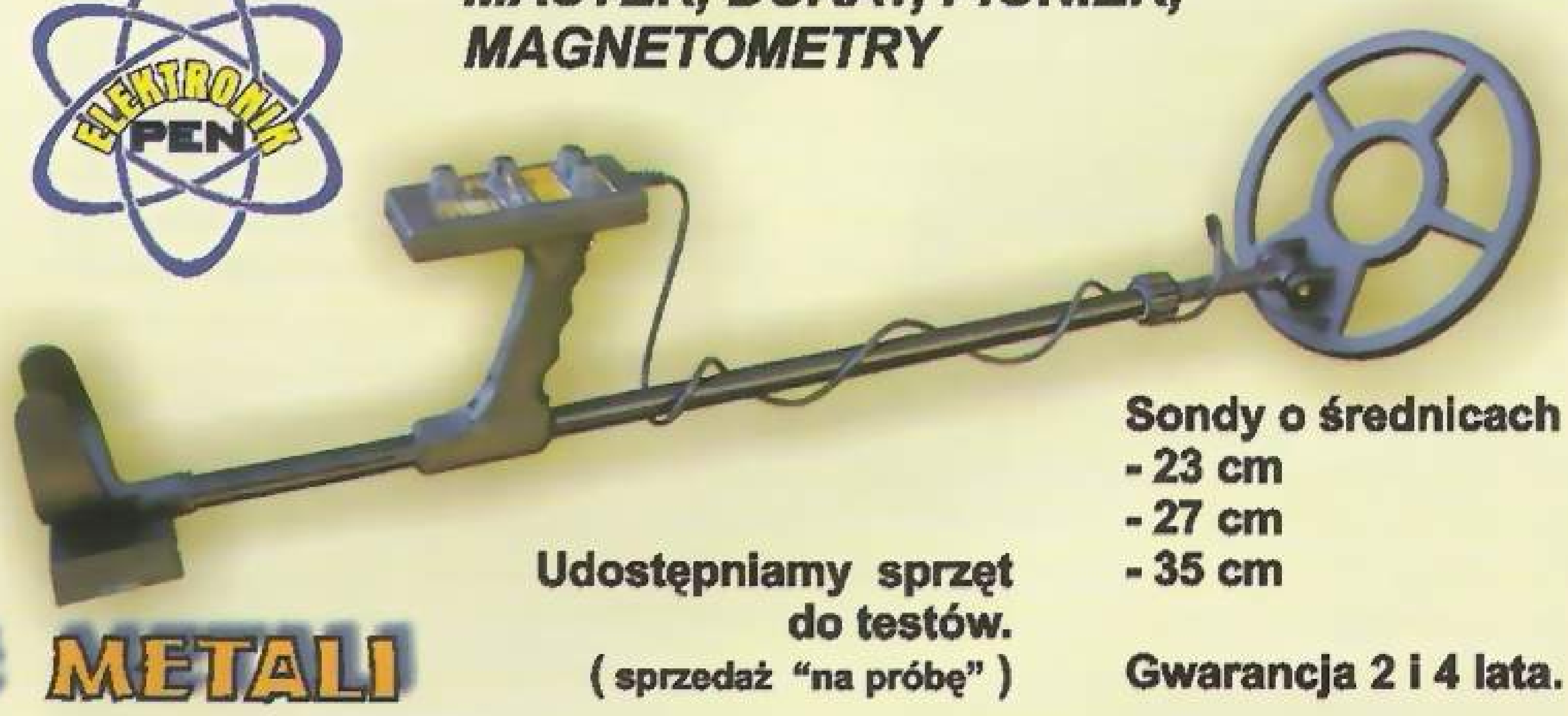

Wykrywacze w cenie 500 zł !

Szczegóły na stronie www
OFERTA LIMITOWANA

Sondy o średnicach
- 23 cm
- 27 cm
- 35 cm

Udostępniamy sprzęt do testów.
(sprzedaż "na próbę")

Gwarancja 2 i 4 lata.

WYKRYWACZE METALI

Było nie minęło... jest i będzie

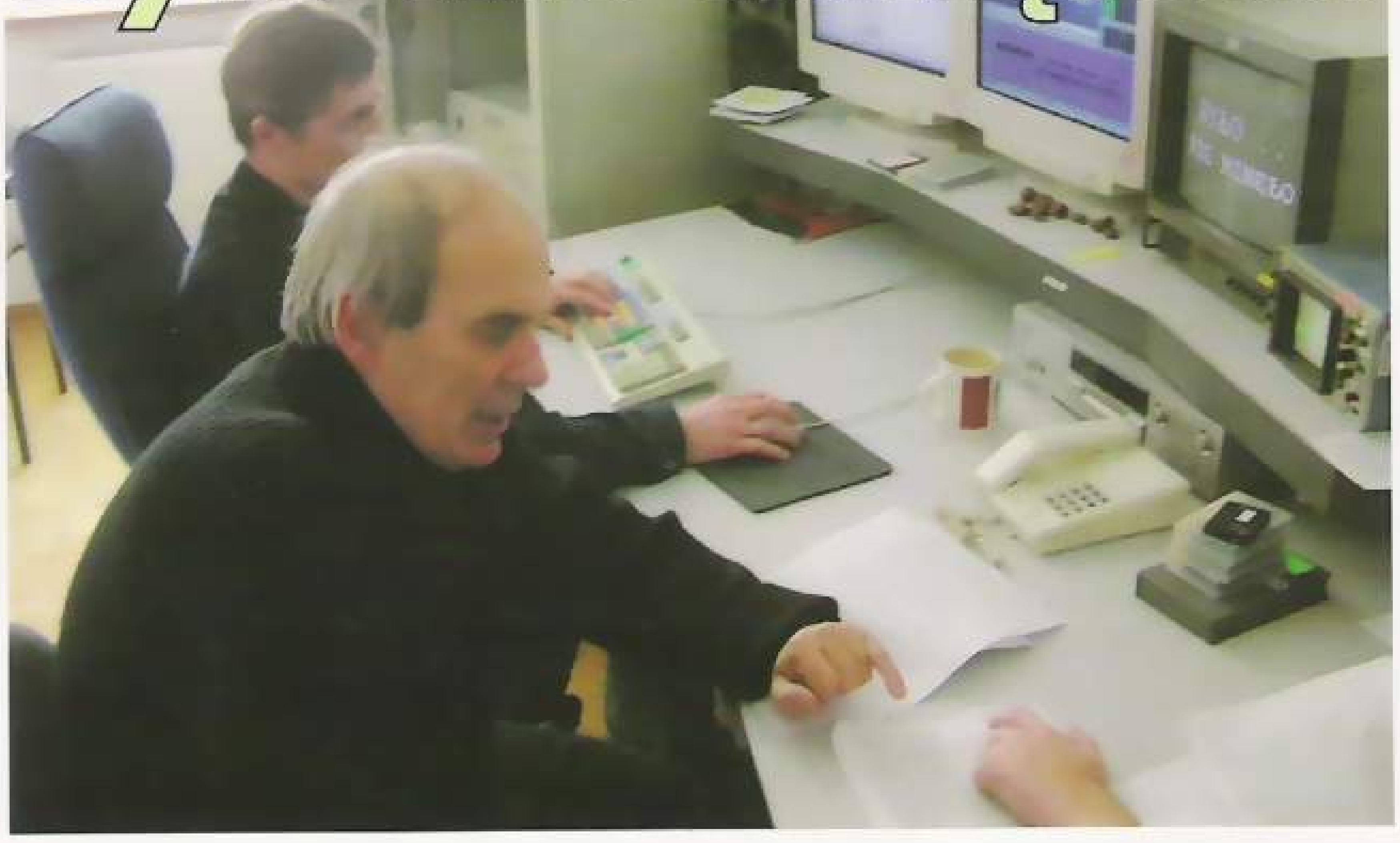

Ocalić od zapomnienia, zatrzymać w kadrze, ale przede wszystkim ukazać historię zaklętą w przedmiotach jako pasjonującą przygodę opowiadaną prostym językiem i atrakcyjnym obrazem, gdzie widz ma możliwość bezpośrednio uczestniczyć w odkrywaniu zapomnianej przeszłości.
Z Adamem Sikorskim, autorem ogólnopolskiego programu historyczno-eksploracyjnego, zapalonym regionalistą i poszukiwaczem, dziennikarzem i filmowcem rozmawiają Piotr Maszkowski i Łukasz Orlicki.

Jak zaczęła się Twoja przygoda z historią i poszukiwaniami, pasjami, które dzisiaj w pełni realizujesz?

Początek był piękny. Siedziałem na lekcji religii, byłem w III klasie szkoły podstawowej. Podszedł do mnie ksiądz katecheta, położył przede mną dziwną skorupę, bardzo grubą, z jednej strony przepaloną, z drugiej, czerwoną i pyta czy wiem co to jest? Wiedziałem, bo wcześniej latałem za lotkami od szrapneli austriackich. Jak mu przyniosłem większą partię tych skorup, to dał mi książkę, potem drugą. Następnie pracowałem jako robotnik w ekspedycji archeologicznej, gdzie poznałem i zobaczyłem podziemny świat i to wystarczyło. Ale prawdą jest, że od zawsze kroczyłem ścieżką legend militarnych i broni. Tej jeszcze w latach 60. było pełno, opowieści o bohaterach również, a klimat potęgowały domowe albumy żołnierskie. Kiedy proste metody poszukiwań, polegające po prostu na podnoszeniu z ziemi się skończyły, rozpoczęła się epoka szpili, a później najprostszych wykrywaczy. Mój pierwszy detektor zbudowałem na bazie książki Wojciechowskiego *„Nowoczesne zabawki elektroniczne”*, gdzie był taki schemat na lampach od radioodbiornika „Szarotka” i działał na głębokość 10 cm... ale działał. Robiłem w życiu wiele rzeczy, ale dla mnie zawsze ściganie własnych marzeń było najsilniejszym impulsem do działania. Oczywiście było tak, że zwyciężały kwestie pragmatyczne, musiałem robić reportaże jak pną się w górę osiedla mieszkaniowe, a ludzie żyją dostatniej... czy inne takie, ale tak bywa w żywocie dziennikarskim. Tak naprawdę jednak dążyłem zawsze do wymarzonego celu, który w tej chwili realizuję.

Jesteś również „tekściarzem”, w tym autorem słów kilku piosenek Budki Suflera...

To prawda, to był piękny epizod... Ale i tak moim najukochańszym gatunkiem jest ballada, m.in. chłopcy od wykrywaczy mają swoją balladę, która jest naszym hymnem klubowym. Pewnych rzeczy nie da się opowiedzieć, ani zapisać, ani nagrać – można tylko zaśpiewać.

Wróćmy jednak do meritum naszej rozmowy i sakramentalnego pytania: jak ukazać historię, by trafiała ona do serc i umysłów?

Ważne jest, aby pisać pewien pamiętnik historyka. To nie jest tak, że opowiadam historię beznamiętnie jak narrator, jak elegancki aktor wygłaszający monumentalne kwestie. Raczej powinno to być takie emocjonalne „szarpanie” się z historią, co często prowadzi do ściany, na którą natrafia każdy poszukiwacz. Raz euforia, raz rozpacz, lecz jeżeli maluje się telewizyjnymi środkami wyrazu taki własny pamiętnik historyka, jest on z pewnością bardziej wiarygodny. Telewizja bowiem ma ogromny, magiczny wpływ i walor nobilitujący, dlatego tak ważna jest jej rola w kreowaniu i popularyzowaniu historii regionalnej. Czasem nobilituje bzdurę, częściej jednak rzeczy wspaniałe.

Poszukiwania mają w Twoich programach kluczową rolę... Czego zatem szukasz naprawdę?

Mnie każda zetlała blacha z zatartym, ledwo widocznym kamuflażem polskim porusza bardziej, niż marzenia o wszystkich legendarnych skarbach. Nie odnalazłem w sobie nigdy drgnienia serca w przypadku złota, czy innych precjozów. Najpiękniejsza jest historia, kiedy do przedmiotu można dopisać ludzki los. Tak jak np. zdarzyło nam się ostatnio, kiedy w błocie, spalenisku, które pozostało po wodnosamolocie Cant, Robert Kmieć trafił na zarysy walizeczki. Po odgrzebaniu jej z błota pojawiła się odznaka osobista komandora Romana Borowca, dowódcy tego statku powietrznego. Wzruszenie niezwykłe, bo jestem w stanie tę sytuację odnieść do fotografii, wspomnień i zapisu ludzkiego losu związanego z danym miejscem. Do tego wszystkiego dochodzi warstwa historii lokalnej, rekonstrukcja biegu wydarzeń i smak wyrwania ziemi jeszcze jednej tajemnicy – te wszystkie elementy wynagradzają wszelkie trudy. Nie lubię anonimowych znalezisk, bo np. Mauserów wyprodukowano kilkanaście milionów i każdy kolejny – odnaleziony – nie wnosi do historii nic ciekawego. Ale... jeżeli chodzi o np. prototypowe uzbrojenie, które na Roztoczu zostało schowane przez batalion rembertowski, to nie spoczniemy dopóki nie zedrzemy zelówek, nie spalimy cewek w wykrywaczu, aż trafimy na te specjalne skrytki.

Czy w takim razie od początku ta pasja do historii i badania przeszłości była związana z poszukiwaniem jej świadectw materialnych?

Ja wierzę w te miejsca, gdzie spotyka się dowód materialny, gdzie można przeżyć przygodę, która jest przecież najważniejsza, a przede wszystkim, gdzie jest szansa zgłębić coś nowego. Dlatego też przekopaliśmy np. trasę Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej płk Stefana Roweckiego. Była to piękna historia, bo jak inaczej nazwać odnalezienie części z jego osobistego samochodu? A wiedzieliśmy, że był tylko jeden tego typu pojazd w brygadzie. To są niewiarygodne historie. Inny przykład... w miejscu śmierci generała Józefa Kustronia znajdujemy stanowisko niemieckiego karabinu maszynowego, z którego strzelano do generała i jego żołnierzy. Takie podejście do historii ma dwie funkcje. Z jednej strony opowiadam widzom pewien segment historii, z drugiej, przedmioty wydobyte z ziemi ją uwiarygadniają. Pamiętajmy również, że w przekazie telewizyjnym opowieść trzeba pisać bardzo dużymi literami, to nie jest książka, do której można wrócić, cofnąć się, powtórzyć... musi być przejrzysta, zrobiona na zasadzie pewnej siatki zdarzeń i emocji. Poszukiwania idealnie w ten schemat się wkomponowują.

Z rozmów z Tobą i przede wszystkim z programów, które przygotowujesz, wyłania się pewna metodyka badań ja-

kie prowadzisz. Wydaje się być poparta solidnym warsztatem historyka, sięgasz po źródła, masz dostęp do materiałów archiwalnych IPN, wykorzystujesz maksymalnie wszelkie źródła pisane jak pamiętniki, listy czy też choćby nawet księgi metrykalne. Przede wszystkim wiesz jak do nich dotrzeć i jak z nich wyciągnąć sedno. Jaka zatem jest Twoja metodologia jako historyka, dziennikarza, dokumentalisty-filmowca i w gruncie rzeczy eksploratora?

Nie wyobrażam sobie, aby wyruszyć w teren bez pełnej wiedzy na dany temat. Mój mądry kolega powiedział, że szukając trzeba przeszukać szafę książek, żeby wiedzieć gdzie szukać, potem drugą, żeby wiedzieć co się znalazło. Ja bym tę szafę powiększył o rzędy regałów, bo sami wiecie, że bez tego solidnego przygotowania, bez możliwości odniesienia się do wielu dziedzin takich jak technika, historia militarna, polityczna czy gospodarcza, nie ma prawdziwego szukania. Nie wchodzę tam gdzie grunt jest dla mnie niejasny, nie wchodzę w obszary i tematykę, co do których wiem, że moja wiedza jest mizerna. U dziennikarzy pojawia się często pycha „wszystkoizmu", w pułapkę czego wpada wielu naszych kolegów, którym wydaje się, że mogą mówić o wszystkim. Niestety, nie jest to prawda. Nie masz prawa wypowiadać się publicznie, a zwłaszcza wchodzić na grząski i bagnisty teren swojej niewiedzy, jeżeli solidnie się wcześniej do tematu nie przyłożyłeś.

Ważnym źródłem są również regionalne muzea. U nas są one absolutnie wyjątkowe, np. placówka w Biłgoraju, o kompetencjach z najwyższej półki jeżeli chodzi o pamiątki Września 1939 roku. Śmiano się kiedyś z nich, że są muzeum skrzynek wojskowych, ale to jest również jedyne muzeum, w którym można na przykład zobaczyć skrzynię od polskiego karabinu przeciwpancernego Ur... z napisem „sprzęt optyczny". Wyciągali eksponaty ze stodół, strychów, od sąsiadów. Wyciągają nadal, wszystko co ma wrześniowy charakter. Niezwykły jest w tym patriotyzm i niezwykła siła w tym jest. Poza tym zajmują się Powstaniem Styczniowym...

Właśnie! Powstanie Styczniowe wydaje się być twoim szczególnym obszarem zainteresowań.

Wiecie dlaczego? Bo to jest taka nasza legenda, którą nam wspólnie odebrano. Legenda w tym pozytywnym sensie oczywiście. Są takie miejsca na Lubelszczyźnie, gdzie ludzie zadają sobie pytanie, czy to powstanie na ich terenie to rzeczywiście prawda czy też legenda? Dzięki programom, które przygotowuję, źródłom które poznaję oraz poszukiwaniom z wykrywaczem, które dają najbardziej namacalne dowody często udaje się nam na takie pytania odpowiedzieć.

Przy okazji sesji naukowej na KUL-u zrobiliśmy wystawę naszych trofeów „spod wykrywacza". Precyzyjnie opisanych, gdzie zostały odnalezione. Naukowcy chodzili, kiwali głowami, dziwili się, ale zaprzeczyć nie mogli, i chociaż źródła pisane na ten temat milczą, śladów bitew i potyczek nie sposób podważyć. Ta dotykalność, ten przedmiot materialny ma fantastyczne znaczenie. Z pewnej mitologicznej warstwy, warstwy zwerbalizowanej, przenosi w dotykalną twardość i to jest niesamowite. Jest jeszcze ważna rzecz. Przed wojną w województwie lubelskim było 300 miejsc pamięci narodowej związanej z Powstaniem, dzisiaj może jest 30. Ta liczba obecnie rośnie, bo ludziom zaczęło z powrotem zależeć na tej historii, szukają wręcz własnego etosu.

Przy realizacji swoich programów wykorzystujesz historyków i dorobek środowiska naukowego w równym stopniu jak poszukiwaczy i ich działania eksploracyjne. Czy współpraca taka może wpłynąć na konsolidację obu środowisk?

W Lublinie jest silne środowisko naukowe. Jeżeli chodzi o historię najnowszą, jest prężnie działający ośrodek akademicki, ale także spora grupa zapalonych pasjonatów poszukiwań. Właśnie pośród miejscowych poszukiwaczy mam świetnych „zwiadowców", którzy po pracy, w weekendy przeszukują hektary pól i lasów, aby odnaleźć ślady historii. Nie tylko z wykrywaczem, bo docierają do listów, pamiętników, ksiąg parafialnych, świadków. Dzięki tym właśnie „zwiadowcom", którzy są niemal w każdej miejscowości, wychodzą niesamowite opowieści. W zamian za informację staram się odwdzięczać czym mogę, choćby prelekcją w miejscowej szkole. Nigdy nie odmawiam takim prośbom, bo pamiętam dobrze, że funkcja społeczna dziennikarza nie kończy się na opracowaniu i zmontowaniu programu, nie kończy się wraz z napisami końcowymi. Przyjęło się sądzić, że dziennikarzowi wypada gdybać, wypada się mylić, natomiast historyk mylić się nie powinien publicznie. Ale wyrasta oto pokolenie historyków, którzy nie wstydzą się niewiedzy, którzy mówią pięknym, luźnym językiem, którzy puszczają wodze wyobraźni i są... przede wszystkim medialni. Jestem przekonany, że kolejna generacja historyków, będzie jeszcze lepszej medialnie jakości, tzn. będzie posługiwać się jeszcze bardziej komunikatywnym językiem, bo do niedawna naukowiec mówił zrozumiale głównie dla środowiska akademickiego. Dzisiaj, szczególnie historycy z IPN, łączący niezwykły talent naukowy z medialnością, są przykładem europejskiego sposobu precyzyjnego i uczciwego, acz lekkiego opowiadania historii.

Ze wszystkimi historykami generalnie jest mi po drodze, bo uważam, że uczyć się można choćby i u diabła. Dlatego sięgam nawet do fałszywych źródeł jak opis Powstania Styczniowego Mikołaja Pawliszczewa, głównego cenzora Królestwa Polskiego, który stworzył ten dokument najjaśniejszemu Panu. Ale w tym skrzywionym i wypaczonym wizerunku zostawił ślad jakiejś bitwy, przemarszu... Nie po to uczyłem się krytyki zewnętrznej i wewnętrznej źródła, żebym nie mógł korzystać z najbardziej spaczonych i kłamliwych opracowań wyciągając z nich jedynie rzeczy mi pomocne. Ale... z drugiej strony uwielbiam ludzi w gumofilcach i czapkach uszankach. Wędrując po polach, miedzach zawsze trafiam na kogoś takiego i dowiaduję się historii jego życia. Bo człowiek zawsze coś słyszał, coś zapamiętał, a to potencjalny trop. Czasami takie historie nakładają się na inne wcześniej zasłyszane.

Jaka była geneza powstania Twojego programu?

Lublin jest szczególnym środowiskiem. W lubelskiej telewizji programy historyczne istniały praktycznie od momentu powstania ośrodka regionalnego. Myśmy wiedzieli, że wiele wątków, szczególnie historii najnowszej, trzeba opracować i opowiedzieć od nowa, bowiem Lublin był miastem zakłamanym, miastem PKWN-u, w którym „zapuściły korzenie" bardzo silne, wręcz mitologiczne tendencje budowy legendy UB. Do dzisiaj nie skończył się ten proces odrzucania fałszywej historii. Stąd też te ogromne potrzeby. Poza tym mieliśmy spore skupisko ludzi podziemia. Oddział TVP Lublin zaczął więc robić filmy dokumentalne, poruszać niewygodne tematy... potem pojawiali się ludzie z innych rejonów Polski, maniacy i zapaleńcy, którzy wiedzieli, że tu można zdobyć partnerów do produkcji historycznej. W innych ośrodkach telewizyjnych rezygnowano z tej tematyki, u nas nie było nigdy takiej sytuacji. Nawet w najbiedniejszych czasach zawsze istniał magazyn historyczny. Program *„Ocalić od zapomnienia"*, realizowałem praktycznie od początku lat 90. kiedy mierzyliśmy się z historią najnowszą, ale od czasu do czasu odskakując w kierunku poszukiwań, bo te we mnie były od zawsze.

Najczęściej realizujesz programy na Lubelszczyźnie i Zamojszczyźnie. Jaka jest specyfika tego terenu?

Jest jeden ważny powód, aby uchwycić bohatera opowiadanej historii niezależnie od epoki. Dla mnie istotne jest to, aby uchwycić go w realiach lokalnych. Moimi – są akurat rejony wymienione przez Was. Aby to wyjaśnić, posłużę się kilkoma przykładami, które sprawiają, że uważam Polskę centralno-wschodnią za najciekawszą i najbogatszą. Rozmawiałem z kierowcą płk. Roweckiego, który opowiadał mi, a był to człowiek z tych okolic, jak to na pasie ziemi niczyjej zostawił samochód. Z jednej strony Niemcy, z drugiej „pancerno-motorowa", strzelają do siebie, potem Polacy odbijają teren – ot normalka. Kierowca wsiadł z powrotem do samochodu i... nie ma siedzeń. Ktoś, pewnie chłop z wioski, wykorzystał w chaosie okazję... akurat potrzebował siedzeń.

Kiedy przechodził front, w wioskach zaczęło się skrupulatne i masowe zbieranie i ukrywanie wszystkiego co się później mogło przydać. Najczęściej chowano w miedzach, najlepiej tych sąsiadów, bo w razie czego było się niewinnym. A przychodzili zawsze tacy, którzy pytali – gdzie to jest? Najpierw Niemcy, później UB. Chowano więc w dranicach, albo w tzw. zastodolu, czyli pasie ziemi niczyjej za zabudowaniami, gdzie właściwie mógł przyjść każdy i schować. Nigdy nie chowano w zabudowaniach. Była taka historia we wsi Huta Stara. Chodzę z wykrywaczem, patrzę, a tu pędzi na mnie staruszek, jak na swój wiek, nad wyraz dynamicznie i woła: – Panie! Tam nic nie ma, ale pod Jasłem mnóstwo. I faktycznie, najpierw peryskop Gundlacha, potem lufa działa Boforsa starachowickiego, potem właściwie się zaczęły konkrety, bo dziadek należał do takiej grupy, która demontowała czołgi, które kończyły w okolicy swój szlak bojowy.

W Polsce centralno-wschodniej historia ma strukturę tortu. Wyobraźcie sobie te same miejsca, które służyły Powstańcom Styczniowym, I wojna odznaczyła tu swoje ślady, potem II i partyzantka. Pomiędzy tym wszystkim ludzkie losy... Czegóż więcej chcieć?

Jak byś porównał pole manewru jakie miałeś dawniej do dzisiejszych możliwości realizacji własnych koncepcji ukazywania historii, np. w latach 80.

Co ciekawe, im później tym trudniej i jest to fundamentalna prawda. Bo jeżeli 10 lat temu wszedłem do babci w Górnikach Starych, ukłoniłem się i zapytałem o części do czołgu, bo wiedziałem, że tam kapitulowały oddziały pancerne, babcia bez słowa otwiera stodołę i mówi – proszę bardzo! A tam części do 7 TP i 7 CP, z wyciągarką i mnóstwo innych rzeczy. Ja grzebię w słomie, a ona rozpoczyna opowieść o swoim uczuciu do czołgisty Franciszka Brzeskiego... którego oprócz upojnych dwóch tygodni później już nigdy nie spotkała. Przed wyjazdem podarował jej na pamiątkę, co miał... czyli RKM wz. 28. Niestety, zabrali go jej bracia, którzy poszli walczyć nim do partyzantki. A ona te części czołgowe, jak relikwie trzymała poutykane w tej stodole, aż do momentu kiedy na początku lat 90. zjawiliśmy się u niej. Wtedy jeszcze praktycznie każde obejście na Zamojszczyźnie było w jakiś sposób magazynem historii i rzeczy z różnych epok.

Robisz programy historyczno-eksploracyjne, przy okazji szukasz z wykrywaczem. Czy w takim razie kolekcjonujesz odnalezione przedmioty?

Ja nie mam własnej kolekcji, ponieważ rozumiem, że gdybym chciał zbierać musiałbym wybudować sobie własne muzeum. Najbardziej cieszy mnie to, jeżeli przedmiot wydobyty przeze mnie lub moich kolegów, zostaje na miejscu wykopania. Tak, aby powiązanie wydarzeń i przedmiotu związane było do końca z miejscem, w którym rozgrywała się historia. Bo cóż po tym jeżeli wyrwana z kontekstu monetka czy łuska, znaleziona na jakimś polu, zasila czyjąś kolekcję gdzieś w anonimowym mieszkaniu, na anonimowej półce, zupełnie bez związku pokazywana jest znajomym jako nowy nabytek? Mam ogromną pretensję do sporej liczby poszukiwaczy, właśnie o to, że wyrywają wiele przedmiotów z oryginalnego kontekstu, zacierając przy tym ślady mogące stanowić istotny trop w rozwiązaniu niejednej zagadki.

Ostatnio szczególnie modne w środowisku poszukiwaczy są wydobycia pojazdów i to głównie tych niemieckich...

Osobiście nie wbiję łopaty tam gdzie jest niemiecki albo sowiecki złom. Tam z kolei gdzie leży kawałek polskiej blachy, z polskim kamuflażem mogę kopać nawet tydzień. Nie rozumiem fascynacji sprzętem, który tak złowrogo toczył się przez ulice wsi i miasteczek. Jeszcze nie tak dawno te gąsienice, które dzisiaj się poleruje, rozgniotły być może niejedno polskie istnienie. Nie potrafię postrzegać tego sprzętu bez emocji. Nie będę brał udziału w kolekcjonowaniu tych rzeczy i promowaniu tej całej hitlerowskiej fali, która się rozlała po Europie, fascynacji zbrukanym krwią mundurem, która jest pozbawiona myślenia co szło za tym. Nie będę pisał legendy sprzętu, który był tak wrogi. Tego mój własny pamiętnik historii nie przewiduje.

Łatwość zdobywania wszelkich pozwoleń, o których mówisz wzbudza zazdrość wielu poszukiwaczy z innych rejonów Polski.

To jest raczej wzajemna uczciwość, konserwator wie, że my używamy znalezisk głównie do celów edukacyjnych. Moje postępowanie jest absolutnie zawsze zgodne z wytycznymi i nigdy nie nadużywam powierzonego mi zaufania. To może uzyskać praktycznie każdy...

Wiem, że swoimi programami trafiasz również do najmłodszych zarażając ich pasją historii.

Kiedyś, w Wojcieszkowie kopaliśmy szczątki „Karasia". Na miejsce poszukiwań przyjechała klasa z miejscowej szkoły. Młodzież taka typowa, współczesna, patrząca z dystansem na to co się dzieje, wręcz nie rozumiejąca co się dzieje. Po 15 minutach piękne kurteczki „Adidasa", „Pumy" i „Levisa" upaprane były w błocie, pod wieczór nie było sposobu odebrać im mojego wykrywacza z rąk. Otóż, rzadko kiedy proponuje się edukację historyczną w formie przygody. Taką wyspę skarbów noszoną w kieszeni... Moim celem jest jednak i porywanie tych młodych ludzi i zarażanie ich pasją, dzięki temu, bawiąc się, mogą dokonać niezmiernie ważnych odkryć, a przede wszystkim uczyć się i poznawać historię „na żywo", a nie tylko pozornie i nudnie jak w szkole.

Dziękujemy za rozmowę i liczymy jednocześnie na większe dawki Twoich cyklicznych programów o przeszłości w przyszłości...

Historia fortyfikacji zna wiele przypadków powstania dziwacznych budowli i założeń obronnych, zarówno pod względem lokalizacji, konstrukcji, wyglądu czy maskowania. Są one bardzo intrygującymi obiektami i to nie tylko dla miłośników architektury obronnej, ale także dla znawców tematu.

„Panzer" stodoła

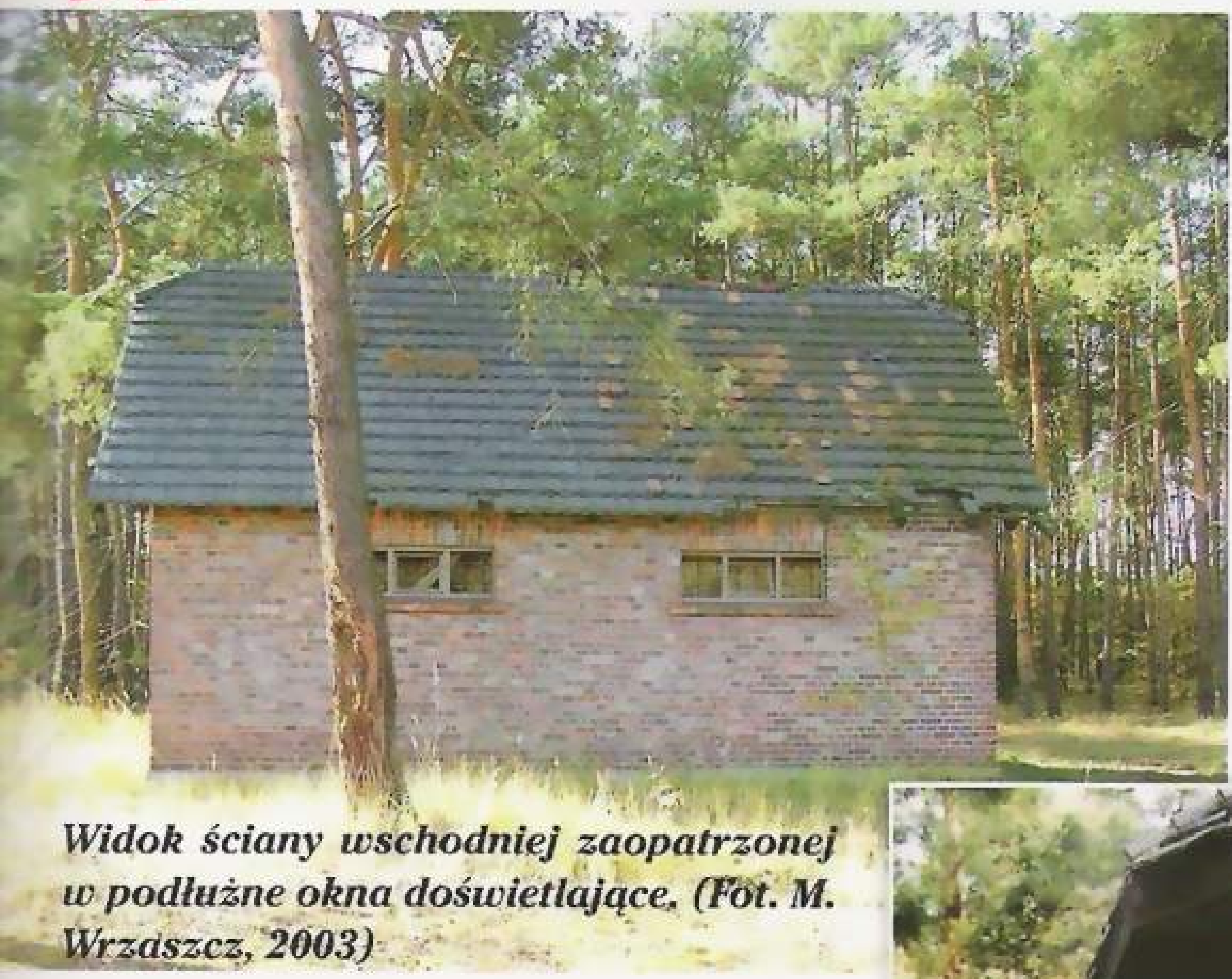

Widok ściany wschodniej zaopatrzonej w podłużne okna doświetlające. (Fot. M. Wrzaszcz, 2003)

KRZYSZTOF MOTYL

W lesie sosnowym, ok. 100 m na północ od wsi Różanówka (gm. Siedlisko, woj. lubuskie) jest usytuowana nietypowa budowla obronna. Starannie wykonany mur z czerwonej, dobrze wypalonej cegły, dwa, małe okna oraz dwuspadowy dach kryty granatowymi dachówkami. Na pierwszy rzut oka przypomina zwykłą, niewielką stodołę, jednak we wnętrzu skrywa bardzo intrygujący sekret. Jego zaczątkiem są dwa wyprofilowane otwory, centralnie widniejące w ścianie północnej – strzelniczy i obserwacyjny. Jednak pełne poznanie niewiadomej nie zawsze jest możliwe...

Na ogół w stodole składowana jest słoma – budowla jest bowiem użytkowana przez mieszkańców pobliskiej wsi. Zatem na wyprawę poznawczą warto wybrać się latem, kiedy można wejść do środka. Zebrana pasza jest wówczas spożytkowana i wnętrze budowli stoi puste. Po dokładnym obejrzeniu wszystkich elewacji, oprócz otworów w ścianie północnej praktycznie niedostrzeżemy żadnych nietypowych elementów. Stodoła, jak stodoła... A jednak, gdy dokładniej się przyjrzymy, zauważymy ciekawe elementy.

Po otwarciu drewnianych drzwi, przed nami otwiera się pusta przestrzeń o kształcie prostokąta o wymiarach: 8×4,5 metra. W ścianie północnej widać wnękę z metalowymi kotwami i otworami. To pozostałość po płycie pancernej... Baczne oko zauważy również metalową balustradę umieszczoną przy przeciwległej ścianie. Tam, za pancernymi drzwiami osadzonymi w posadzce, znajduje się klatka schodowa prowadzące w dół – pod ziemię. To wejście do betonowego schronu biernego, który umieszczono pod budynkiem stodoły.

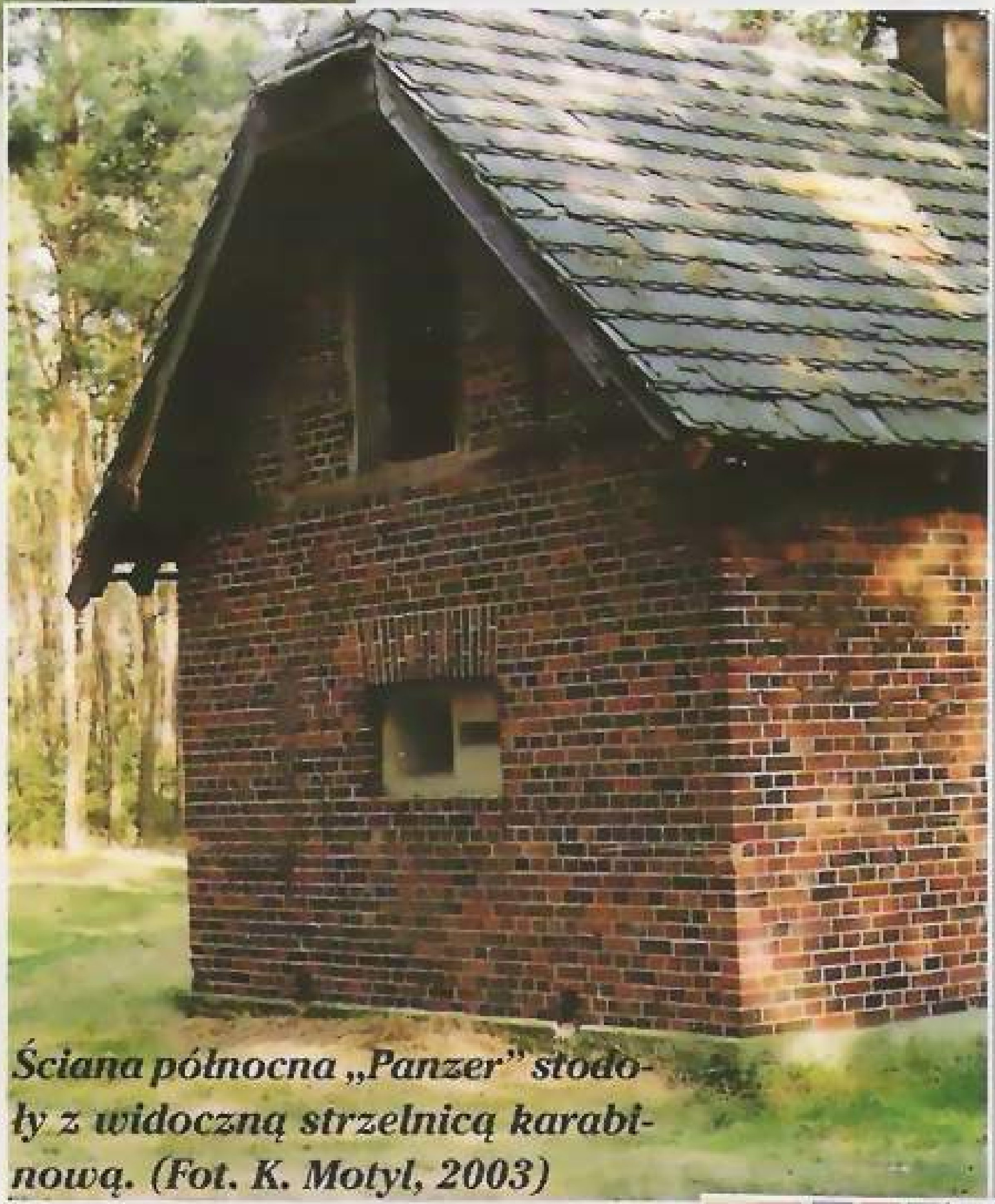

Ściana północna „Panzer" stodoły z widoczną strzelnicą karabinową. (Fot. K. Motyl, 2003)

Jednak nie jest to koniec tajemnic związanych z tą budowlą. Pozostaje wiele pytań: kto, kiedy i po co wybudował tak dziwny obiekt? Osobliwy, bowiem nie jest to żaden schron bojowy lecz zwykła, najzwyklejsza stodoła z otworem strzelniczym, pod którą znajduje się schron bierny. Jest to jedyne zachowane na terenie Polski stanowisko ogniowe tego typu, które zostało umieszczone... w stodole. Z racji nietypowej formy jest ona powszechnie nazywana „Panzer" stodołą – określenie niewątpliwie przesadzone, ale nadzwyczaj trafne.

Budowa stanowiska związana była z powstaniem nadodrzańskiej linii umocnień, zwanej Pozycją Odry (niem. „Oder-Stellung"). Tworzenie jej pierwszych budowli obronnych zapoczątkowano w 1928 r. i trwało z kilkoma przerwami do 1939 r. Ogółem na odcinku o długości 250 km, od Wrocławia, aż do Krosna Odrzańskiego, na lewym brzegu rzeki wzniesiono ok. 650 żelbetowych schronów bojowych i biernych. Linearnie przebiegająca rubież miała wiele wad, które w poszczególnych etapach budowy starano się likwidować. Jedną z nich był brak umocnionych przyczółków znajdujących się na prawym brzegu. Taki stan umożliwiał przeciwnikowi szybkie dotarcie nad Odrę i uchwycenie przepraw.

Ze względu na brak poważnych środków finansowych mających na celu zabezpieczenie przyczółków Pozycji Odry w rejonie mostów, Niemcy podjęli się głównie reperacji starych, pochodzących z okresu I wojny światowej polowych fortów piechoty znajdujących się na przedpolach dawnych twierdz – we Wrocławiu i Głogowie. Na prawym brzegu wykonano kilka zapór przeciwpancernych, które przeważnie lokowano przy głównych drogach.

Jednak najbardziej newralgicznym miejscem Pozycji Odry był ob-

Strzelnica karabinowa oraz przeziernik obserwacyjny były pierwotnie osłonięte drewnianymi okiennicami. (Fot. M. Wrzaszcz, 2003)

szar znajdujący się pomiędzy Nową Solą, a Bytomiem Odrzańskim. Powód był prosty: odległość między Odrą, a granicą z Polską wynosiła tutaj zaledwie 20 kilometrów. Już pobieżna analiza wskazywała, że szybkie, zdecydowane uderzenie wojsk polskich, a w szczególności kawalerii, mogło doprowadzić do zgubnego dla Niemiec finału. Przeciwnik mógł nie tylko zająć prawy brzeg, przeprawy mostowe, ale i całkowicie zdezorganizować obronę Pozycji Odry poprzez uchwycenie przyczółka na lewym brzegu. Gwałtowny wypad nieprzyjaciela mógł być nawet tak szybki, że niemieckie jednostki nie zdążyłyby na czas obsadzić fortyfikacji nadodrzańskich! Co gorsza, na tym terenie było aż 5 przepraw, w tym dwie mostowe. Na prawym brzegu nie było żadnych umocnień, a gęstą sieć dróg skierowano ku rzece.

Niekiedy w stanowisku słoma zalega aż do wysokości poddasza. (Fot. M. Wrzaszcz, 2003)

Wszystkie te czynniki były powodem niemieckiej decyzji o wykonaniu na prawym brzegu Odry przyczółka obronnego. Szczupłość finansów nie pozwalała na wzniesienie stałych fortyfikacji. Niemieccy planiści założyli, że zadaniem przyczółka będzie jedynie tymczasowe (na ok. 1 dzień) powstrzymanie natarcia wojsk polskich. Czas ten umożliwiłby obsadzenie fortyfikacji „Oder-Stellung". Nie było zatem sensu budować w tym miejscu jakichkolwiek stałych umocnień. Główna linia obrony przyczółka została oparta o kanał Kopalnica, który przebiegając po cięciwie łuku rzeki Odry, spinał jej dwa prawe brzegi tworząc granicę przyczółka obronnego. Wzniesiony w połowie XIX wieku kanał, był szeroki i głęboki przez co stał się znakomitą przeszkodą – zarówno przeciwpiechotną, jak i przeciwpancerną. Wartość obronną podwyższały wały przeciwpowodziowe przy kanale, ograniczona ilość przepraw, znaczne zalesienie, jak i zmienne ukształtowanie terenowe ułatwiające maskowanie. Realizacja umocnień polowych w czasie pokoju nie wchodziła w grę. Było to zbyt kosztowne i trudne do zamaskowania. Przewidywano ich wznoszenie, ale jedynie w czasie mobilizacji lub wojny. Budowle obronne, które zamierzano wznieść musiały być przede wszystkim tanie, łatwe do zamaskowania, jak i jednocześnie spełniać kilka warunków. Głównym było to, że budowla musiała pełnić funkcję stanowiska ogniowego oraz schronienia dla piechoty. Stworzono zatem specjalny typ budowli łączący wszystkie powyższe cechy. Była nim tzw. „Panzer" stodoła.

Budowla składała się z dwóch kondygnacji. Pierwsza, podziemna, była w rzeczywistości schronem przeciwodłamkowym, o ścianach betonowych o grubości 50 cm. To zapewniało ochronę przed granatami moździerzowymi do kal. 82 mm. Planiści założyli, iż polskie oddziały nie będą wyposażone w cięższą broń, która by spowalniała jej przemieszczanie w kierunku Odry. Kondygnacja składała się w istocie z dwóch pomieszczeń, z których jedno, pod klatką schodową, było zapewne podręcznym magazynem amunicji. W drugim, znacznie większym, przypuszczalnie znajdowały się ławki służące do wypoczynku i zapas wody pitnej. Stąd wychodziły dwa przewody wentylacyjne, których końce były na kondygnacji naziemnej. Komunikacja między piętrami odbywała się za pomocą klatki schodowej. Wejście zabezpieczono indywidualnymi drzwiami stalowymi.

Kondygnacja naziemna była zwykłą stodołą. Wejście było zamykane drewnianymi drzwiami. Jedynym ewenementem była ściana północna, w której to znajdowała się płyta pancerna typu 422P01 (wym. 1,4×0,75×0,04; szerokość×wysokość×grubość, waga: 340 kg). Na zewnątrz pancerz zabezpieczono warstwą betonu, w którym wyprofilowano otwory: strzelniczy i obserwacyjny. Celem zamaskowania funkcji bojowej, otwory zabezpieczono drewnianymi okiennicami. By podkreślić „cywilną" funkcję obiektu, w ścianie szczytowej umieszczono otwór oraz kołowrót umożliwiający transport i załadunek paszy. Niewykluczone jest, że budowlę oddano w użytkowanie prywatnej osobie, którą zobowiązano do zachowania tajemnicy wojskowej.

„Panzer" stodoła znajdująca się w Różanówce, to jedyne zachowane stanowisko tego typu wybudowane na tutejszym przyczółku obronnym. W 1937 r. przypuszczalnie wzniesiono ok. 5 takich budowli. Do dzisiaj znana jest jedna – w Różanówce oraz fundamenty dwóch znajdujące się w rejonie wsi Stany i Przyborów.

Płyta pancerna typu 422P01 z „Panzer" stodoły zabezpieczona w zbiorach Lubuskiego Muzeum Wojskowego w Drzonowie. (Fot. J. Sobociński, 2006)

Obecnie „Panzer stodoła" jest w coraz gorszym stanie. Upływ czasu, a przede wszystkim brak remontu i zabezpieczenia powodują, że ta bardzo wartościowa budowla mocno niszczeje. Szczęściem w nieszczęściu jest to, że jest użytkowana przez mieszkańców Różanówki. W 1998 r. członkowie Oddziału Zielonogórskiego Towarzystwa Przyjaciół Fortyfikacji, mając na względzie wzrost grabieży pancerzy na terenie Polski, zdemontowali znajdujący się w stanowisku pancerz. Został on bezpłatnie przekazany na rzecz Lubuskiego Muzeum Wojskowego w Zielonej Górze z/s w Drzonowie. Obecnie, po konserwacji jest prezentowany na plenerowej ekspozycji w muzeum. Prowadzone są także rozmowy z Nadleśnictwem Nowa Sól celem przeprowadzenia drobnych prac naprawczych w owym stanowisku i jego ewentualnego wykorzystania w projektowanej ścieżce turystycznej.

LITERATURA:
Motyl K. „Fortyfikacje przyczółka mostowego »Oderstellung« w rejonie Bytomia Odrzańskiego", [w:] „Budownictwo obronne Środkowego Nadodrza. Powiat nowosolski", praca zbiorowa pod red. Andrzejewskiego T., Nowa Sól 2003.

Polacy w armiach zaborców (cz. I)

Ostatnia taka „Nasza Wojna" – rosyjsko-tureckie starcie na Bałkanach 1877-1878 r.

DAMIAN CZERNIEWICZ

Niejaki Antoni Lange, cukiernik przybyły z Wiednia do Warszawy wraz z innymi miał tworzyć wizerunek romantycznego, polskiego kapitalisty drugiej połowy XIX w.. Dostarczając zboże i mąkę walczącej na Bałkanach armii carskiej, jak w powieści Bolesława Prusa, w kilka miesięcy miał zbić na wojnie fortunę. Prus zmienił jedynie czas akcji: bohater „Lalki" – Stanisław Wokulski handlował z armią w czasie wojny, a Lange, dopiero po zawieszeniu broni. Historia jednego z najważniejszych konfliktów militarnych XIX w. do dzisiaj nie chce pamiętać o Polakach i ich niebagatelnym w nim udziale.

Bijmy bracia bisurmany...

W świadomości Polaków żyjących pod zaborami, z pokoleniami przybywało kolejnych wspomnień dotyczących przedsięwzięć militarnych zaborców. Rosyjska eskapada na Bałkany, jaką była wojna rosyjsko-turecka 1877-1878 roku, na pokolenia trwale zapadła w rodzinne annały. Bolesław Prus, *„wierny kronikarz nastrojów społeczeństwa"*, wspomina o niej już w pierwszych wersach *„Lalki"*. Pod sztandarami rosyjskich pułków, niemalże 200 lat po wiedeńskiej wiktorii, ponad 200 tys. Polaków ponownie ścierało się z Turkami. Tym razem w obronie tzw. słowiańskiej, wspólnej sprawy. Nie wiadomo, czy to rosyjski panslawizm, czy chęć pozyskania zaufania Polaków przez cara reformatora Aleksandra II spowodowały, iż często nasi rodacy walczyli pod komendą polskich oficerów i generałów. Wiadomo zaś na pewno, iż byli to dobrzy fachowcy od wieków wyśmienicie znający wojenne rzemiosło. W konsekwencji zwycięska carska armia dotarła pod bramy Stambułu, śnionego od stuleci przez carów wiecznego Konstantynopola, wymarzonej stolicy III Rzymskiego Cesarstwa, kolebki wiary rosyjskiego narodu. Nie wiadomo, czy nie miała już sił do ostatecznego szturmu, czy zadecydowały względy polityczne. Wygłodzone, schorowane, cierpiące braki w zaopatrzeniu rosyjskie pułki, walczące ciężkimi, przestarzałymi „Berdankami" *„okradane przez nieuczciwych konkurentów Wokulskiego"*, oczekiwały nowego wroga: brytyjskiej floty. Na zachodzie do wojny sposobiła się także austriacka armia. Dodatkowo rosyjskie pułki poszły na tę wojnę w samym środku szeroko zakrojonych reform.

Aleksander II oglądając się na Europę, zajął się także armią, reorganizując struktury dowodzenia, zmieniając uzbrojenie i umundurowanie pułków na nowocześniejsze. Tymczasem ówczesny minister wojny alarmował *„Wewnętrzna i gospodarcza reorganizacja Rosji znajduje się w takiej fazie, że wojna byłaby dla nas klęską"* Rosja, przez dziesięciolecia toczyła kolejne wojny z Turcją i przez długie lata wspomagała procesy niepodległościowe tlące się w zniewolonych przez pięć wieków Bałkanach. Podczas konferencji sześciu mocarstw, jaka odbyła się w Stambule, Turcja w kuluarach popierana przez zachodnioeuropejskich dyplomatów, odrzuciła wynegocjowaną wówczas autonomię Bułgarii. Car, jak to często bywało i później w rosyjskiej polityce, zagrał va banque: jesienią tego roku ogłosił częściową mobilizację. Wiosną następnego roku kartą przetargową miała być gotowość Rosji do wojny: Turcja miała zaprzestać oporu, a rosyjscy żołnierze powrócić do domu. Temu celowi miało służyć także samo wypowiedzenie wojny oraz plan operacji militarnych. Naczelnym dowódcą tzw. Armii Dunajskiej został wielki książę Mikołaj – brat cara. Stosownie do sytuacji, w jakiej się znalazł i oczekiwań wielu, utwierdzał samodzierżawcę w przeświadczeniu, iż jeden, silny atak doprowadzi Portę do negocjacji. Odpowiednio car, opierając się na działaniach swoich dyplomatów zapewniał Zachód, że wojska rosyjskie nie przekroczą Starej Płaniny – łańcucha gór dzielącego Bułgarię. Chociaż kroki podejmowane przez cara spotykały się z dużą aprobatą oszalałego z patriotyzmu społeczeństwa i różnych sił, jak np. „Ziemla i Wola", miały także wielu przeciwników. Mocarstwowe tradycje wojenne, panslawiści, nacjonaliści czy chociażby nieposkromiony rosyjski kapitał, domagały się całkowitego wyparcia Turków z Europy. Poszukując najlepszego rozwiązania, pragnąc pogodzić stare z nowym, jak prastary bożek „Janus" patrzący jednocześnie wstecz i w przyszłość, Aleksander II także w czasie wojny zmieniał cele i strategie. Przed wojną zaś, brak pewności, czy wojna w ogóle wybuchnie, *„a jeśli tak – to, co będzie jej strategicznym celem"*, spowodował powstanie dowództwa dwóch frontów: *„kaukaskiego i – uznawanego za rozstrzygający – bałkańskiego"*. Tymczasem kilkunastu członków olbrzymiej rodziny Romanowów, którym dla laurów wojennych, pięknych skądinąd orderów i prestiżu jak zawsze powierzono najwyższe stanowiska, nie znało się zbytnio na prowadzeniu wojny. Pod jedynie nominalną komendą rodziny, w nadciągającej awanturze o nieznanym wyniku faktycznie dowodzić musieli zawodowcy.

Aleksander II obserwujący szturm Plewenu.

Przypomnijmy sobie tym razem narratora powieści Prusa: starego subiekta Rzeckiego, którego męczyły wspomnienia uczestnika rebelii stłumionej na Węgrzech w 1849 roku. Oto także Polak, tym razem postać historyczna – gen. Artur Niepokojczycki, dzięki doświadczeniom nabytym w okresie kampanii węgierskiej oraz podczas wojny krymskiej z lat 1853-1856, mianowany został szefem sztabu tzw. Armii Dunajskiej. Z końcem wojny na Krymie generał dowodził sztabem sił morskich i lądowych. Car właśnie jemu zamierzał powierzyć... naczelne dowództwo działań wojennych w Europie. Zastępcami Niepokojczyckiego, którzy mieli za zadanie rozwiązywać problemy strategiczne, mianowano Polaków:

gen. Kazimierza Lewickiego i gen. Marcina Kuszewskiego. Obaj także dysponowali bogatym doświadczeniem wyniesionym ze wspomnianych wyżej kampanii. Specjalistą do spraw artylerii, wymagających znajomości dzieła i nieprzeciętnych wówczas uzdolnień został także Polak, gen. Mikołaj Massalski.

Tym razem, w obliczu „ niezwykle silnej narodowej potrzeby", rosyjska wojna z „bisurmanem" miała rzucić go na kolana. Stosując jedynie plan strategiczny potrzebny do zaplanowanych z góry negocjacji, dokonać tego chciano siłami armii liczącej ok. 130 tys. żołnierzy, uzupełnianej stopniowo o kolejne 50 tys. ludzi. Nie wiedziano, że na terenie Bułgarii stoi prawie 190 tys. tureckich żołnierzy. Na zachodzie kraju zaś, licząca ponad 120 tys. ludzi kolejna armia. Jednostki tureckie, dobrze uzbrojone w nowoczesne karabiny i latami szkolone przez najemnych instruktorów z Europy Zachodniej, oczekiwały na... zwycięstwo.

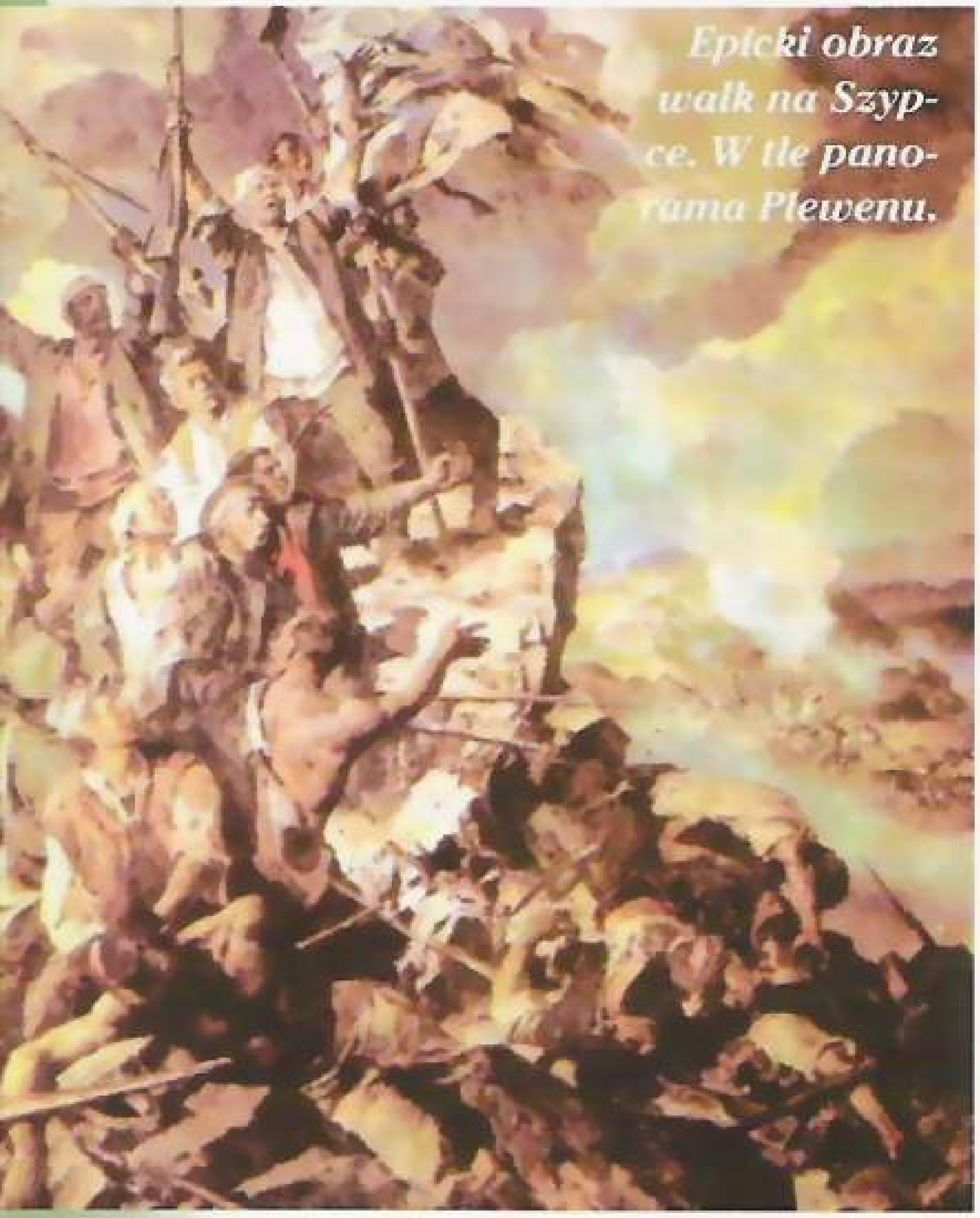

Epicki obraz walk na Szypce. W tle panorama Plewenu.

Zaopatrzenie rosyjskich jednostek także stawiało ich bojową wartość pod sporym znakiem zapytania. Przypadłość rosyjskiej administracji, wszechobecna korupcja sprawiła, iż nawet najniezbędniejsze wyposażenie armia otrzymywała w skąpych ilościach i ze znacznym opóźnieniem. Nie dość, iż magazyny jeszcze długo po rozpoczęciu zmagań znajdowały się w odległej o około 600 km Odessie, to niemal do końca wojny przeleżało tam około 230 tys. nowych karabinów, podczas gdy żołnierze dysponowali jedynie osławionymi, ciężkimi i niecelnymi „berdankami". Żywności, a także cieplejszej odzieży wojsko szukało u miejscowych. Niezależnie od tego, iż pozycja gen. Niepokojczyckiego była niezwykle wysoka, także poprawne dowodzenie zachwiane było niesprecyzowanym podziałem kompetencji. Istnieje przypuszczenie, iż jak podaje pan Zbigniew Klein *„podczas pobytu cara na froncie, tj. do połowy grudnia 1877 roku, należał on do pięciu osób, które faktycznie rządziły Rosją".* (*„Anonimowi twórcy zwycięstwa. Polacy w armii rosyjskiej na Bałkanach w latach 1877-1878"*).

Jak dobywaliśmy imię swoje: Szypka

„Kak my dobywali imia swajo pod Warszawoju w boju" – śpiewał niegdyś jeden z rosyjskich pułków tłumiących Powstanie Listopadowe na warszawskiej Pradze nagrodzony za odwagę wstęgą *„Za Warszawu..."*. Teraz także miał nadejść czas jedynie chwalebnych bojów odznaczanych na czakach taśmami wyróżnień? Aby Europa nie miała szans na jakąkolwiek reakcję, plan przewidywał zakończenie wojny w ciągu kilku miesięcy. Pierwszym sukcesem było niezwykle skutecznie zorganizowane forsowanie Dunaju. Po wejściu Rosjan na tereny północnej Bułgarii, Turcy wycofali się. Na drodze przodującego oddziału generała Iosifa Hurki leżało pasmo gór bałkańskich. Aby otworzyć wąskie wrota prowadzące na południe, należało zająć leżącą u ich podnóża wieś Szypka i opanować przełęcz o tej samej nazwie. Turcy zastosowali metody godne Tuchaj-Beja wysyłając parlamentariuszy z białą flagą. Rosjanie sądząc, iż bisurmanie poddają się, podeszli do tureckich pozycji. 140 żołnierzy z oddziału generała Hurki poległo, a pozostałe bataliony wycofały się pozostawiając rannych i zabitych. Jednako już niebawem rozpoczęto szturm z północy i południa. Szypkę zajęto zdobywając porzucone przez Turków obozy, armaty i chorągwie. Za przełęczą leżała piękna Dolina Róż. Rosjanie witani entuzjastycznie przez bułgarską ludność musieli niebawem wycofać się do Szypki, wyparci przez 12 tys. Turków Sulejmana-paszy. Rozpoczęło się słynne „szypkińskie siedzenie" wspominane przez wielu uczestników jako wyjątkowo trudne do wypełnienia zadanie. Łańcuch bałkańskich gór Szypka, stromych i trudno dostępnych, przedstawiał ważne znaczenie strategiczne. Prowadził tędy najkrótszy i najdogodniejszy szlak łączący Bułgarię północną z południową. W ciągu sześciu dni nieustających ataków 27 tys. Turków nie zdołało pokonać oporu 7500 carskich żołnierzy i bułgarskich opołczeńców. Dowodzili nimi niejednokrotnie oficerowie i podoficerowie polskiego pochodzenia. Najwyższym rangą żołnierzem wojsk rosyjskich, który bohatersko poległ na Szypce, był gen. Walerian Derożyński. Oczekując na posiłki, w najdramatyczniejszym momencie trzeciego dnia walki, dowódca 35. Briańskiego Pułku Piechoty płk Aleksander Lipiński wysłał pytanie do swego zwierzchnika gen. Stoletowa: *„Proszę powiedzieć prawdę: czy otrzymamy wsparcie? Już druga po południu sądzę więc, iż dłużej nie możemy zwodzić żołnierzy!"*. Stoletow odpowiedział: *„Sam wiesz, świeżych sił nie ma. Możesz wziąć połowę drużyny, ale pamiętaj, że osłabi to lewą flankę"*. Nadeszła w ostatniej chwili, gdy Lipińskiemu zostało już tylko dwudziestu żołnierzy. Na innej wysuniętej pozycji, gdy skończyła się amunicja, płk Bieniecki poprowadził żołnierzy do walki na bagnety i sam poległ. Na Szypce zginęło prawie 7 tys. Turków. Ich ofiara poszła na marne. Armii osmańskiej w Tracji nie udało się połączyć ze zgrupowaniami czuwającymi w czworoboku twierdz oraz w Plewenie, aby wspólnie okrążyć i rozbić formacje rosyjskie zgromadzone w północnej Bułgarii. Utrzymanie tej przełęczy za wszelką cenę było jednym z warunków powodzenia rosyjskiej zimowej ofensywy. W tym czasie główne siły Armii Dunajskiej nie mogły wyruszyć naprzód. Na rosyjskim skrzydle stała twierdza Plewna i jej piętnastotysięczny garnizon dowodzony przez Osman-paszę. Nie mogąc pozostawić takiego zagrożenia flanki, należało jak najszybciej zdobyć potężną twierdzę.

Po trzykroć Plewen

Pierwszy szturm twierdzy został całkowicie odparty przez Turków. Pod murami pozostało dwa tysiące carskich żołnierzy. Drugi szturm przygotowany już solidniej również zakończył się niepowodzeniem. Garnizon twierdzy wzmocniony do dwudziestu czterech tysięcy obrońców zamienił Plewno w system redut i fortyfikacji ciągnących się kilometrami ze wszystkich stron. Na redutach i pod murami życie straciło kolejne siedem tysięcy żołnierzy. Po pewnym czasie nadeszła pora trzeciego, najokrutniejszego szturmu. Obie strony zdawały sobie sprawę, iż pod murami może rozegrać się bitwa decydująca o losach całej wojny. Z Petersburga przybyła Cesarska Gwardia. Mimo to troskliwie przygotowywany trzecim szturm Plewenu przyspieszono, aby spodziewany triumf przypadł w rocznicę koronacji cesarza. 34 tys. obrońców miało zmagać się, z pięćdziesięciotysięczną carską armią i trzydziestoma dwoma tysiącami Rumunów... Od wschodniej strony twierdzy Rumuni nacierali na, tzw. griwickie reduty. Pod dowództwem słynnego wówczas nazywanego „białym generałem" Michaiła Skobielewa, carskie oddziały zdobyły dwie reduty broniące miasta. To za ten wyczyn kompaniom i batalionom szturmującym w huraganowym ogniu, które odznaczyły się wówczas wyjątkowym męstwem nadano znaki otliczia w postaci wstęg „ Za wzięcie redut pod Plewną". Droga do twierdzy została otwarta. Osman-pasza rzucił ostatnie rezerwy. U bram miasta doszło do niesłychanie krwawego starcia. Rezerw, „doceniając życie poddanych", pożałował sam wielki książę Mikołaj Mikołajewicz.

W decydującym starciu udział wzięła mniej niż połowa carskich jednostek, znajdujących się w dyspozycji głównodowodzącego. Rozstrzelane odziały generała Skobielewa porzuciły zdobyte reduty, pozostawiając na polu 12 tys. swoich i 4 tys. Rumunów. Trwała najkrwawsza bitwa w dziejach wojen rosyjsko-tureckich. Wojska Sulejmana-paszy otrzymały rozkaz przebicia się na pomoc Plewnie. Drogę do twierdzy przecinała zajęta przez Rosjan Szypka. Głód i brak wody dawał się we znaki obrońcom od dłuższego czasu. Turcy przystąpili do decydującego szturmu 9 sierpnia rozpoczynając słynną sześciodniową bitwę. Frontalne ataki na najsilniejsze pozycje miały miejsce u podnóża skały zwanej „Orle Gniazdo". Z braku amunicji carscy żołnierze i kilka tysięcy Bułgarów miotało na atakujących kamienie i głazy. Walki wręcz, z użyciem karabinowych kolb i kamieni stały się synonimem późniejszego tzw. „szypkińskiego siedzenia". Po trzech dniach Sulejman-pasza gotowił się do zadania decydującego ciosu garstce bohaterskich obrońców. Wtedy właśnie nadciągnęły opiewane potem w rosyjskiej literaturze i wspomnieniach dziewięciotysięczne posiłki generała Dragomirowa. Oddziały idące dotąd w spiekocie, po 70 km dziennie z marszu przystąpiły do walki. Turcy zostali odparci kosztem życia czterech tysięcy carskich żołnierzy i bułgarskich opołczeńców.

Nadeszła pora długiego, „szypkińskiego siedzenia". Góry zasypał śnieg i skuł mrozem obozowiska. Na przełęczy ginęły z zimna i głodu także setki Polaków pochodzących z pułków zbieranych na tę wojnę w rosyjskim zaborze. Tymczasem niepowodzenie trzeciego szturmu Plewny kosztowało życie kolejnych 20 tys. istnień, przy sześciokrotnie mniejszych stratach Turków. Oprócz naczelnego dowództwa rozkazy wydawał niekiedy także sam car oraz minister wojny. W czasie szturmu po raz kolejny dał o sobie znać niejasny podział kompetencji. Car Aleksander obserwując walkę wydawał odmienne od poleceń szefa sztabu rozkazy. Dowódca szturmu – rumuński ks. Karol także, a w imieniu Karola – komenderował rosyjski generał, szef jego sztabu. Gen. Niepokojczycki całkowicie rozumiejąc znaczenie miasta polecił obsadzić je rosyjskimi oddziałami. Plewen, chociaż nieumocniony, oblegany potem z tak wielkimi stratami stanowił jedno z centralnych

Za Plewno.

Za Szypkę.

Za wojnę z Turcją.

Medal dla żołnierzy biorących udział w wojnie.

zadań decydujących o wyniku wojny. Turcy, wyprzedziwszy Rosjan zaledwie o kilka godzin, zdążyli pobudować solidne fortyfikacje. Wielokrotnie szturmowane nigdy nie padły w walce. W rosyjskim dowództwie m.in. z tego powodu pojawiły się głosy o całkowitym wycofaniu się z Bałkan. Rolę gen. Lewickiego dokumentuje fakt, iż zwrócił się bezpośrednio do cara postponując, iż kolejna próba zajęcia, opóźniona o rok będzie o już wiele trudniejsza. Car wezwał na pomoc słynnego inżyniera, generała Eduarda Totlebena. Zrezygnowano z kolejnych szturmów postanowiwszy wziąć miasto głodem. 20 tysięcy żołnierzy generała Hurki niezwykle krwawym szturmem zdobyło reduty strzegące przedpola drogi, którą oblężony garnizon otrzymywał posiłki i zaopatrzenie. W połowie listopada pod twierdzą siedziało już 100 tys. carskich żołnierzy. Osman-pasza podjął zakończoną niepowodzeniem próbę wydostania się z twierdzy. Poległo 6 tys. Turków. Droga do wymarzonego Konstantynopola: III Rzymu – „Moskwy" stała otworem. Na polach dookoła Plewny na zawsze pozostało 32 tys. bezimiennych żołnierzy pochodzących z najodleglejszych zakątków carskiego imperium.

10 grudnia nagle ruszyła rosyjska ofensywa. Pomimo zagrożenia niespodziewanymi reakcjami Europy Aleksander II zgodził się na podjęcie ofensywy w kierunku Stambułu. Rosjanie wzmocnieni zostali nowymi siłami płynącymi z imperium. Do wojny po rosyjskiej stronie przyłączyli się także Rumuni, Serbowie i Czarnogórcy. „Armia Słowian" zyskała niebawem sporą przewagę nad pozostającymi na Bałkanach tureckimi siłami. Po niekończącym się oblężeniu Plewny należało gwałtownie poprawić image imperium. Dwa tygodnie później nastąpiło uderzenie na tureckie tyły. Rosyjskie odziały poszły w skaliste, pełne wąskich, oblodzonych szlaków góry Starej Płoniny. Nadeszło wspominane latami, pełne poświęceń i odzwierciedlone w niezliczonych zapiskach, przedzieranie się w kierunku kotliny sofijskiej – wędrówka przez Górę Murgasz. W jednym ze zgrupowań podległych gen. Hurce, przez oblodzone stoki przedzierał się przyszły dowódca XV Korpusu w bitwie tannenberskiej – gen. Klujew. Gorącego sierpnia 1914 roku, dając świadectwo bitewnego etosu imperium, wielokroć wspominał mordercze zimno, które zahartowało go na resztę wojskowej kariery. Na pokonanie 17 km trasy przewidziano dobę. Kolumna wyruszyła w święta 1877 roku w ulewnym deszczu, który w wyższych partiach gór stopniowo zamieniał się w śnieżną zamieć, i w końcu w lodowy huragan. Po oblodzonych i stromych stokach górskich, żołnierze przenosili rozmontowane działa i tabory. Wyruszyli bez namiotów i ciepłej odzieży. Rozpalanie ognisk było zakazane. Do tego wkrótce wszyscy zaczęli cierpieć dokuczliwy głód. Na szczyt dotarto dopiero po trzech dniach wspinaczki. I chociaż po drodze nie napotkali tureckiego oporu, straty były wysokie. Do celu nie doszło ok. 5 tys. ludzi, spośród których aż 800 zamarzło w pozycji marszowej…

Jednakże przeciwnik został kompletnie zaskoczony. Okrążone tureckie odziały zostały całkowicie rozbite. W pierwszych dniach stycznia, osaczony Sułtan poprosił o zawieszenie broni. Uznając umiejętności polskich generałów, dokument zamykający wielomiesięczną, krwawą wojnę sygnowało tylko dwóch ludzi: gen. Niepokojczycki i gen.Lewicki – faktyczni autorzy ostatniej wygranej wojny carskiej Rosji. Jednakże byli tylko Polakami. W odwiecznej walce o synekury, zwielokrotnionej o potrzebę cesarskich względów w Rosji, już niebawem przeciwko generałom wytoczono arsenał niewybrednych oszczerstw. W rezultacie, jak podaje Zbigniew Klein, wbrew rosyjskiej

Zamojski pułk piechoty kilkanaście lat po wojnie. Ponad 35% rekruta stanowili Polacy.

Zdobycie Plewny.

Jeden z fińskich pułków pod Gorni Dubniak.

tradycji, zwycięzcy nie doczekali się żadnej monografii, nie nadano ich nazwisk ani jednej ulicy czy szkole. Zarówno w Rosji, jak i w Bułgarii, która jak się wydaje, rzeczywiście zawdzięcza im wiele.

Jeden z reformatorów rosyjskiej armii Dmitrij Milutin obliczył, że w latach 60. XIX wieku aż 35,5 proc. korpusu oficerskiego stanowili Polacy! O wiele więcej naszych przodków miało być wśród podoficerów i żołnierzy. Według obliczeń Zbigniewa Kleina liczbę rodaków w Armii Dunajskiej należy mierzyć podobną proporcją.

Za wolności waszą i...

Na terenie Bułgarii przeciwko Turcji, jeszcze przed wojną działali też Polacy, którzy związali się ze sprawą jej wyzwolenia, oczywiście wcale nie popierając przy tym caratu. *„Tak było z grupą inżynierów i kolejarzy polskich, zatrudnionych na budowie linii kolejowej ze Stambułu do Sofii. Na początku lat siedemdziesiątych XIX w. nasi rodacy uczestniczyli w konspiracji niepodległościowej Wasyla Lewskiego w Jabyłkowie, m.in. dostarczając uzbrojenie i ćwicząc młodzież bułgarską w robieniu bronią. Wyróżniał się wśród nich były powstaniec styczniowy Michał Dąbrowski. Prawdopodobnie wraz z Czechami, pod pozorem remontu brał udział w rozkręcaniu szyn kolei, którą Turcy przerzucali posiłki pod Szypkę. Nieznany Polak znalazł się wśród dziewięciu Bułgarów publicznie powieszonych przez Turków latem 1877 roku w Charkowie".* Bułgarom wojna przyniosła radość wyzwolenia, a przez zapisy pierwszych rosyjsko-tureckich ustaleń pokojowych z San Stefano w marcu 1878 roku rozbudziła nadzieje, na największe na Bałkanach państwo. Rozczarowanie przyszło już latem. Wszystko „wyjaśniło" się na konferencji berlińskiej wielkich mocarstw, gdy Rosja zgodziła się na znaczne uszczuplenie tego terytorium i podział na dwie krainy o nierównym statusie – wasalne wobec sułtana Księstwo Bułgarskie i autonomiczną prowincję turecką pod nazwą Rumelia Wschodnia. Potrzeba restytucji granic zdominuje odtąd na lata narodową politykę Bułgarii. Tymczasem sąsiadom powiodło się lepiej. Rumunia i Serbia otrzymały pełną niepodległość, zagwarantowano ją również Czarnogórze. Grecja poszerzyła swoje terytorium na północ, Austro-Węgry zaś rozpoczęły okupację Bośni i Hercegowiny. Natomiast Rosja zyskała jedynie kawałek terytorium tureckiego za Kaukazem oraz zabrała rumuńską południową Besarabię. Tymczasem, chociaż Aleksander II liczył na całkowicie inny efekt swojego zaangażowania w bałkańską awanturę, wojnę oceniono jako całkowite zmarnowanie zwycięstwa, odniesionego za cenę ogromnych ofiar. Dzisiaj w miejscach walk pod Plewnem, Szypką i innych rejonach Bułgarii można obejrzeć potężne pomniki i mauzolea. W znanej kolekcjonerom ze wstęgi „Za Gorni-Dubniak" wsi, znajduje się olbrzymi park pełen mogił żołnierzy poległych 24.XI.1877 roku w czasie szturmu niezwykle silnie umocnionej reduty. Niedaleko od Gorni-Dubniak pod siołem Telisz, również upamiętnionego wstęgą otliczia – „Za Tielisz", stoją pomniki symbolizujące złą sławę tej wojny – wszechobecne, zatrważające bestialstwo tureckich wojsk. W centrum Plewenu wznosi się tzw. chram – pomnik i mauzoleum z prochami padłych w bojach żołnierzy. Całość ogrodzona jest kamiennym murem, na cokole którego postawiono 16 rosyjskich moździerzy symbolizujących oblężenie. Chociaż całość wzniesiono w 1907 roku to władza radziecka nie omieszkała przypomnieć, w jakim celu znalazły się tu... carskie pułki. W 1945 roku wojska 3. Frontu Ukraińskiego pozostawiły w tym miejscu tablicę pamiątkową od Bułgarów: *„Bohaterowie, położyliście się tu swoimi kośćmi w imię naszej wolności"*. Na szczycie Szypki także stoi dzisiaj potężny Monument Wolności. Pamięć i cześć poległym „za wspólną sprawę" przedstawiono w następujący sposób: *„Nie ma w historii przykładu podobnego temu sławnemu dziełu. Aby powstali ludzie w surowej Syberii, dalekim Kazaniu, w chłodnym Archangielsku, Astrachaniu, w sławnej Moskwie i wielkim Sankt--Petersburgu i pokonawszy góry, rzeki i lasy przyszli tu przelewać krew, aby wybawić nas od wiekowych zmagań i niesprawiedliwości, aby nas oswobodzić. Niech żyją bohaterscy rosyjscy wojowie, wszyscy nasi rosyjscy bracia (...)"*. ❑

Zdjęcia: arch. Autora, internet

LITERATURA:

1. Conko G.„Russko-tureckaja wojna 1877--1878 i podbit oswoboditielej"

2. Klein Z. „Anonimowi twórcy zwycięstwa (...)" [w:] „Tygodnik Literacki" nr 3/2005

3. Radziński E. „Aleksander II – ostatni wielki car", Magnum, Warszawa 2005

Krzyż Partyzancki

GRZEGORZ GRZEŚKOWIAK

Po przegranej Wojnie Obronnej 1939 r., społeczeństwo polskie podjęło działania zmierzające do przeciwstawienia się okupantowi i kontynuowania dalszej walki w konspiracji. Działania te, początkowo o charakterze spontanicznym i niezorganizowanym, polegały głównie na bojkotowaniu zarządzeń władz okupacyjnych, uchylaniu się od pracy, zmniejszaniu jej tempa, szczególnie w zakładach przemysłowych i transporcie.

Zbierano broń na terenach wrześniowych pobojowisk oraz gromadzono odbiorniki radiowe, maszyny do pisania i urządzenia poligraficzne. W lasach kieleckich, lubelskich i Borach Tucholskich żołnierze z rozbitych we wrześniu oddziałów Wojska Polskiego tworzyli nowe oddziały i przechodzili do działań partyzanckich. Sztandarowym przykładem tego był oddział wydzielony Wojska Polskiego dowodzony przez mjr Henryka Dobrzańskiego *„Hubala"*. W całym kraju spontanicznie tworzyły się tajne organizacje, których liczbę szacuje się na dzień 31 grudnia 1940 r. na ok. 140.

W oblężonej przez Wehrmacht Warszawie w dniu 27. IX.1939 r., gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz rozpoczął tworzenie ogólnokrajowej organizacji konspiracyjno-wojskowej o nazwie: Służba Zwycięstwu Polski (SZP), której częścią stała się wkrótce Rada Główna Polityczna złożona z przedstawicieli stronnictw politycznych, które przeszły do konspiracji. Tworzenie SZP, przy udziale kadry oficerskiej z okresu II RP, zostało źle przyjęte przez Premiera Rządu RP na emigracji, gen. Władysława Sikorskiego. Późniejszą decyzją gen. Sikorskiego SZP została rozwiązana.

13.XI.1939 roku powołano w jej miejsce Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), którego komendantem głównym został gen. Kazimierz Sosnkowski. Funkcję politycznego kierownictwa ZWZ spełniał Polityczny Komitet Porozumiewawczy, przemianowany w czerwcu 1940 r. na Główny Komitet Polityczny, a zastąpiony ostatecznie przez Delegaturę Rządu RP na Kraj. Obok ZWZ, dążącego do pełnienia czołowej roli w okupowanym kraju, powstawały inne, drobne organizacje i ugrupowania stawiające sobie za główny cel walkę zbrojną o odzyskanie niepodległości.

Środowiska zbliżone do sanacji utworzyły Organizację Orła Białego i Tajną Organizację Wojskową, które zostały podporządkowane ZWZ. Nie udało się natomiast, mimo starań, wejść do ZWZ zdecydowanie sanacyjnemu Obozowi Polski Walczącej i Konwentowi Organizacji Niepodległościowych. Wojskowe organizacje konspiracyjne utworzyła większość partii i stronnictw politycznych. Stronnictwo Ludowe „Roch" zorganizowało Straż Chłopską (Chłostra), przemianowaną w roku 1941 na Bataliony Chłopskie (BCh).

Stronnictwo Narodowe powołało Narodową Organizację Wojskową, Stronnictwo Pracy – Komendę Obrońców Polski, Polska Partia Socjalistyczna – Wolność- Równość-Niepodległość – Gwardię Ludową i Socjalistyczną Organizację Bojową, środowiska chadeckie – Organizację Wojskową Unia.

Do konspiracji przeszedł Związek Harcerstwa Polskiego, przyjmując nazwę konspiracyjną Szare Szeregi i podporządkowując się ZWZ. Harcerze stanowili m.in. podstawę oddziałów podległych Kierownictwu Dywersji (Kedyw). Istniało ponadto wiele regionalnych organizacji polityczno-wojskowych, tak jak np. na Mazowszu – Polska Organizacja Zbrojna, Tajna Armia Polska; na Kaszubach – Gryf Kaszubski; w poznańskim – Wielkopolska Organizacja Wojskowa.

Po ataku Niemiec na ZSRR do organizowania ogólnokrajowej partii i siły zbrojnej przystąpili komuniści poprzez działanie tzw. grup inicjatywnych, przerzucanych z terytorium radzieckiego. W 1942 r. powstała Polska Partia Robotnicza (PPR) i Gwardia Ludowa (GL), a w maju 1942 r. wyruszył do walki pierwszy oddział partyzancki Gwardii Ludowej dowodzony przez Franciszka Zubrzyckiego ps. *„Mały Franek"*.

Gwardia Ludowa zostaje przemianowana w dniu 1 stycznia1944 r. na Armię Ludową (AL) i podporządkowana Krajowej Radzie Narodowej (KRN). Istniały ponadto niezależne, małe liczebnie organizacje wojskowe o zdecydowanym zabarwieniu skrajnie narodowym, jak np. Uderzeniowe Bataliony Kadrowe i Związek Jaszczurczy reprezentujące Obóz Narodowo-Radykalny.

Największe zasługi dla ruchu oporu miał niewątpliwie ZWZ, przemianowany w lutym 1942 r. na Armię Krajową (AK), która prowadziła najdłuższą walkę zbrojną w czasie okupacji.

Odznaczenie Państwowe Krzyż Partyzancki (awers i rewers), wykonane przez Mennicę Państwową w Warszawie lata 80. XX wieku. Kolekcja: P. Olbromski.

Krzyż Partyzancki nadany Andrzejowi Kowalskiemu ps. „Cuma" partyzantowi Armii Ludowej, w dniu 9 maja 1946 r. w Warszawie. Kolekcja: P. Olbromski.

Miniaturka Krzyża Partyzanckiego wykonana przez Mennicę Państwową w Warszawie w latach 80. XX wieku. Kolekcja: P. Olbromski.

Ważną rolę w walce z okupantem spełniało także Kierownictwo Walki Cywilnej (KWC) podległe Delegaturze Rządu. Prasa konspiracyjna pod koniec 1939 r. liczyła 30 tytułów, w 1940 ponad 200, w 1941 ok. 300. Już w październiku 1939 powstała Tajna Organizacja Nauczycielska, która organizowała konspiracyjną naukę w zakresie szkolnictwa średniego i wyższego. Przy KWC działał także wydział sądowy, który wymierzał kary za zachowania niezgodne z poczuciem honoru narodowego. Wyroki wykonywane były przez Państwowy Korpus Bezpieczeństwa.

Ruch oporu istniał w formach zorganizowanych w Generalnym Gubernatorstwie i w nieco mniejszej skali na terenach włączonych do III Rzeszy. Próby tworzenia siatek konspiracyjnych na terenach okupacji sowieckiej kończyły się ich szybką likwidacją przez rozbudowany aparat bezpieczeństwa oraz tajnych agentów i informatorów, przenikających do konspiracyjnych organizacji podziemnych. W pierwszych latach okupacji jedyna licząca się wówczas organizacja ruchu oporu ZWZ, nie prowadziła otwartej walki z Niemcami. Działalność ograniczono do organizowania siatki konspiracyjnej, gromadzenia broni, szkolenia i prowadzenia wywiadu. W czerwcu 1940 r. w czasie kampanii francuskiej, wyjątkowo podjęto działania sabotażowo-dywersyjne na wyraźny rozkaz gen. W. Sikorskiego. Podobnie było w lutym 1941r., gdy dopuszczano możliwość niemieckiej inwazji na Anglię. Wszystkie akcje przeprowadził wówczas Związek Odwetu dowodzony przez F. Niepokólczyckiego.

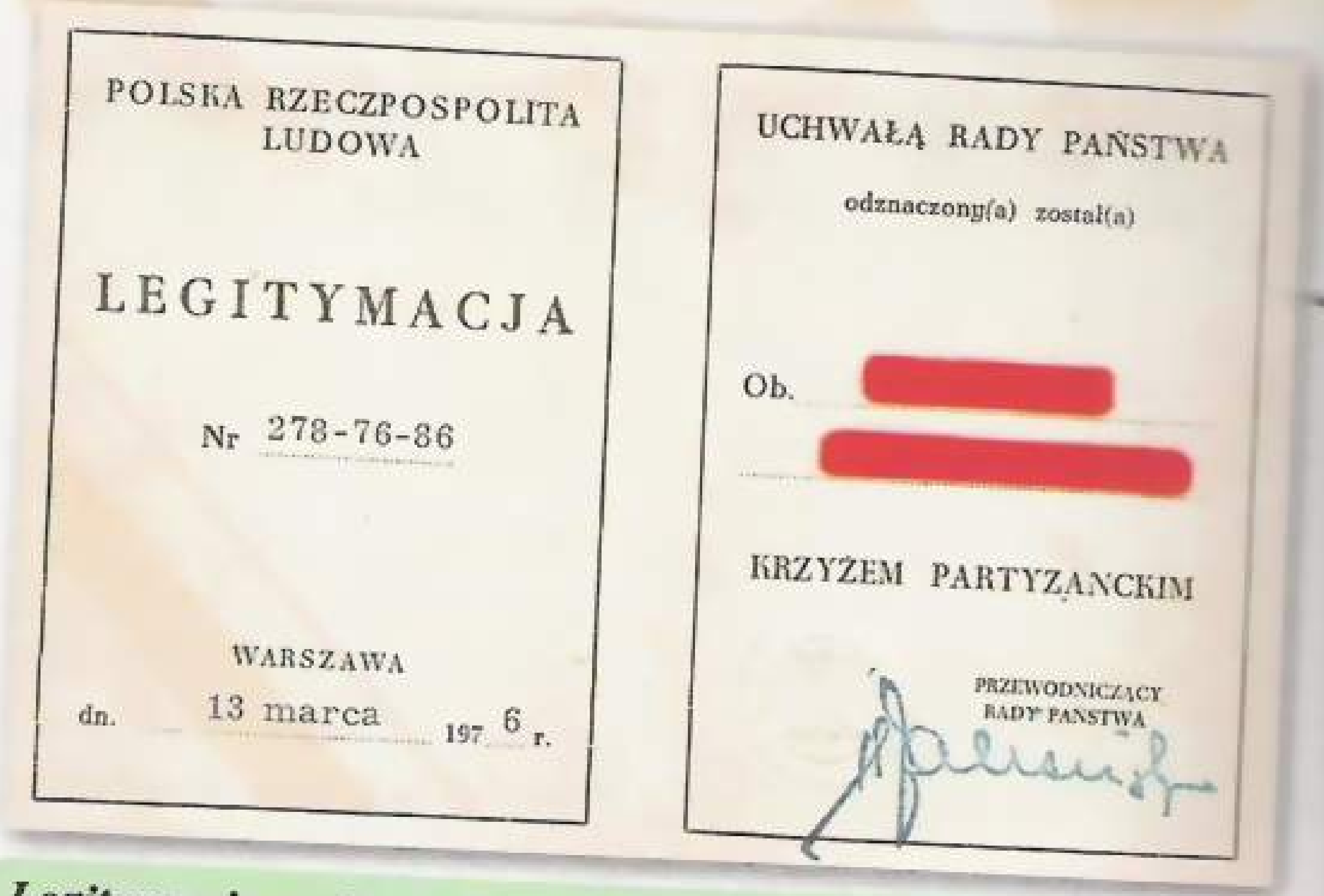
POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA

LEGITYMACJA

Nr 278-76-86

WARSZAWA dn. 13 marca 1976 r.

UCHWAŁĄ RADY PAŃSTWA odznaczony(a) został(a)

Ob. [redacted]

KRZYŻEM PARTYZANCKIM

PRZEWODNICZĄCY RADY PAŃSTWA

Legitymacja nadania Krzyża Partyzanckiego przez Radę Państwa PRL w dniu 13 marca 1976 r. Kolekcja: P. Olbromski.

Aktywizacja działalności wojskowej nastąpiła po agresji niemieckiej na Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich (ZSRR), gdy ziemie polskie stały się zapleczem frontu wschodniego. Powstała na polecenie Komendy Głównej AK organizacja *„Wachlarz"*, działała na Kresach Wschodnich, przeprowadzając szereg akcji dywersyjnych na liniach komunikacyjnych i w łączności telefonicznej. Dowódcami oddziałów dywersyjnych byli w większości Cichociemni – oficerowie przeszkoleni w Wielkiej Brytanii.

Od jesieni 1942 r. do lata 1943 r. AK i BCh prowadziły walkę w obronie wysiedlanej ludności Zamojszczyzny. Zbrojny opór w gettcie warszawskim stawiły: Żydowski Związek Wojskowy i Żydowska Organizacja Bojowa, prowadząc walki uliczne i broniąc się w bunkrach od 19 kwietnia do 8 maja 1943 roku.

Próby walki podjęli także Żydzi separowani w gettach w: Częstochowie, Białymstoku, Wilnie i Tarnowie. Żydom w czasie okupacji pomagała tajna organizacja pod nazwą Rada Pomocy Żydom (Żegota) oraz AK i inne organizacje polskiego podziemia.

Ogromne znaczenie w podtrzymywaniu na duchu społeczeństwa polskiego miały akcje odwetowe i zamachy na wysokich funkcjonariuszy Policji, Gestapo, SD i administracji niemieckiej. Akcje bojowe wykonywane były w większości przez oddziały Kedywu. AK i GL przeprowadzały również akcje zbrojne w celu zdobycia środków finansowych na potrzeby konspiracji. W roku 1943 dowództwo AK podjęło na szeroką skalę działalność dywersyjną i partyzancką. Od wiosny 1944 r. prowadziły działania bojowe również duże oddziały AL i BCh. Do walki z polskim podziemiem okupant musiał przeznaczać coraz większe siły Policji, SS oraz Wehrmachtu. W walce z partyzantami Niemcy ponosili znaczne straty w ludziach, sprzęcie i zaopatrzeniu materiałowo-technicznym.

Po wkroczeniu wojsk radzieckich na ziemie przedwojennej Polski, Armia Krajowa rozpoczęła Akcję *„Burza"*, tocząc walki z wycofującymi się oddziałami Wehrmachtu. Akcja nie spełniła oczekiwań z uwagi na wrogą postawę Moskwy wobec AK. Ostatnim aktem Akcji *„Burza"* było zorganizowanie Powstania Warszawskiego.

Wkroczenie Armii Czerwonej oznaczało koniec walki dla organizacji komunistycznych. Żołnierze AL zasilili tworzące się organy Milicji Obywatelskiej (MO) i Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (UBP) lub wstępowali do Ludowego Wojska Polskiego (LWP). Członkowie Polskiej Partii Robotniczej (PPR) tworzyli organy władzy administracyjnej i politycznej na wyzwalanych terenach.

Nie komunistyczne ugrupowania ruchu oporu podzieliły się na trzy odłamy. Pierwszy, złożony z lewicowych socjalistów i radykałów chłopskich uznał, że należy podjąć współpracę z władzami komunistycznymi. Drugi nurt polskiego ruchu oporu uważał za konieczne tworzenie partii i stronnictw demokratycznych w celu wygrania wyborów i przejęcia władzy. Przedstawiciele trzeciego kierunku nie wierzyli w porozumienie z „władzą ludową" i uważali za konieczne dalsze trwanie w konspiracji i rozbudowywanie ruchu oporu skierowanego przeciw ZSRR. Wobec terroru sowieckiego NKWD i polskiego UBP w dość szybkim czasie doszło do rozbicia organizacji podziemnych. Większość przywódców ruchu oporu z czasów okupacji i okresu powojennego poległa w walce lub została osadzona w komunistycznych więzieniach i radzieckich gułagach.

W hołdzie partyzantom, władza ludowa ustanowiła dekretem Krajowej Rady Narodowej z dnia 26 października 1945 r. osobne odznaczenie o charakterze pamiątkowo-wojskowym o nazwie Krzyż Partyzancki. Stanowił on nagrodę za udział w walkach partyzanckich z okupantem. Nadawany był oficerom, podoficerom, szeregowym oddzia-

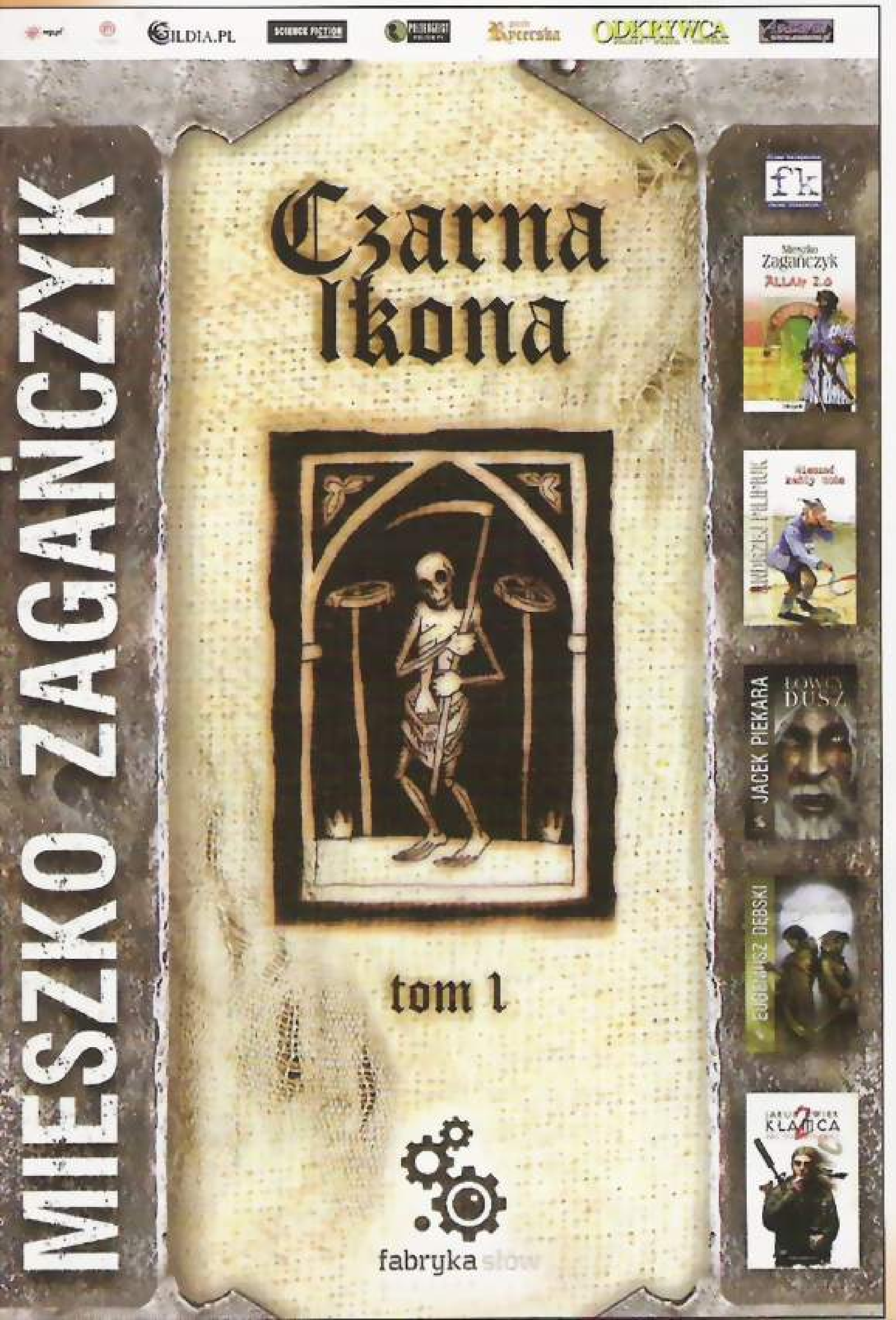

ków partyzanckich, którzy brali czynny udział w walce z bronią w ręku oraz osobom organizującym oddziały partyzanckie na terenie okupowanej Polski oraz poza jej granicami.

Minister Obrony Narodowej na podstawie art. 7 dekretu z dnia 26 październi-ka1945 r. wydał w dniu 26 kwietnia 1946 r. zarządzenie, w którym zostało określone kto ma prawo do odznaczenia. W zarządzeniu zostały również ujęte osoby, które walczyły w partyzanckich oddziałach w Związku Radzieckim, Francji oraz Jugosławii.

W celu rozpatrywania składanych wniosków o nadanie Krzyża Partyzanckiego, a także uwzględnienia kwestii kryteriów ubiegania się o nie, Minister Obrony Narodowej powołał Komisję Krzyża Partyzanckiego. Na czele komisji stał szef departamentu Personalnego WP. W skład komisji wchodzili: przedstawiciel Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego WP, szef biura historycznego Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego WP, oraz trzech przedstawicieli Zarządu Głównego Uczestników Walki Zbrojnej o Niepodległość i Demokrację.

Pierwsze nadanie Krzyża Partyzanckiego miało miejsce 9 maja 1946 r. w Warszawie. Odznaczono w tym dniu 120 osób, wśród których znaleźli się m.in.: mjr K. Banach, płk F. Jóźwiak, płk F. Kamiński, por. L. Kobyliński, ppłk G. Korczyński, mjr B. Kowalski (pośmiertnie), J. Krasicki (pośmiertnie), ppłk M. Moczar, T. Olszewski (pośmiertnie), mjr H. Połowniak, por. E. Rozłubirski, płk M. Spychalski, H. Szapiro (pośmiertnie), por. T. Szymański, gen. bryg. M. Rola-Żymierski oraz por. St. Wałach.

Od roku 1952 do 1956 Minister Obrony Narodowej wstrzymał nadawanie Krzyża Partyzanckiego, a od roku 1957 kompetencje nadawania tego odznaczenia przejęła Rada Państwa Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, jednocześnie wznawiając nadawanie tego odznaczenia. Wnioski o nadanie Krzyża Partyzanckiego mogli składać:

- Minister Obrony Narodowej
- Minister Spraw Zagranicznych
- Zarząd Główny ZBOWiD

Koszt odznaczenia w całości pokrywała Kancelaria Rady Państwa. Krzyż Partyzancki był wykonywany w Mennicy Państwowej w Warszawie. Odznaczano nim nie tylko poszczególne osoby, ale również miejscowości, których mieszkańcy brali czynny udział w partyzanckich działaniach bojowych. W roku 1972 nadano odznaczenia siedmiu miejscowościom w obecnym woj. śląskim, a w roku 1985 jednej miejscowości w woj. świętokrzyskim. Kolejne wstrzymanie nadawania odznaczenia miało miejsce od maja 1976 r. Pomimo tego, odznaczenia, do dnia 31grudnia 1981 r., wręczono dziewięciu osobom. Pod naciskiem środowisk kombatanckich w Polsce, Rada Państwa wznowiła od 9 maja 1982 r. nadawanie Krzyża Partyzanckiego.

Marszałek Polski, Michał Rola-Żymierski, dowódca Armii Ludowej odznaczony w dniu 9 maja 1946r. Krzyżem Partyzanckim. Obraz autorstwa, Wł. Kokoszka.

Krzyż Partyzancki stanowi złocony, równoramienny krzyż o wymiarach 38×38 mm., brzegi ramion krzyża zakończone są ornamentowanym obramowaniem. Na awersie, pośrodku krzyża umieszczono stylizowanego piastowskiego orła z głową zwróconą w prawo, na ramionach umieszczony jest napis, dużymi literami łacińskimi: *„ZA / POLSKĘ /WOLNOŚĆ / I / LUD"*.

Na rewersie, na poziomych ramionach widnieje napis, pisany dużymi literami łacińskimi: *„PARTYZANTOM"*, na górnym ramieniu cyframi arabskimi umieszczona jest data: *„1939"* a na dolnym: *„1945"*. Odznaczenie zawieszone jest na wstążce o szerokości 35 mm, koloru ciemnozielonego z dwoma pionowymi pasami koloru czarnego wzdłuż brzegów wstążki.

Zgodnie z wymogami ustawy, odznaczona osoba, będąca członkiem organizacji lub stowarzyszenia kombatanckiego, mogła w czasie uroczystości państwowych oraz rocznicowych, występując na nich w umundurowaniu typu wojskowego, nosić odznaczenie w pełnej formie na lewej piersi, zgodnie ze starszeństwem polskich orderów i odznaczeń.

W przypadku noszenia baretki Krzyża Partyzanckiego, powinna posiadać wymiary: 10×35 mm. Umieszczona na podkładce koloru czarnego z płótna lub aksamitu o 2 mm wyższym i szerszym od baretki odznaczenia. Baretkę umieszcza się na lewej piersi nad górną kieszenią kurtki mundurowej, zachowując starszeństwo posiadanych orderów i odznaczeń. Na ubraniu cywilnym odznaczona osoba może nosić miniaturkę odznaczenia lub rozetkę wykonaną ze wstążki, którą wpina się w lewą klapę marynarki.

Krzyż Partyzancki nadawano w okresie od 1957 r. do 1989 r. przez Radę Państwa. Po wybraniu w lipcu 1989 r. przez Zgromadzenie Narodowe Prezydenta, przejął on uprawnienia Rady Państwa do nadawania państwowych orderów i odznaczeń. Sejm RP ustawą z dnia 16 października 1992 r. art.7, p.3, zakończył nadawanie tego odznaczenia z dniem 8 maja 1995 r., na podstawie dotychczas obowiązujących przepisów.

Prawdopodobnie ostatnie nadanie Krzyża Partyzanckiego miało miejsce w dniu 8 maja 1999 r. przez Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego. Obecnie szacuje się, że Krzyżem Partyzanckim w latach 1946-1999 zostało odznaczonych ok. 57 tys. osób. ❑

Kolekcja: Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

LITERATURA:

1. Dz. Ustaw RP Nr 50 – 1945 r. poz. 288
2. Dz. Ustaw RP Nr 90 – 1999 r. poz. 451
3. Bigoszewska W. „Polskie ordery i odznaczenia"; 1989 r.
4. Oberleitner S. „Polskie ordery, odznaczenia i niektóre wyróżnienia zaszczytne" tom II, 1999 r.
5. Puchalski Z. Wojciechowski I.J. „Ordery i odznaczenia polskie i ich kawalerowie" 1987 r.
6. Tuszyński W. „II Wojna Światowa. Ruch oporu w Polsce 1939-1943", 1985 r.
7. Tuszyński W. „II Wojna Światowa. Ruch oporu w Polsce 1944-1945", 1987 r.

Austrowęgierski medal Zasługi Wojskowej „Signum Laudis”

Znak chwały

PIOTR GALIK

Medal Zasługi Wojskowej pierwszej wersji na wstążce wojennej.

Niewiele jest odznaczeń, które tak trwale wryły się w pokoleniową pamięć, że ich nazwy mogą z powodzeniem służyć jako tytuł filmu. Do takich wyjątków należą polski Krzyż Walecznych (film Kazimierza Kutza z 1959 r. pod takim właśnie tytułem) i niemiecki Krzyż Żelazny („Cross of Iron” Sama Peckinpaha z 1977 r.). W roku 1980 w Czechosłowacji powstał film zatytułowany „Signum Laudis” (reż. Martin Holly). Jego bohater, dowódca nazwiskiem Hoferik, ma w nagrodę za wykonanie samobójczego zadania otrzymać tytułowy medal. W akcji ginie cały jego oddział. Jakie odznaczenie mogło skłonić żołnierzy do takiej ofiary...

Medal Zasługi Wojskowej pierwszej wersji na wstążce okresu pokojowego.

Awers węgierskiego medalu „Signum Laudis” za zasługi wojenne z mieczami.

Medal Zasługi Wojskowej: czasy pokoju

Rozbudowa sił zbrojnych cesarstwa habsburskiego spowodowała w końcu XIX wieku znaczny rozrost kadry zawodowej. Istniejące do tego okresu odznaczenia, którymi można było nagradzać oficerów szczególnie zasłużonych dla obronności kraju, miały charakter elitarny. Ordery świętego Stefana, Leopolda i Żelaznej Korony nadawano rzadko, a nagradzani nimi byli głównie wysocy rangą oficerowie sztabowi, zwykle wywodzący się z kręgów arystokracji. Ustanowiony w 1849 roku Krzyż Zasługi Wojskowej nabrał z czasem charakteru oficerskiego odznaczenia za czyny wojenne, swego rodzaju odpowiednika żołnierskiego Medalu Waleczności. Tak więc, by zapełnić lukę w systemie odznaczeń państwowych, cesarz Franciszek Józef I ogłosił 12 marca 1890 roku dekret o ustanowieniu Medalu Zasługi Wojskowej dla oficerów. Odznaczenie już od początku uzyskało dualistyczny charakter. Medal mógł być bowiem nadawany zarówno za bohaterskie czyny podczas wojny, jak i za szczególne zasługi dla sił zbrojnych monarchii w czasie pokoju. Czytelnym wyróżnikiem dla okoliczności nadania medalu miała być wstążka. Odznaczenie za zasługi wojenne zawieszane było na charakterystycznej, prążkowanej poprzecznie czerwono-białej wstążce Medalu Waleczności. Nagrodą za zasługi w okresie pokojowym był taki sam medal, lecz zawieszony na karminowej wstążce Orderu Franciszka Józefa. Sam medal natomiast przypominał wyglądem inne tego rodzaju odznaczenia habsburskie. Bity w brązie i pozłocony krążek o średnicy 32 mm, ozdobiony był wahliwie zamocowaną złoconą koroną cesarską o wysokości 20 mm, opatrzoną zawieszką do wstążki. Awers medalu przedstawiał prawy profil cesarza Franciszka Józefa uwieńczonego laurem. Wokół wizerunku biegł, wzdłuż krawędzi, skrótowy napis w języku łacińskim: *„FRANCISCVS * IOS * I * D * G * IMP * AVST * REX * BOH * ETC * ET * REX * APOST * HUNG”* (Franciscus Iosephus I Dei Gratiae Imperator Austriae Rex Bohemiae etc. Et Rex Apostolicus Hungariae), czyli Franciszek Józef I z Bożej Łaski Cesarz Austrii, Król Czech itd. oraz Apostolski Król Węgier. Była to oficjalna tytulatura władcy Austro-węgier. Inskrypcja otoczona była laurowym wieńcem, biegnącym wzdłuż krawędzi awersu. Rewers medalu zawierał centralnie umieszczone motto odznaczenia: *„SIGNVM / LAVDIS”* czyli *„Znak Chwały”*. Słowa te stały się nieoficjalną, lecz powszechnie używaną nazwą nowego medalu. Napis otoczony został wieńcem dębowo-laurowym (symbol sławy wojennej i chwały czasów pokoju), a krawędź otoczona została perełkowatą linią, optycznie zamykającą całość kompozycji.

Nowe odznaczenie zostało przyjęte z zadowoleniem i w ciągu kilku lat nagrodzono nim wiele tysięcy oficerów niższych stopni, którzy wykazali się długoletnią, nienaganną służbą lub wprowadzili znaczące ulepszenia w szkoleniu, organizacji czy uzbrojeniu armii.

Z biegiem lat okazało się, że dla wielu odznaczonych dekoracja medalem „Signum Laudis” była zachętą do dalszych wysiłków i starań. W obliczu tej sytuacji cesarz zadecydował o wprowadzeniu wyższej klasy tego medalu, odpowiadającej

Srebrny Medal Zasługi Wojskowej – trzecie nadanie z mieczami.

Rewers węgierskiego „Signum Laudis” za zasługi w czasie pokoju.

„Złote Signum Laudis” z mieczami, jedno z najrzadszych odznaczeń Austrowęgier.

Srebrny Medal Zasługi Wojskowej pierwszej wersji.

Medal Zasługi Wojskowej z mieczami, wersja z 1917 r.

Srebrny Medal Zasługi Wojskowej z mieczami, wersja z 1917 r.

powtórnemu nadaniu odznaczenia. Stało się to 26 marca 1911 roku, kiedy ogłoszono dekret władcy, sankcjonujący ustanowienie srebrnego Medalu Zasługi Wojskowej. Jedyną różnicą w stosunku do „zwykłego" Signum Laudis był materiał, z którego bito nowe medale. Brąz złocony zastąpiło srebro. Według przepisu, oficer nagrodzony medalem srebrnym zobowiązany był zastąpić poprzednio otrzymane odznaczenie. Dość paradoksalnym efektem było zastępowanie medalu złotego – srebrnym. Ta niekonsekwencja naprawiona została 7 lutego 1914 roku, kiedy zezwolono oficerom odznaczonym srebrnym „Signum Laudis" na noszenie także otrzymanego wcześniej medalu.

Medal Zasługi Wojskowej: czasy wojny

Wybuch Wielkiej Wojny nie spowodował natychmiastowych zmian w statucie medalu „Signum Laudis". Zgodnie z logiką wydarzeń, nadania na wstążce zasługi wojennej zaczęły wyraźnie dominować liczbą nad przedwojennymi. Mimo to wciąż nadawane były medale na czerwonej, „pokojowej" wstążce, z tym jednak, że nagradzano nimi zasługi dla np. udoskonaleń uzbrojenia, szkolenia czy organizacji „tyłów" jeszcze z okresu przed sierpniem 1914 roku. W miarę przedłużania się walk okazało się jednak, że wielu już odznaczonych Medalem Zasługi Wojennej spełnia wymogi dla kolejnej dekoracji. Aby wyjść naprzeciw potrzebie nagradzania bohaterskich czynów w obliczu wroga, cesarz dekretem z 1 kwietnia 1916 roku wprowadził istotne zmiany w statucie odznaczenia. Usankcjonowane zostały powtórne i trzecie nadanie medalu srebrnego, symbolizowane nałożeniem jednego lub dwóch metalowych okuć na wstążkę. Wprowadzono także nową, najwyższą klasę odznaczenia. Został nią Wielki Medal Zasługi Wojskowej, zwany potocznie „Złotym Signum Laudis".

Medal o średnicy 38 mm różnił się projektem nieznacznie od klas niższych. Jego awers zdobił podwójny wieniec laurowy, biegnący wzdłuż krawędzi, a korona ozdobiona została dodatkowym wieńcem laurowym, otaczającym ten cesarski symbol. Wielki Medal wykonywany był z pozłacanego srebra, choć znane są egzemplarze bite w złocie (zapewne wtórniki zamawiane prywatnie przez odznaczonych). „Złote Signum Laudis" mogło być nadawane dwukrotnie – w tym przypadku na wstążce umieszczano złote okucie, analogicznie jak w przypadku medalu srebrnego. Z wyjątkiem dwóch odznaczonych, Wielkim Medalem nagradzani byli najwyżsi rangą dowódcy austrowęgierscy oraz armii sojuszniczych. Pośród jedynie 30 nagrodzonych znaleźli się Niemcy: następca tronu Rzeszy Fryderyk Wilhelm, następca tronu Bawarii Rupprecht, książę Wirtembergii Albrecht i generałowie Erich von Falkenhayn oraz Paul von Beneckendorff und von Hindenburg. „Złote Signum Laudis" otrzymał także turecki generał Enver Pasza. Czterej dowódcy nagrodzeni zostali dwukrotnie. Byli to według starszeństwa nadania: gen. płk Samuel von Hazai, gen. płk Svetozar Borevič von Bojna, feldmarsz. Franz Conrad von Hötzendorf (nadanie z mieczami) oraz gen. płk Friedrich von Georgi. Jedyni dwaj oficerowie poniżej rangi generalskiej, nagrodzeni najwyższą klasą medalu to: as lotnictwa marynarki wojenne Austrowęgier Linienschiffsleutnant (porucznik) Gottfried Banfield oraz „szara eminencja" C.K. Sztabu Generalnego ppłk Hermann Pokorny.

Cesarz umarł, niech żyje cesarz! „Signum Laudis" za panowania ostatniego Habsburga

Śmierć sędziwego Franciszka Józefa I w listopadzie 1916 roku była przez wielu odebrana jako zwiastun zmierzchu monarchii, na czele której stał od dziesięcioleci. Następca tronu, arcyksiążę Karol już w początkowym okresie panowania postanowił wprowadzić kolejne zmiany w statucie odznaczenia. Aby po raz kolejny zwiększyć możliwość nagradzania za zasługi bojowe, wprowadzona została dodatkowa kategoria odznaczenia. W każdej z klas „Signum Laudis" można było od 13 grudnia 1916 roku otrzymać medal z mieczami. Wykonane z pozłacanego brązu skrzyżowane miecze, naszywane były na wstążkę lub w przypadku nadania powtórnego albo trzeciego – nakładane na okucie symbolizujące ten fakt. W świetle tych zmian struktura hierarchii poszczególnych klas medalu przedstawiała się następująco:

- Medal Zasługi Wojskowej (brązowe lub „małe Signum Laudis"),
- Medal Zasługi Wojskowej z mieczami („małe Signum Laudis z mieczami"),

Cesarz Karol Habsburg miał wśród swoich odznaczeń także „Signum Laudis".

- Medal Zasługi Wojskowej ponowne nadanie,
- Medal Zasługi Wojskowej ponowne nadanie z mieczami,
- Medal Zasługi Wojskowej trzecie nadanie,
- Medal Zasługi Wojskowej trzecie nadanie z mieczami,
- Srebrny Medal Zasługi Wojskowej,
- Srebrny Medal Zasługi Wojskowej z mieczami,
- Srebrny Medal Zasługi Wojskowej ponowne nadanie,
- Srebrny Medal Zasługi Wojskowej ponowne nadanie z mieczami,
- Srebrny Medal Zasługi Wojskowej trzecie nadanie,
- Srebrny Medal Zasługi Wojskowej trzecie nadanie z mieczami,
- Wielki Medal Zasługi Wojskowej („złote" lub „wielkie Signum Laudis"),
- Wielki Medal Zasługi Wojskowej z mieczami,
- Wielki Medal Zasługi Wojskowej powtórne nadanie,
- Wielki Medal Zasługi Wojskowej powtórne nadanie z mieczami.

Gottfried von Banfield, as myśliwski odznaczony „Złotym Signum Laudis".

Nowy cesarz przyjął 28 lutego 1917 roku Wielki Medal Zasługi Wojskowej z mieczami. Medale wciąż jeszcze nosiły wizerunek jego poprzednika. Sytuacja ta uległa zmianie mocą dekretu z 18 lutego 1917 roku, kiedy zatwierdzony został nowy, nieco odmienny projekt odznaczenia.

Nowe medale, potocznie nazywane „Signum Laudis Karola", zachowywały wymiary poprzedniego wzoru, jednak z oczywistych względów na awersie pojawił się prawy profil Karola I (sygnowany nazwiskiem twórcy, nadwornego artysty Kautscha). Wokół krawędzi umieszczony został stosowny napis: *„CAROLVS D. G. IMP. AVST. REX BOH. ETC. ET REX APOST. HUNG."* (Carolus Dei Gratiae Imperator Austriae Rex Bohemiae etc. et Apostolicus Rex Hungariae), oznaczający: Karol z Bożej Łaski Cesarz Austrii Król Czech itd. Oraz Apostolski Król Węgier.

W przeciwieństwie do „medalu Franca-Jozefa" napisu nie otaczał już wieniec laurowy. Rewers medalu pozostał niezmieniony. Początkowo zawieszka medalu w postaci korony cesarskiej pozostała jak poprzednio, jednak w drugiej połowie roku 1917 zastąpiła ją inna, tym razem stanowiąca integralną, stałą część medalu. Awers jej prezentował dwie umieszczone obok siebie korony: habsburską cesarską Austrii i królewską węgierską, znaną jako „korona świętego Stefana". Łączył je wspólny wieniec laurowo-dębowy, zbliżony kształtem do tego, jaki wyróżniał wcześniej jedynie Wielki Medal. Projekt ten nawiązywał ideowo do koncepcji większej federalizacji państwa, w czym upatrywano remedium na zbliżające się oznaki rozpadu monarchii.

Z kolekcjonerskiego punktu widzenia istotny jest szereg odmian medalu, jakie powstały po wprowadzeniu przepisów oszczędnościowych. W myśl tych zasad od początku 1918 roku nastąpiła materiałowa „degradacja" odznaczeń – brąz złocony zastąpił mosiądz polerowany, srebro – mosiądz posrebrzany lub biały metal (zwykle alpaka), a medal złoty wykonywany był już nie z pozłacanego srebra, lecz pozłacanego brązu. Upadek cesarstwa jesienią 1918 roku oznaczał formalnie kres tego odznaczenia. Jednak nawet kilka lat później medale „Signum Laudis" nadawane były oficerom, których wojenne zasługi nie zostały nagrodzone przed kapitulacją. Oczywiście nie miały one już rangi odznaczenia państwowego.

Medal Zasługi Wojskowej, choć nadawany (w niższych klasach) w znacznej liczbie, do końca istnienia Austrowęgier zachował znaczny prestiż. Wiele tych odznaczeń otrzymali także Polacy służący w zaborczej armii, a także w Legionach Polskich. Choć dla nas nie stał się szczególnym „znakiem chwały", w innych krajach dawnej Monarchii Habsburskiej pozostał symbolem nagrody za bohaterskie czyny. Najlepszym wyrazem tego prestiżu jest fakt podtrzymania tradycji medalu na Węgrzech, gdzie w latach międzywojennych usankcjonowane zostało „nowe wcielenie" „Signum Laudis", uwzględniające oczywiście w swoim projekcie madziarską symbolikę narodową: koronę św. Stefana i węgierski podwójny krzyż. Od 1922 roku medal ten nadawany był – na wzór przedwojennego, cesarsko-królewskiego – na odrębnych wstążkach za zasługi cywilne (zielona z czerwono-białymi krawędziami) i wojenne (czerwona z zielono-białymi krawędziami), ta ostatnia odmiana także w klasie z mieczami. Siłą tradycji jest jej zdolność przetrwania mimo niesprzyjających okoliczności. ❑

Zdjęcia: arch. Autora, internet

R E K L A M A

Oznaki kołnierzowe polskiego szkolnictwa wojskowego II RP (cz. I)

JULIAN M. SKELNIK

Oznaki kołnierzowe stanowiły jeden z najłatwiejszych sposobów identyfikacji przynależności żołnierzy. W Wojsku Polskim okresu międzywojennego ich zastosowanie bywało różnorodne. Popularne stało się oznaczanie służb. Szczególną sympatią cieszyły się oznaki kołnierzowe także w 16. Dywizji Piechoty oraz w szkolnictwie wojskowym. To właśnie ta ostatnia grupa oznak będzie przedmiotem serii dwóch artykułów. W części pierwszej zaprezentuję oznaki szkół oficerskich i podoficerskich oraz oznakę służby specjalnej naukowo-oświatowej, która jest co prawda oznaką służby, ale integralnie związanej ze szkolnictwem wojskowym.

Oznaki szkół oficerskich

Pierwszą oznaką kołnierzową stosowaną w szkołach oficerskich Wojska Polskiego była oznaka Oficerskiej Szkoły Piechoty Wojsk Wielkopolskich. Szkoliła ona aspirantów oficerskich przed uzyskaniem pierwszego stopnia oficerskiego. Zgodnie z dekretem Naczelnej Rady Ludowej, aspirantem oficerskim mógł być żołnierz, który w armii pruskiej posiadał stopień sierżanta lub plutonowego, a który nie przekroczył 45 roku życia. Los aspirantów oficerskich w szeregach Wojsk Wielkopolskich był dwojaki. Części przydzielono etatowe stanowiska w pułkach, a pozostałych usytuowano przy baonie zapasowym 3. Pułku Strzelców Wielkopolskich. Aspiranci składający się na tę drugą grupę stanowić mieli uczniów tworzonej właśnie przy Wojskach Wielkopolskich Szkoły Oficerskiej. Do mieszczącego się w Biedrusku baonu zapasowego 3. P. Strz. Wlkpl. zaczęli oni przybywać począwszy od 24.IV.1919 r. Pomimo iż planowano szybkie rozpoczęcie nauki, aż do 17 maja nie udało się wyznaczyć komendanta nowo tworzonej Szkoły Oficerskiej. Płk Bolesław Jatelnicki, którego w tej roli chciał widzieć gen. Dowbór-Muśnicki wstrzymywany był przez naczelne dowództwo. Całkowicie paraliżowało to prace nad otworzeniem szkoły, która nie dysponowała ani programem nauczania, ani własnymi koszarami. Pomieszczenia w koszarach „Nordring" w Poznaniu gotowe były do przyjęcia uczniów dopiero w drugiej połowie lipca 1919 r. Do tego czasu prowadzono w Biedrusku jedynie prowizoryczne szkolenie pod kierownictwem kpt. Stefana Kosseckiego, a później mjr Józefa de Meksz. 22.VII.1919 r. nastąpiło przeniesienie do Poznania, a w dwa dni później formalne otwarcie I kursu Szkoły Oficerskiej.

Fot. 2 Uczeń szkoły oficerskiej z oznaką widoczną na kołnierzu kurtki mundurowej i płaszcza.

Fot. 3 Uczeń szkoły oficerskiej z oznaką przymocowaną na proporczyku.

Projekty umundurowania aspirantów oficerskich zostały opracowane w szkole najprawdopodobniej już w lipcu 1919 r. Proponowane przez szkołę umundurowanie zostało zatwierdzone rozkazem D.O.G.L. 220 z 6.IX.1919 r. Co ciekawe, zachowane zdjęcia dowodzą, iż umundurowanie tego typu używane było już na początku sierpnia, podczas uroczystości związanych z otwarciem i poświęceniem szkoły (fot. 1). Tak więc przywołany rozkaz był najprawdopodobniej jedynie usankcjonowaniem istniejącego stanu faktycznego. Natomiast przed wprowadzeniem omawianego typu umundurowania, aspiranci oficerscy występowali w typowym umundurowaniu pruskim, co także znajduje swoje potwierdzenie w zachowanych zdjęciach. W myśl tego rozkazu oznakę właściwą dla umundurowania Oficerskiej Szkoły Piechoty Wojsk Wielkopolskich stanowi patka koloru karmazynowego długości 9 cm i wysokości 3,5 cm. Na patce uwidoczniony był liść laurowy (rys. 1). Zachowany materiał ikonograficzny dowodzi bezsprzecznie, iż oznaka noszona była nie tylko przez aspirantów oficerskich, ale także przez kadrę szkoły. Dopuszczano wykonanie odznaki tak w metalu, jak i za pomocą srebrnej nici.

Fot. 1 Aspirant oficerski podczas uroczystości poświęcenia Oficerskiej Szkoły Piechoty Wojsk Wielkopolskich z widoczną oznaką na kołnierzu.

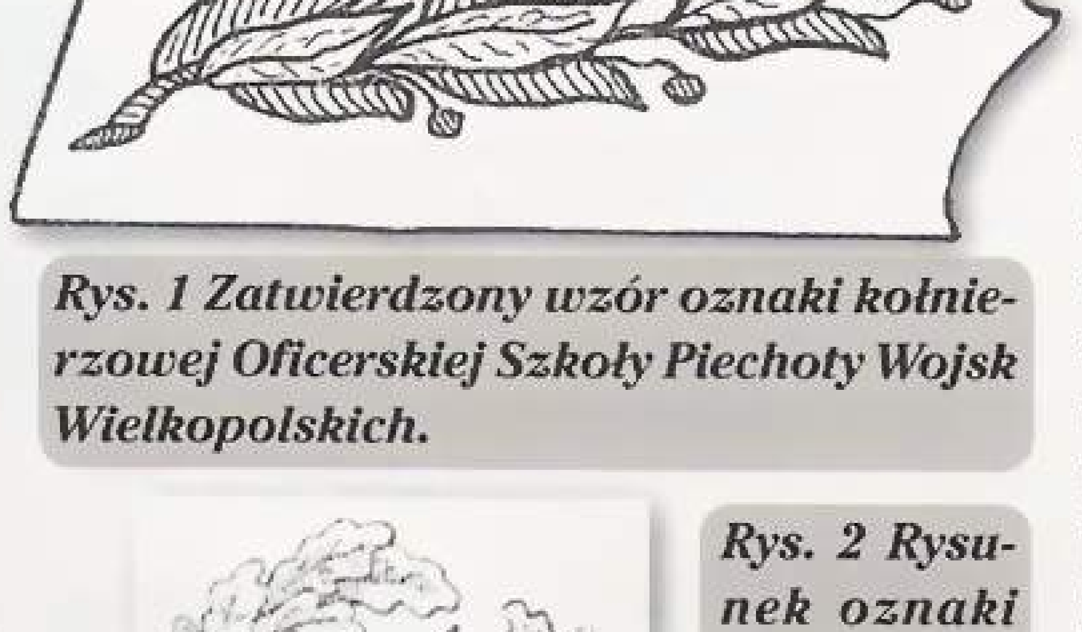

Rys. 1 Zatwierdzony wzór oznaki kołnierzowej Oficerskiej Szkoły Piechoty Wojsk Wielkopolskich.

Rys. 2 Rysunek oznaki szkół oficerskich z Dziennika Rozkazów.

Powszechnie znana oznaka szkół oficerskich wprowadzona została rozkazem *„Przepisy ubioru polowego Wojska Polskiego"* (Dz. Roz. M.S.Wojsk. nr 97 z 1919 r.) Oznakę stanowił wieniec dębowy z umieszczoną centralnie gwiazdką (rys. 2). Była ona noszona zarówno na kołnierzu kurtki mundurowej, jak i płaszcza (fot. 2). Nosili je nie tylko uczniowie, ale niekiedy także kadra instruktorska szkół oficerskich. Należy w tym miejscu podkreślić dwie osobliwości związane z noszeniem oznaki szkół oficerskich. Pierwsza z nich dotyczy uczniów, którzy nosili na kołnierzach proporczyki

Fot. 4 Uczeń szkoły oficerskiej z oznaką wykonaną za pomocą bajorka.

oznaczające ich przynależność pułkową. W takim przypadku oznaki mocowane były na proporczykach (fot. 3). Druga osobliwość wiąże się z kapelanami wojskowymi. Większe szkoły, takie jak Szkoła Oficerska dla Podoficerów w Bydgoszczy, czy Oficerska Szkoła Piechoty w Warszawie posiadały własnych kapelanów. Przysługiwały im oznaczenia służby duszpasterskiej, a teoretycznie także oznaczenia szkół oficerskich – ponieważ byli członkami kadry szkoły. Choć wydawać by się mogło, że w takich okolicznościach naturalnym jest zrezygnowanie z oznaki szkół oficerskich, to jednak spotyka się zdjęcia gdzie obie oznaki występują łącznie.

Prawidłowo oznaka powinna być bita w blasze i mocowana na dwa metalowe wąsy przylutowane do rewersu. Pomimo tego, na zachowanych zdjęciach spotkać można także oznaki wykonane za pomocą bajorka (fot. 4). Odznaka szkół oficerskich przysługiwała uczniom wszystkich szkół oficerskich Wojska Polskiego. Od zasady tej znane są dwa wyjątki. Uczniowie Oficerskiej Szkoły Aeronautycznej w początkowym okresie istnienia szkoły nosili oznaki szkół podchorążych. Drugi wyjątek stanowili uczniowie pierwszego rocznika Oficerskiej Szkoły Sanitarnej. W trakcie pierwszego roku nauki nosili oni oznaki szkół podchorążych, od drugiego roku już oznaki szkół oficerskich. Oznaka szkół oficerskich została wycofana dla wszystkich szkół poza Oficerską Szkołą Marynarki Wojennej w 1928 roku. Noszona przez uczniów Oficerskiej Szkoły Marynarki Wojennej różniła się od pozostałych tym, że była wykonana z metalu koloru złotego. Z tego względu przez część badaczy uznawana jest za osobną oznakę. H. Wielecki podaje nawet, iż miała ona odrębny wygląd. Jest to błąd, którego źródła dopatrzyć się nie potrafię. Krój tej oznaki był dokładnie taki sam jak w przypadku pozostałych oznak szkół oficerskich. Oznaka noszona była w okresie 1927-1930 na kołnierzach mundurów granatowych i białych uczniów Oficerskiej Szkoły Marynarki Wojennej (noszono ją także na naramiennikach płaszczy). Przy kurtce granatowej noszono ją na górnej klapie, pomimo iż pierwotny projekt zakładał umiejscowienie jej na klapie dolnej. Przy kurtce białej – na stójce kołnierza.

Oznaki szkół podoficerskich

Opisywanie historii oznak szkół podoficerskich tradycyjnie rozpoczyna się od oznaki wprowadzonej do użytku 1.XI.1919 roku. Okazuje się jednak, że inicjatywę w kierunku ustanowienia oznaki dla szkół podoficerskich podjęto nieco wcześniej. Podczas kwerendy w CAW natrafiłem na zespół dokumentów związanych z inicjatywą ustanowienia oddzielnego umundurowania i oznaczenia dla uczniów Obozu Szkół Podoficerskich w Dęblinie. Projekt wysunięty w pierwszej połowie kwietnia przez komendanta Obozu majora Maksymowicza-Raczyńskiego, zakładał wprowadzenie osobnych czapek i oznaczeń na kołnierzach dla kursantów Obozu. Oznaczenia składać się miały z liter *„SP"*, lub *„SPd"* wykonanych w złotym metalu. Ich wysokość określona była na 15-20 mm. Trudno dzisiaj jednoznacznie określić jak dokładnie miały wyglądać wspomniane inicjały, ponieważ zachowała się większa liczba projektów proponowanych przez osoby związane z Obozem. Pomysłu nie udało się przeforsować, a to zapewne ze względu na podobieństwo proponowanych oznak z oznaczeniami używanymi przez szkoły podchorążych. Dopiero w tym momencie pojawia się, zatwierdzona w rozkazie *„Przepisy ubioru polowego Wojska Polskiego"*, oznaka szkół podoficerskich (rys. 1). Wizerunek oznaki stanowi wieniec laurowy z dwoma skrzyżowanymi karabinami. Kolby karabinów schowane są pod wieńcem, natomiast lufy wyeksponowane nad nim. Oznaki noszone miały być na kołnierzach kurtek mundurowych i płaszczy. Na podstawie przedstawienia oznaki w rozkazie ją ustanawiającym, i zachowanego materiału ikonograficznego można przyjąć, iż odznaka powinna być pochylona w prawo pod kątem 45 stopni względem dolnej krawędzi kołnierza.

Najpowszechniej oznaki szkół podoficerskich wykonywane były z białego metalu i mocowane na dwa wąsy przylutowane do jej rewersu. Spotyka się jednak oznaki wykonane bajorkiem. Stanowią one w moim przekonaniu wyjątek od zasady. Jedną z takich oznak prezentuje fot. nr 1. Warto zwrócić uwagę, iż utrudnienia wynikające ze specyfiki szycia nicią bajorkowaną nie pozwoliły na prawidłowe odwzorowanie oznaki i kolby karabinów znalazły się nad wieńcem.

Najwięcej kontrowersji pojawia się wokół ustalenia grupy szkół, w których noszono oznaki szkół podoficerskich. Nie wszystkie szkoły potencjalnie uprawnione do jej stosowania korzystały z tej możliwości. Wiadomo na przykład, iż oznaka nie była wprowadzona do użytku w Obozie Szkół Podoficerskich. Z tego też względu omówię pokrótce szkoły podoficerskie, w których stosowano oznaczenia dla uczniów.

- Zasadniczo były one noszone przez uczniów kompanii szkolnych, potocznie nazywanych pułkowymi szkołami podoficerskimi. Określenie to nie jest do końca prawidłowe, bowiem mogła to być „szkoła podoficerska 12. Pułku Piechoty", ale także „szkoła podoficerska 3. Dywizjonu Żandarmerii". Bardziej prawidłowe więc wydaje się określenie, iż były to szkoły podoficerskie, zorganizowane w kompanie szkolne danych jednostek. Należy koniecznie zaznaczyć, iż nie we wszystkich kompaniach szkolnych noszono takie oznaki. Najpopularniejsze były w piechocie, gdzie organizowano największą ilość tego typu szkół podoficerskich. Od początku lat 30. przyjęła się praktyka, iż kurs trwał od września do marca roku następnego.
- W pułkach artylerii, artylerii przeciwlotniczej i dywizjonach artylerii konnej, odpowiednikiem kompanii szkolnych były baterie szkolne. Stanowiły one szkoły podoficerskie tych formacji. Noszono w nich oznaki szkół podoficerskich wg omówionego wzoru, ale także oznaki nieregulaminowe nawiązujące do symboliki oznaki szkół podoficerskich. Z tego też względu spotkać

Fot. 2 Nieregulaminowa oznaka szkół podoficerskich noszona w bateriach szkolnych.

Fot. 1 Oznaka szkół podoficerskich wykonana bajorkiem.

Rys. 1 Rysunek oznaki szkół podoficerskich z Dziennika Rozkazów.

Fot. 3 Nieregulaminowa oznaka szkół podoficerskich noszona w szwadronach szkolnych – typ 1.

Fot. 4 Uczeń szkoły podoficerskiej 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich ze Lwowa z nieregulaminową oznaką szkół podoficerskich noszoną w szwadronach szkolnych typu 1.

Fot. 5 Uczeń szkoły podoficerskiej 15 Pułku Ułanów Poznańskich z nieregulaminową oznaką szkół podoficerskich noszoną w szwadronach szkolnych typu 2.

Fot. 6 Uczeń Szkoły Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich z widoczną oznaką.

można oznaki w postaci wieńca z liści laurowych (po lewej) i dębowych (po prawej) zwieńczonego orłem w koronie. Wewnątrz wieńca, zamiast skrzyżowanych luf armatnich, można zobaczyć nawiązujące do symboliki artyleryjskiej dwie skrzyżowane lufy armatnie, a pod nimi gorejący granat (fot. 2). Oznaka bita jest w blasze i mocowana na dwa wąsy. Pomimo iż praktycznie istniały dwa wzory oznak dla szkół podoficerskich, w formacjach artylerii zdarzało się, że nie stosowano w szkole podoficerskiej żadnego oznaczenia. Pewien problem w mocowaniu oznaki stanowiły proporczyki noszone na kołnierzach uczniów szkół podoficerskich dywizjonów artylerii konnej. Dostępny materiał ikonograficzny dowodzi, iż oznakę mocowano w tych szkołach na proporczyku, lub w rancie kołnierza – na wężyku. Drugi sposób mocowania, choć zdaje się być nienaturalny, wynikał zapewne z grubości proporczyka, który ciężko było przebić słabymi i bardzo giętkimi wąsami metalowej oznaki. Natomiast w 1. Pułku Artylerii Górskiej uczniowie szkoły podoficerskiej nosili oznaczenia właściwe dla tego pułku, lub pozostawali bez oznaczeń.

• W pułkach kawaleryjskich odpowiednikiem kompanii szkolnych były szwadrony szkolne. Stanowiły one szkoły podoficerskie pułków kawalerii, strzelców konnych i szwoleżerów. W tych formacjach poza regulaminową oznaką stosowano aż 2 typy nieregulaminowe. Typ pierwszy, zdecydowanie popularniejszy, stanowił wieniec z liści laurowych i dębowych zwieńczony orłem w koronie, taki sam jak w przypadku nieregulaminowych oznak baterii szkolnych. Z tą jednak różnicą, iż wewnątrz wieńca uwidoczniono skrzyżowane szablę i włócznię (fot. 3). Oznaka ta bita była w blasze i mocowana na dwa wąsy. Wzór ten spotyka się często na zdjęciach archiwalnych (fot. 4). Noszony był na proporczyku pułkowym w dolnej jego części. Znacznie rzadziej noszono typ drugi. Niestety, nie udało mi się dotrzeć do zachowanego egzemplarza tej oznaki. Na rynku kolekcjonerskim pojawiają się jedynie prefabrykaty. Są to najczęściej wytłoczki w blasze, przed wycięciem. Ze względu jednak na zachowany materiał ikonograficzny nie ulega wątpliwości, iż oznaka ta była noszona (fot. 5). W literaturze informację o tej odznace podaje jedynie H. Wielecki w książce *„Polski mundur wojskowy 1918-1939"*, gdzie błędnie opisuje ją jako *„oznakę Podoficerskiej Szkoły Jazdy dla Małoletnich"*. Błąd ten razi tym bardziej, że szkoły takiej w ogóle nie było! Nieregulaminowa oznaka typu drugiego noszona była na kołnierzu zarówno na proporczykach pułkowych, jak i bez nich.

• W Szkołach Podoficerskich Piechoty dla Małoletnich. Istniały trzy takie szkoły – Szkoła Podoficerska Piechoty dla Małoletnich nr 1 w Koninie, nr 2 w Śremie i nr 3 w Nisku. Uczniom tych szkół w latach 1930-1936 przysługiwało prawo noszenia oznak szkół podoficerskich. W 1936 roku zastąpiono je oznaczeniami na rękawie. Zmiana ta dotyczyła tylko szkół dla małoletnich.

• W Szkole Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich stosowano oznakę zbliżoną wyglądem do ogólnej oznaki szkół podoficerskich. Stanowiło ją śmigło wplecione w wieniec laurowy. Trzeba podkreślić, iż był to wzór zatwierdzony rozkazem. Oznaki były bite w blasze i mocowane na dwa wąsy. Ich położenie było analogiczne z położeniem oznak szkół podoficerskich, a więc były pochylone w prawo pod kątem 45 stopni do dolnej krawędzi kołnierza. Oznakę noszono na żółtej patce.

Oznaka służby specjalnej naukowo-oświatowej

W dzienniku rozkazów M.S.Wojsk. nr 3 z 25 stycznia 1921 roku ukazał się rozkaz uzupełniający do *„Przepisów ubioru polowego Wojsk Polskich z 1919 r."*. Przedstawiona w nim patka miała wyróżniać oficerów naukowo-oświatowych. Podkładka była zaprojektowana w kolorze karmazynowym. Na niej umieszczono oznakę, w postaci promienistego słońca z poziomo nałożonym mieczem. Rozkaz uzupełniony był wzorem, który widać na fot. 1. Dostępny materiał ikonograficzny wskazuje, że oznaki wykonywane były z nici bajorkowanej (fot. 2).

Na początku lat 20. w Wojsku Polskim było około 600 oficerów oświatowych i 1500 podoficerów oświatowych podległych Departamentowi Szkolnictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych. Trudno określić, czy oznaką omawianego wzoru w praktyce nie posługiwali się także podoficerowie. Przyjmując jednak za dobrą monetę treść rozkazu wprowadzającego oznakę, przyjąć można, iż wykonano zaledwie 600 oznak tego wzoru. Co więcej, na podstawie zachowanego materiału źródłowego wiadomo, że znaczna liczba oficerów oświatowych posiadała także inne obowiązki służbowe. Możliwe więc, że liczbę wykonanych oznak należy szacować na ok. 400 egzemplarzy. Powoduje to, iż jest ona bardzo rzadką pamiątką na rynku kolekcjonerskim.

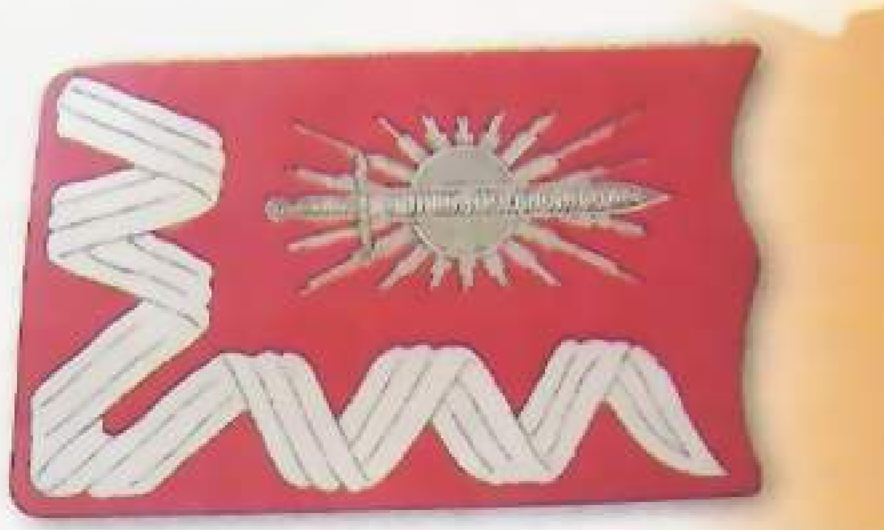

Fot. 1 Rysunek oznaki służby specjalnej naukowo-oświatowej.

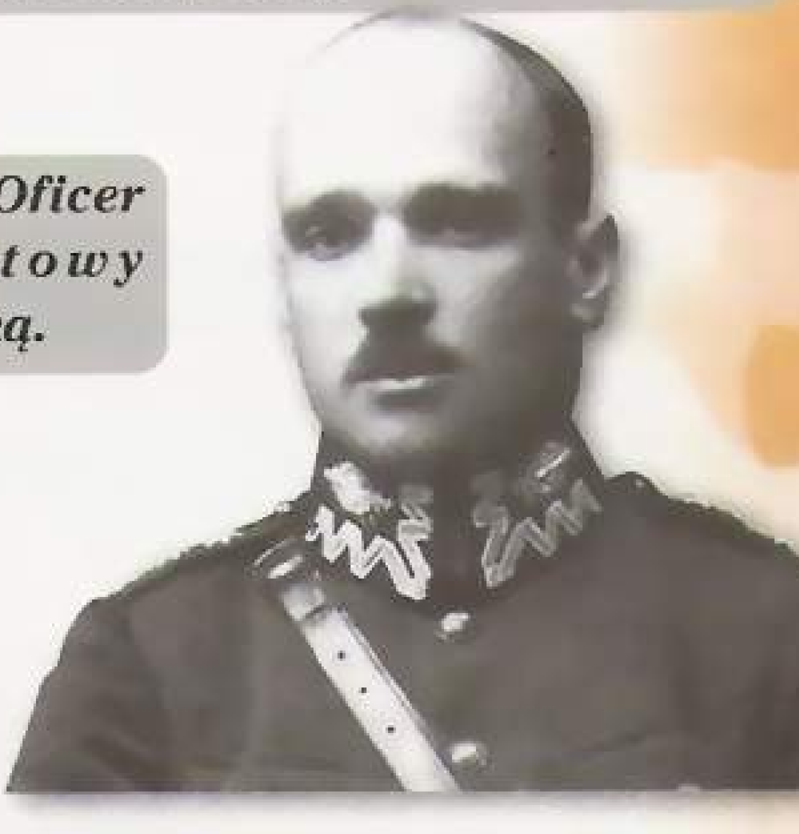

Fot. 2 Oficer oświatowy z oznaką.

Poza oficerami i podoficerami oświatowymi wojsko zatrudniało także ok. 120 instruktorek oświatowych i 160 pracowników cywilnych pracujących w oświacie szpitali wojskowych i wojskowych zakładów karnych. Osoby te nie nosiły mundurów, a więc wykluczone jest by nosiły oznakę służby specjalnej naukowo-oświatowej. Cdn. ❑

Zdjęcia: arch. Autora

PIECUCH WYJAŚNIA

Radomierzyce – dzieje mistyfikacji

Czując się wywołanym do tablicy interesującym i przypuszczam, że rzetelnym materiałem p. Romana Owidzkiego (*„Tropem archiwów SS”*, „Odkrywca” nr 11/2006), pozwalam sobie „wyklikać” kilka słów tytułem wyjaśnienia mojego udziału w całym zamieszaniu związanym z tzw. archiwum radomierzyckim. Oto p. Owidzki pisząc: *„(...) pozwalam sobie przedstawić Państwu szokującą tezę – nie było żadnego takiego archiwum w Radomierzycach”*, pisze prawdę, ale delikatnie mówiąc, nieco przesadza, przynajmniej z szokiem. Dlaczego? Aby odpowiedzieć na to pytanie muszę zacząć od Adama i Ewy, czyli od początku. A więc było tak:

Jakieś sto lat temu, znudzony polityką i politykami (tak jak teraz, właśnie dlatego klepię kolejną książkę *„Kod szpiega”*), napisałem bolszewicką w formie i socjalistyczną w treści powieść mającą stanowić początek cyklu *„Wywiad i kontrwywiad”*. Książka (której wydaniu sprzeciwiał się gabinet Ministra MSW z nieocenionym dyrektorem gabinetu, płk Cz. Żmudą (nawiasem mówiąc moim dobrym znajomym z czasów WOP-owskich), po przejściu stosownej do treści „młócki” w Służbie Wywiadu i Kontrwywiadu MSW, Sztabie Generalnym WP i Cenzurze na Mysiej, w końcu uzyskała stosowne imprimatur i w nakładzie 100 tys. egz. ujrzała księgarskie lady, z których zniknęła po dwóch dniach (zob. *„Desperat”*, Alma Press, Warszawa 1987). *„Desperat”*, pomimo iż był powieścią, w większości zawierał sprawdzone, znane mi osobiście lub z opowieści bądź archiwaliów fakty, dotyczące wydarzeń z pierwszych powojennych lat Peerelu. Jednym z zakamuflowanych bohaterów *„Desperata”* był mój przyjaciel Tadeusz Steć.

Pisząc powieść byłem pewien, że wystarczająco dobrze zakodowałem Stecia, i nikt, przynajmniej na podstawie książki, nie będzie go mógł rozpoznać. Niestety, myliłem się. Steć, po przeczytaniu książki zgłosił zastrzeżenia. Ustaliliśmy wówczas wspólnie, że w którejś z następnych książek przedstawię historyjkę, zmyśloną od A do Z, która odciągnie uwagę od przygód Stecia opisanych w *„Desperacie”*. Obmyśliliśmy kilka wersji opowiastek, z których jedna dotyczyła Radomierzyc, Czochy i Książa. Niestety, myśląc, że jesteśmy nieśmiertelni, tylko z mojej winy odwlekałem sprawę z roku na rok. W końcu Stecia zamordowano. A okoliczności morderstwa i tego co potem nastąpiło skłaniają mnie do postawienia hipotezy, iż nie było to morderstwo ani na tle rabunkowym, ani seksualnym. A przynajmniej nie tylko na tym tle. W międzyczasie brałem udział w próbie pozyskania z Moskwy przynajmniej części archiwaliów, o których nadzwyczaj kompetentnie pisze R. Owidzki. Usiadłem więc do komputera i „wyklawiaturowałem” książkę z cyklu „political fiction”, w której pomieszałem fakty z celową dezinformacją, wprowadzoną zgodnie ze słowem danym niegdyś T. Steciowi, ale nie tylko. Dezinformację uzupełniłem postaciami P. Jaroszewicza, J. Fonkowicza, W. Boczonia itp. Książkę (zob. *„Kto zabił. Bruderszaft ze śmiercią”*, Agencja Wydawnicza CB, Warszawa 1999) przeczytał J. Rostkowski i postanowił pociągnąć temat. I niestety, pociągnął. Nie mam jednak pojęcia dlaczego upiera się, że to, co napisał, jest prawdą i tylko prawdą. Przecież Jerzy Rostkowski Stecia widział jedynie na zdjęciach wykonanych przeze mnie i nigdy z nim nie rozmawiał!

W końcu do akcji wkroczyła p. Joanna Lamparska. Szarpiąc z tego i owego stworzyła coś (zob. „Wprost” z 27.VIII.2006 r.), co absolutnie na polemikę nie zasługuje. Uważając, że p. Lamparska ma prawo pisać, co jej się podoba, ale nie ma prawa i powodów, aby mnie do tego mieszać poprzez cytowanie mojej książki bez podania źródła (co dezinformuje Czytelnika), lojalnie zadzwoniłem do redaktora naczelnego „Wprost” informując go o swoich zastrzeżeniach. Otrzymałem zapewnienie, że redakcja zajmie się sprawą.

Mając w stosunku do mistyfikacji związanej z tzw. archiwum radomierzyckim inne zamiary, zdecydowałem się jednak ujawnić rąbka tajemnicy. Uznałem, iż najszybciej da się to zrobić poprzez wykorzystanie forum internetowego „Odkrywcy”. Stąd moja uwaga, że p. Owidzki nieco przesadził uznając tezę o braku archiwum w Radomierzycach za szokującą. Przecież już 6 września (ale nie ujawniając wszystkiego), ogłosiłem w internecie m.in.: *„(...) p. Lamparska powołuje się wprawdzie na moje słowa, ale nie podaje skąd je wyszarpała (brak tyt. książki, która jest z gatunku political fiction)”*. To powinno skłaniać do myślenia. Oto sprawa tzw. archiwum radomierzyckiego oraz okoliczności z tym związanych ma się nieco inaczej, niż to przedstawiłem w swojej książce (do czego w tym gatunku miałem prawo). Uczyniłem tak z kilku powodów, które postaram się wyjaśnić w jednej z najbliższych publikacji (nie mogę tego zrobić w tym miejscu, albowiem wymaga to co najmniej kilkunastu stron). Prawdą jest, że archiwum było, ale nie w Radomierzycach, prawdziwe są także informacje, że zostało zabrane przez sowieckie służby specjalne oraz prawdą jest, że w latach 90. grupa ludzi usiłowała odkupić część dokumentów od Rosjan. Była to mała kombinacja, nazwijmy ją okołooperacyjną, która być może miała jakiś wpływ na kilka tajemniczych zgonów. Oczywiście nie znam wszystkich szczegółów. W sprawę pozyskiwania archiwaliów z Moskwy zamieszany był znany dziennikarz francuski (m.in. autor książki *„Noc generała. 13 grudnia 1981”*, były korespondent radia i telewizji francuskiej w Moskwie). Część dokumentów trafiła do Francji. Do Polski nie trafiło nic. Gdzie naprawdę znajdowało się archiwum, zdradzam w książce *„Kod szpiega”* (tytuł roboczy). Naprawdę trzeba być nie byle jakim naiwniakiem, aby wierzyć, że Niemcy byli takimi ignorantami, że ogromne archiwum pomieścili w zamkowym (pałacowym) skarbcu. Myślałem, że jest to na tyle jasne, iż nikt się na to nie da nabrać. Niestety, okazało się, że przeceniłem inteligencję niektórych... Przepraszam.

I jeszcze jedno, w moich ponad 50 książkach pomieściłem zaledwie dwie tego typu (co z Radomierzycami) zmyłki. Pierwszą, było wprowadzenie amerykańskiej łodzi podwodnej na jezioro Jamno. Te, przyznaję mocno ryzykowne i, być może, niezbyt mądre zagrania, oprócz powodów okołooperacyjnych były także pułapką na grasujących zrzynaczy, czyli „tfurców”, którzy po przeczytaniu 2-3 książek, bez wysiłku (grzebania po archiwaliach, czasochłonnych wywiadów, wizji lokalnych itp. itd.) potrafią stworzyć interesujące dzieło dokumentalne w postaci książki bądź materiału publicystyczno-informacyjnego w poczytnym tygodniku. No cóż, tych, którzy się dali nabrać, przepraszam jeszcze raz, a p. Owidzkiego pozdrawiam. Odwalił kawał dobrej roboty.

Henryk Piecuch

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA „HiSCO” S.C.

Książki, czasopisma i filmy o tematyce:

- poszukiwania zaginionych skarbów
- fortyfikacje, zamki, twierdze i ich podziemia
- nowa broń III Rzeszy, tajne badania naukowe
- podziemne fabryki, kwatery Hitlera
- eksploracja, survival, militaria, archeologia itp.

Mapy topograficzne – cała Polska!

- mapy archiwalne i współczesne
- skale map: 1: 10 000 / 25 000 / 50 000 / 100 000

Wykaz wydawnictw: **http://hisco.w.interia.pl** albo po otrzymaniu zaadresowanej koperty zwrotnej z naklejonym znaczkiem za 1,30 zł: „HiSCO” S.C., ul. Kościuszki 39/7i, 50-011 WROCŁAW, tel. 0-71 / 344-65-93 e-mail: hisco@interia.pl

Nawiążemy współpracę z wydawcami oraz odbiorcami hurtowymi.

Nowości grudnia w Księgarni Odkrywcy

04063 – Igor Witkowski „Podziemne królestwo Hitlera, tom 1", opr. miękka, str. 198, WIS-2. Cena: 35 zł; oraz
04064 – Igor Witkowski „Podziemne królestwo Hitlera", tom 2, opr. miękka, str. 159, WIS-2. Cena: 31 zł

Żadnemu aspektowi II wojny światowej nie towarzyszy tyle znaków zapytania, z żadnym nie wiąże się tyle tajemnic, co z mrocznymi podziemiami pozostałymi po III Rzeszy. Ta książka – jako pierwsza na świecie – pokazuje pełną skalę zjawiska, którego celem było przeniesienie całego przemysłu zbrojeniowego pod ziemię, fabryk, laboratoriów itp. Oparta została w większości na odtajnionych materiałach archiwalnych. Tom 1 poświęcony został całemu planowi stworzenia podziemnej gospodarki oraz opisom obiektów na terenie Polski. W tomie 2 przedstawiono obiekty podziemne na terenie Niemiec, Austrii, Czech, Słowacji i Francji.

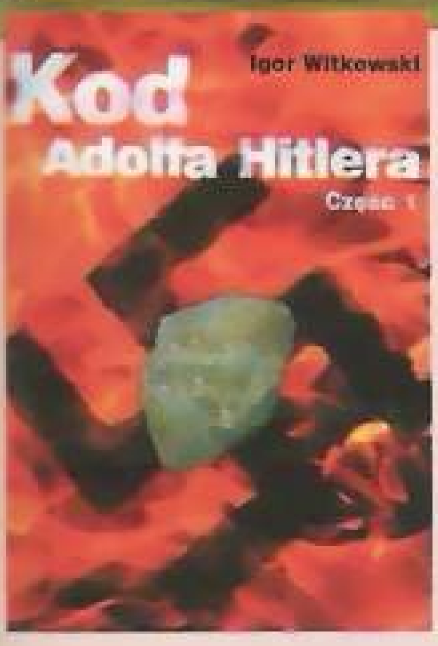

03380 – Igor Witkowski „Kod Adolfa Hitlera" cz. 1, opr. miękka, str. 216, WIS-2. Cena: 34 zł; oraz
04065 – Igor Witkowski „Kod Adolfa Hitlera" cz. 2, opr. miękka, str. 168, WIS-2. Cena: 31 zł

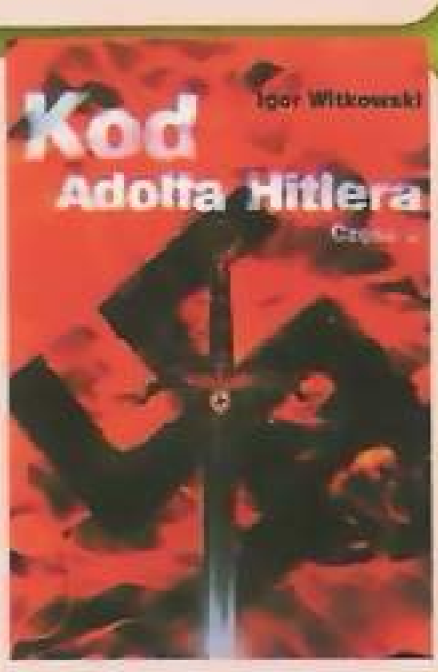

Sensacyjna powieść nawiązująca do autentycznych wydarzeń. Odwołuje się do najtajniejszego i najbardziej mrocznego aspektu III Rzeszy: do poszukiwania przez szefa SS pradawnej wiedzy tajemnej, mającej umożliwić mu panowanie nad światem. Głównymi motywami książki są wyprawy SS do Tybetu i analizy zdobytego materiału, które przyczyniły się do stworzenia planu rozpoczęcia nowej jeszcze bardzie totalnej niż dotychczas fazy wojny. „Kod Adolfa Hitlera" ukazuje zakulisową, nieznaną rozgrywkę o losy świata, toczącą się równolegle w stosunku do walki na frontach.

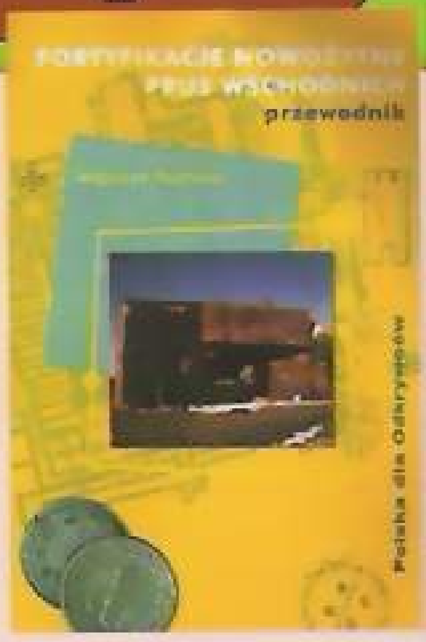

04107 – Wojciech Rużewicz „Fortyfikacje nowożytne Prus Wschodnich. Przewodnik", opr. miękka, Biuro Odkryć. Cena: 29,50 zł

Fortyfikacje nowożytne, zwane potocznie „bunkrami", mają w Polsce ciągle rosnące grono miłośników. Dla części z nich to wyzwanie naukowe – skrupulatne badania i pomiary poszczególnych obiektów, dla innych – przygoda, zabawa w eksploracj[…] i survival w niedostępnych betonowych zakamarkach[…] jeszcze inni, wraz z całymi rodzinami, zwiedzają po[…] okiem przewodnika zagospodarowane obiekty za[…] mienione na muzea czy skanseny. W książce Wojtk[…] Rużewicza, znawcy mazurskich fortyfikacji, każdy z nich znajdzie coś dla siebie. Autor, zapalony przewodnik zabierze czytelników w podróż po nieistniejącej od 194[…] r. prowincji Prusy Wschodnie, gdzie tylko w I połowi[…] XX w. wzniesiono ponad 1500 budowli fortecznych[…] Zaawansowani „bunkrowcy" i miłośnicy historii znajdą tu dokładne techniczne opisy i rysunki poszczególnych obiektów, mapy pozycji obronnych, burzliwą histori[…] tych ziem i budowanych tu fortyfikacji a amatorz[…] zwiedzania także obszerny przewodnik ciekawie i wy[…] czerpująco opisujący miejsca istotne dla każdego turyst[…] chcącego na własne oczy zobaczyć minioną potęg[…] „bunkrów". Różnorodność konstrukcji Trójkąta Lidz[…] barskiego, wkomponowanie w teren umocnień Pozyc[…] Jezior Mazurskich i Giżyckiej Pozycji Polowej czy potęg[…] budowli wzniesionych na dawnej granicy oraz jak[…] niemieckie stanowiska dowodzenia z okresu II wojn[…] światowej powodują, że obszar ten, którego częścią jes[…] dzisiaj województwo warmińsko-mazurskie, przyciąg[…] rzesze turystów kochających historię umocnień.

04011 – Praca zbiorowa „Statki. Encyklopedia", opr. twarda, str. 544, Muza S.A. Cena: 135 zł

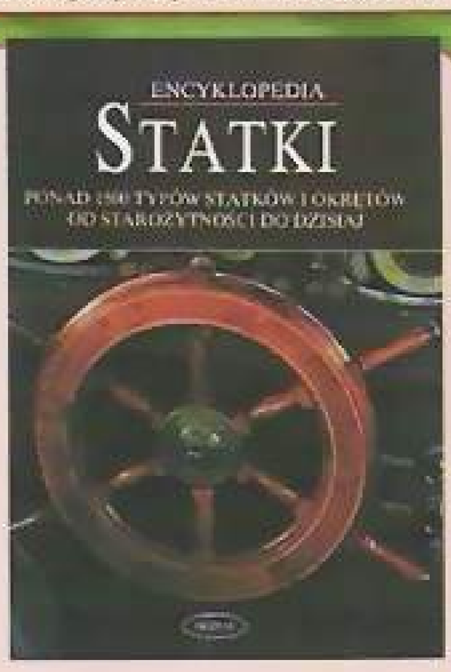

Książka przedstawia historię rozwoju żeglugi i marynarki od 5000 r. p.n.e. do dzisiaj. Prezentuje ponad 1500 typów statków, które w tym czasie znajdowały się w eksploatacji we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej. Zawiera archiwalne ilustracje z pionierskich czasów, a także zdjęcia najnowszych modeli – w sumie ponad 1500 rysunków i fotografii.

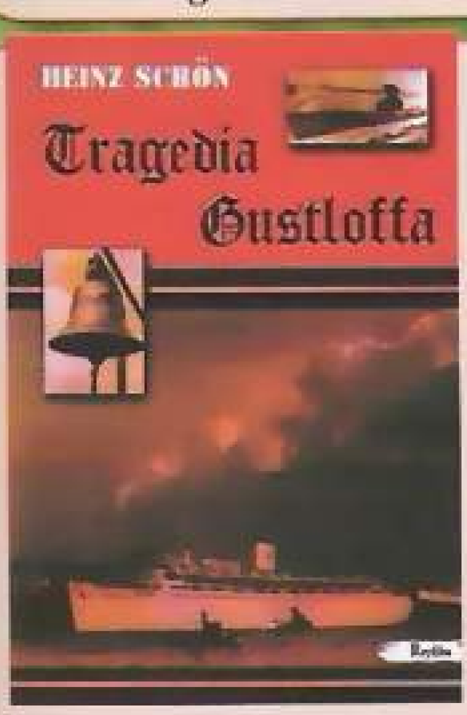

04133 – Heinz Schön „Tragedia Gustloffa", opr. twarda z obwolutą, str. 272, Replika. cena: 49,90 zł.

„Tragedia Gustoffa", to wstrząsająca relacja naocznego świadka ocalałego z jednej z największych katastrof morskich w historii. To jednocześnie bogato ilustrowany, unikalny dokument o bestialskim zatopieniu statku ewakuacyjnego dla uchodźców niemieckich z Prus Wschodnich. Jednak przede wszystkim, to hołd oddany 9343 ofiarom, w tym 5 tys. kobiet i dzieci, które zginęły w sztormową, mroźną noc 30 I 1945 r.

04080 – Charles Whiting „Rozkaz: zabić Eisenhowera", opr. miękka, str. 167, Amber. Cena: 19,80 zł

Od pierwszych prób zamordowania Hitlera, przez przygotowania do zamachu na Wielką Trójkę – Churchilla, Roosevelta i Stalina – podczas konferencji teherańskiej i zamach na Churchilla, którego dotychczasowi greccy sojusznicy usiłowali zabić w Atenach w grudniu 1944 roku, aż po rzekome samobójstwo Reichsführera SS Himmlera – ta książka odsłania udane i nieudane zamachy na najważniejszych ludzi czasów wojny. A przede wszystkim ukazuje nieznany epizod konfliktu – „polowanie" najsłynniejszego niemieckiego komandosa, Obersturmbanführera Skorzenego, na głównodowodzącego sił alianckich w Europie, generała Eisenhowera. Skorzeny dowodził specjalną jednostką, mającą likwidować cywilnych i wojskowych przywódców alianckich. Celem jego komandosów był m.in. marszałek Tito, marszałek Petain, dyktator Węgier admirał Horthy. Najsłynniejszą ich akcją było uwolnienie Mussoliniego uwięzionego przez antyfaszystowski rząd włoski w Gran Sasso, a najmniej znaną – właśnie przygotowania do zamachu na Eisenhowera. Czy Skorzeny rzeczywiście miał rozkaz zabić Eisenhowera i jak blisko był celu – uznany historyk II wojny demaskuje wydarzenia, które pozostawały tajne aż do dziś.

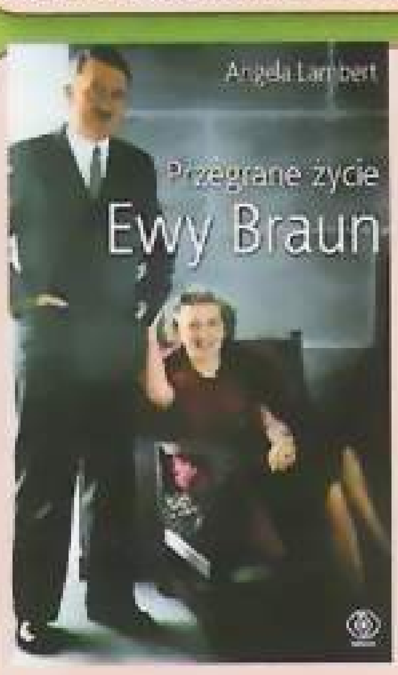

04036 – Angela Lamber[…] „Przegrane życie Ewy Braun[…]" opr. twarda z obwolutą, st[…] 575, Rebis. Cena: 65 zł

Takich kobiet jak Ewa Brau[…] były w Niemczech tysiące. Ja[…] to się stało, że właśnie ona z[…] stała kochanką Hitlera i do dz[…] wzbudza jej los tak ogromn[…] zainteresowanie? Ewa opuści[…] szkołę przyklasztorną, mają[…] 17 lat i kilka miesięcy późni[…] spotkała Hitlera. Została je[…] kochanką, zanim ukończyła 20 lat. Co sprawiło, że [...] niepozorna kobieta, młodsza od Hitlera o 23 lata, p[…] trafiła utrzymać przy sobie jednego z najpotężniejszyc[…] mężczyzn świata? Ta pierwsza od wielu lat biografia k[…] chanki i żony Hitlera przybliża nam tę ciekawą posta[…] która przez wiele lat żyła w cieniu Führera. Autork[…] na podstawie szczegółowych badań, dokumentó[…] i zeznań świadków, próbuje rozwiązać trudną, ch[…] szalenie intrygującą zagadkę: kim naprawdę była [...] piękna, dobrze wychowana kobieta, której jedyny[…] nieszczęściem było to, że pokochała potwora.

Odkryj nas w internecie!!! www.ksiegarnia-odkrywcy.pl

TWOJE ZAMÓWIENIE

Wytnij i wyślij!

TWOJE DANE: (prosimy o wypełnienie drukowanymi literami)

imię i nazwisko (lub firma):

adres (z kodem pocztowym):

kod	tytuł	liczba egz.

telefon kontaktowy:

potrzebuję fakturę VAT

i upoważniam firmę "Biuro Odkryć" do [...] wystawienia bez podpisu odbiorcy.

mój NIP:

TAK, znam warunki zakupu i przysługujące mi z tego tytułu prawa.

data i podpis:

Do każdej przesyłki doliczamy opłatę w wysokości 9,50 zł.

Kupon zamówienia można powielać!

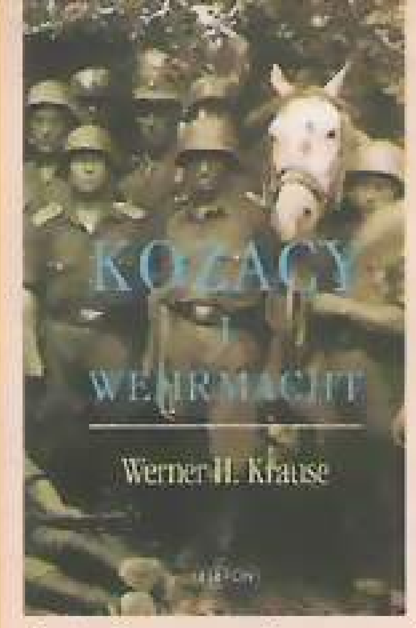

04071 – Werner H. Krause „Kozacy i Wehrmacht", opr. twarda, str. 354, Libron. Cena: 39,50 zł

Przyzwyczajeni jesteśmy do czarno-białej wersji historii II wojny światowej. Była to historia napisana na konferencji w Jałcie pod dyktando Stalina. Jednym z kanonów owej wersji przeszłości był podział moralny na dobrych i złych uczestników zmagań. Dobrzy byli ci, którzy służyli sprawie zwycięstwa Armii Czerwonej, źli zaś wszyscy pozostali. Partia bolszewicka i jej sekretarz określali wszystko wedle własnego uznania i bez oglądania się na prawdę (którą komuniści uznawali za przeżytek klasowy) skazali całe narody na zagładę, infamię lub zapomnienie. Do mniej znanych, a na pewno mocno przekłamanych zagadnień historycznych należy udział obywateli sowieckich w II wojnie po stronie Niemiec. Propaganda pojałtańska określała ich w sposób jednoznaczny mianem renegatów i zdrajców. Epitety takie, używane bez odrobiny refleksji, przylgnęły po pewnym czasie na stałe do tych ludzi, odbierając im prawo do jakiegokolwiek sprzeciwu i okrywając ich wieczną niesławą.

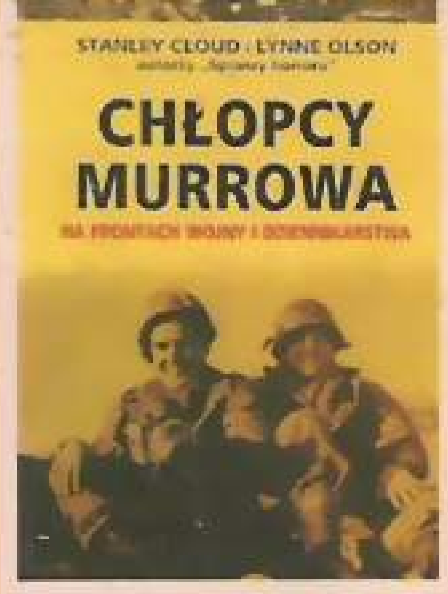

04062 – Stanley Cloud, Lynne Olson „Chłopcy Murrowa. Na frontach wojny i dziennikarstwa", opr. twarda z obwolutą, str. 471, AMF+. Cena: 39,90 zł

„Chłopcy Murrowa" to pierwsza biografia utalentowanych korespondentów z zespołu CBS, którymi kierował Edward R. Murrow. Byli oni przede wszystkim intelektualistami i mistrzami pióra, a ich wytrawnych analiz i relacji nie można było porównać z niczym, co wcześniej uważano za wiadomości radiowe. Dziesięciu mężczyzn i jedna kobieta, m.in. takie sławy jak Eric Sevareid, Charles Collingwood i Howard K. Smith, wymyśliło nowy sposób relacjonowania wydarzeń, równocześnie zdobywając serca niezliczonych Amerykanów. Chłopcy, mający po 20, 30 lat; pełni młodzieńczej śmiałości, ukazywali słuchaczom najważniejsze wydarzenia wojenne. Shirer, wbrew rozkazowi Hitlera, pierwszy doniósł o niemiecko-francuskim zawieszeniu broni. Larry LeSueur wylądował razem z drugą falą oddziałów alianckich na plaży Utah w Normandii. Richard C. Hottelet pierwszy zawiadomił słuchaczy o niemieckiej ofensywie w Ardenach. Polskie wydanie różni się od oryginału amerykańskiego. Autorzy zmodyfikowali książkę, włączając do niej materiał mogący szczególnie zaciekawić Polaków

04108 – Marek Lubicz-Woyciechowski „Tajemnicza działalność Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych w świetle zasobów Archiwum Państwowego we Wrocławiu", opr. miękka, str.287, My Book. Cena: 62 zł

Z końcem II wojny światowej na Ziemiach Zachodnich i Północnych Polski pojawił się problem zagospodarowania poniemieckiego mienia, tego pozostawionego oficjalnie i tego skrzętnie pochowanego, ze szczególnym uwzględnieniem ostatniego. Wówczas też rozpętała się swoista „gorączka złota", namnożyło najwięcej opowieści o ukrytych skarbach (czasem prawdziwych, czasem prawdopodobnych, czasem mitycznych), jednocześnie wiele śladów zostało zatartych i/lub zniszczonych. Aby zweryfikować wszystkie dane i konstruktywnie je spożytkować (czyt.: odnaleźć i zabezpieczyć co się da) już w 1945 r. powołano do życia Przedsiębiorstwo Poszukiwań Terenowych – organizację od samego początku dziwną, tajemniczą i do dziś mocno kontrowersyjną. Celem prezentowanej publikacji jest przybliżenie działalności tej organizacji, jej metod pracy i wyników prowadzanych śledztw. Siła książki leży jednak w samej jej konstrukcji: w cytowaniu fragmentów lub całych dokumentów w ich oryginalnej formie. Czytelnik ma trudną do przecenienia okazję zapoznać się ze sprawozdaniami, notatkami służbowymi pracowników PPT, przede wszystkim zaś z pierwszymi, spisanymi na gorąco, relacjami i zeznaniami świadków. Dzięki temu może nie tylko poczuć atmosferę tamtych czasów, ale – co najważniejsze – samodzielnie interpretować zawarte w nim informacje.

04102 – Francois Delpla „Kusicielki Diabła. Hitler i kobiety", opr. twarda, str. 270, Wydawnictwo Dolnośląskie. Cena: 34,90 zł

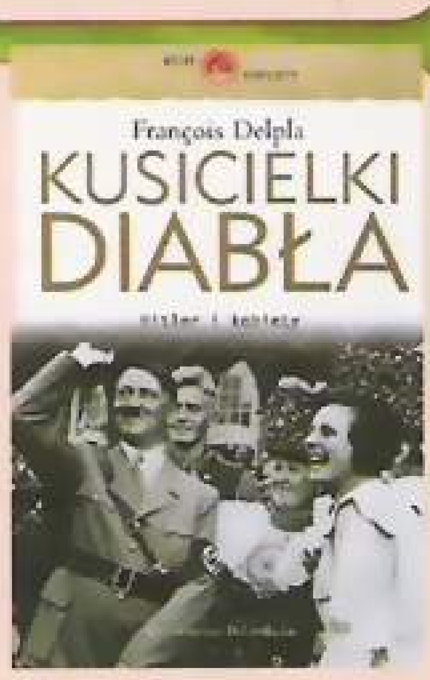

Perwersyjny impotent, sadomasochista, narcystyczny tyran czy homoseksualista, jak przypuszczają niektórzy historycy? Co dziś wiadomo o życiu uczuciowym człowieka odpowiedzialnego za śmierć milionów ludzi? I czego możemy się na jego podstawie dowiedzieć o hitlerowskim dziele zniszczenia? Autorka bada szczegółowo życie intymne Hitlera – od jego namiętności do Geli Raubal, która popełniła samobójstwo w wieku 23 lat, do późnego ożenku z Ewą Braun. Maluje portret człowieka opętanego własnymi fantazjami, otoczonego kobietami, które godzą się odgrywać niebezpieczną rolę kusicielek, i którymi udaje mu się zręcznie manipulować.

04012 – Martin Allen „Tajny układ. Jak książę Windsoru zdradził aliantów", opr. miękka, str. 263, Amber. Cena: 34,80 zł

Profaszystowskie sympatie Edwarda, księcia Windsoru, nie są tajemnicą, ale dotychczas nie podejrzewano, że jego działalność z czasów wojny nosi znamiona zdrady. Król Anglii Edward VIII abdykował w 1936 roku, aby poślubić amerykańską rozwódkę Wallis Simpson. W 1939 roku podczas „dziwnej wojny" rząd brytyjski zaproponował mu stanowisko inspektora francuskich sił zbrojnych. Nikt nie przypuszczał, że książę przekaże Niemcom informacje wywiadowcze. Na podstawie nowych dowodów – pewnego prywatnego listu, dokumentów znalezionych w archiwach europejskich i aktach FBI oraz rozmów z uczestnikami wydarzeń – brytyjski historyk ujawnia szokujące fakty: działania króla, który zdradził swoją ojczyznę. I twierdzi, że brytyjskie tajne służby i rodzina królewska przez lata starannie ukrywały tę niechlubną prawdę.

04037 – Aleksander Rowiński „Przeklęte łzy słońca", opr. miękka, str. 360, Oficyna Literatów Rój. Cena: 44 zł

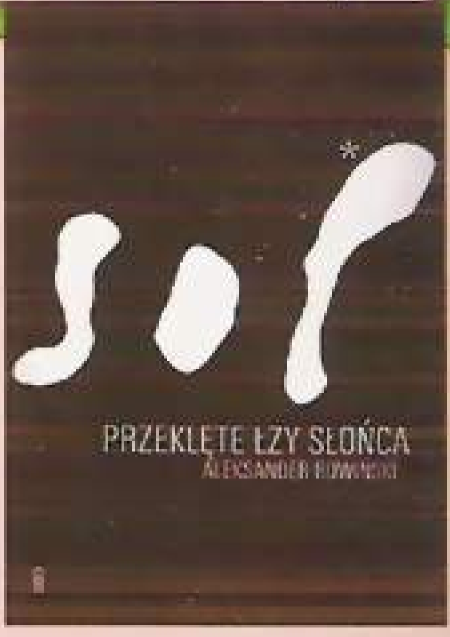

„(…) gdzieś w dalekiej Ameryce potężny naród Inków ukrył swój złoty skarb przed oczami konkwistadorów. By strzec do niego dostępu rzucono klątwę a miejsce opisano w tajemniczych węzełkach kipu. Klątwa powędrowała jednak wraz z tymi, którzy szukali skarbu, by dosięgnąć zamku w Niedzicy nad polskim Dunajcem". Od przeszło 60 lat na temat pobytu Inków w Polsce i ukrycia tu części ich legendarnego skarbu pojawiła się niezliczona liczba publikacji prasowych i naukowych, powstały programy telewizyjne i filmy na całym świecie. Książka „Przeklęte łzy słońca" po raz pierwszy i jako jedyna omawia tę fascynującą sprawę od początku do końca. Pozycja jest tematycznym nawiązaniem do wcześniej wydanej „Pod klątwą kapłanów".

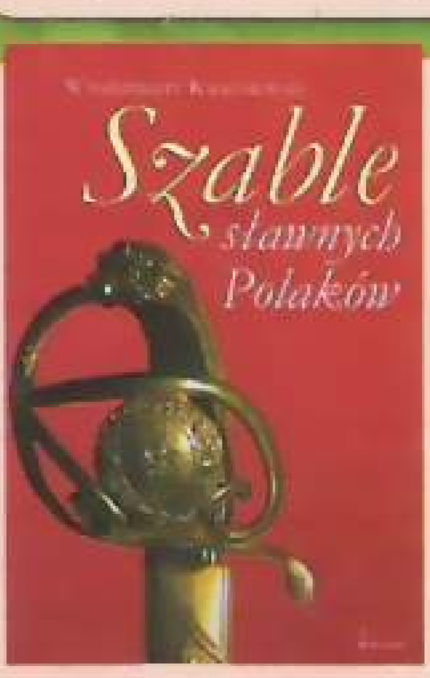

03980 – Włodzimierz Kwaśniewicz „Szable sławnych Polaków", opr. twarda, str. 150, Bellona. Cena: 55 zł

Publikacja prezentuje polską broń narodową w rękach słynnych polaków. Stanowi swoisty przegląd różnych typów i wzorów szabel, poczynając od króla Stefana Batorego, na majorze Henryku Sucharskim kończąc. Włodzimierz Kwaśniewicz zawarł w niej ponad 350-letnią historię tej jedynej w swoim rodzaju broni. Ukazał ją w kontekście symbolu, obiektu kolekcjonerskiego, a także bohaterki wielu dzieł malarskich wybitnych mistrzów pędzla.

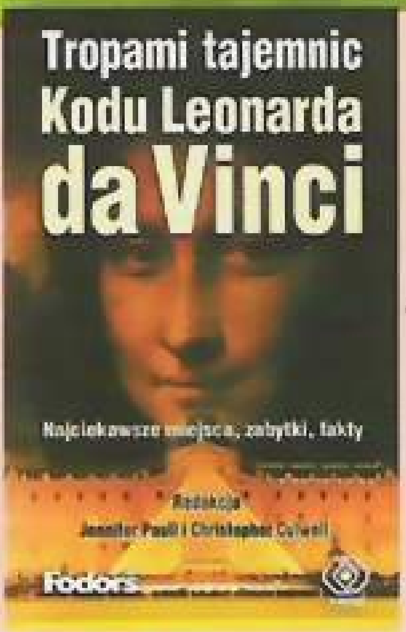

03587 – Jennifer Paull, Christopher Culwell „Tropami tajemnic kodu Leonarda da Vinci. Najciekawsze miejsca, zabytki, fakty", opr. miękka, str. 255, Rebis. Cena: 29 zł

Przewodnik turystyczny skierowany do miłośników „Kodu Leonarda da Vinci" Dana Browna. Autorzy publikacji umożliwiają rzecz absolutnie niezwykłą – wyprawę śladami Roberta Langdona i Sophie Neveu. Opisują miejsca, ludzi, wydarzenia historyczne, dzieła sztuki i symbole religijne pojawiające się na stronicach największego bestselleru początku XXI wieku. Zawarte w przewodniku liczne niezwykłe fotografie, dokładne plany budynków, mapy i reprodukcje obrazów stanowią najlepszy materiał ilustracyjny dla powieści. Jednak przede wszystkim to niezapomniana wycieczka po Paryżu, Rzymie, Londynie i Roslin!

JAK ZAMAWIAĆ KSIĄŻKI

Listownie
wysyłając w kopercie zamówienie (kupon) na adres:
KSIĘGARNIA ODKRYWCY
Skr. Poczt. 2101, 94-015 ŁÓDŹ 40

Telefonicznie (całą dobę!)
(0 prefix 42) 634 89 93 (rejestracja automatyczna)

Faxem (całą dobę!)
(0 prefix 42) 634 89 92
(najlepiej użyć wydrukowanego kuponu)

E-mailem sklep@ksiegarnia-odkrywcy.pl

Z internetu: www.ksiegarnia-odkrywcy.pl

Wszelką pomoc i informacje można uzyskać w biurze księgarni,
tel. (0 prefix 42) 630 71 41

NASZ REGULAMIN

- Zamówione książki dostarczymy Wam pocztą do domu, dołożymy wszelkich starań, aby nie trwało to dłużej niż 14 dni od chwili wpłynięcia zamówienia.
- Przesyłki dostarczamy za zaliczeniem pocztowym, opłata następuje więc w chwili dostarczenia towaru przez pocztę.
- Do ceny książek w przesyłce doliczamy kwotę w wysokości 11,00 zł. Tytułem opłat pocztowych.
- Udzielamy Wam gwarancji zwrotu zamówionego towaru bez podania przyczyny w terminie 10 dni od jego odebrania. W celu otrzymania zwrotu pieniędzy (bez kosztów dostawy) prosimy o odesłanie na własny koszt towaru wraz z rachunkiem na adres KSIĘGARNIA ODKRYWCY, skr. Poczt. 2101, 94-015 ŁÓDŹ 40
- Za książki noszące ślady używania lub zniszczenia nie zwracamy pieniędzy! Nie przyjmujemy zwrotów przesłanych do nas za zaliczeniem pocztowym!
- Oferta katalogu oraz podane ceny obowiązują do momentu ukazania się kolejnej edycji (nie dotyczy zmian cen z przyczyn od nas niezależnych). Zastrzegamy możliwość wycofania poszczególnych pozycji ze sprzedaży pomiędzy kolejnymi edycjami katalogu.

Zapraszamy wszystkich do Księgarni Odkrywcy na ul. Sienkiewicza 11 w Łodzi.

kolekcja ODKRYWCY

ZESIWO US. Army MAGNESIUM - ORYGINAL
st to oryginalne amerykańskie krzesiwo
magnezją, używane przez armię US. Wytwarza
kre o temp. 1500°C. Żeby rozpalić ogień
ystarczy zeskrobać trochę magnezji następnie
cierając o pręcik wywołać iskry. Pozwala
rozpalenie ognia bez względu na warunki
mosferyczne. Wymiary 7,6×2,5×0,9 cm. Waga 50 g.
pis kontraktowy na krzesiwie:
starting tool, magnesium US patent no. 4,188,192

35,-

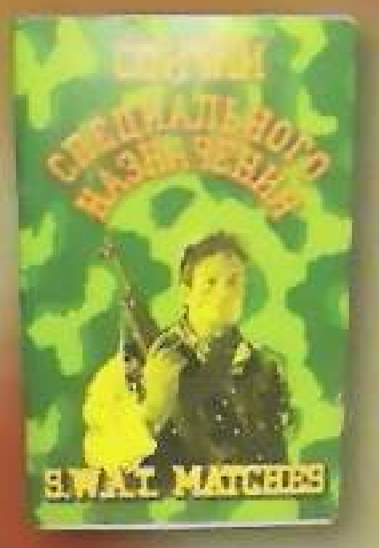

ZAPAŁKI SZTORMOWE
rosyjskie, wodoodporne

18,-

28,-

24,-

16,-

LATARKI W STYLU MILITARNY
z sygnalizatorem,
wodoszczelne, z zapasową ża-
rówką i kolorowymi filtrami.

BLUZKA DAMSKA.
WZÓR AMERYKAŃSKI
Kolor DTC. Rozmiary od
XS do XL. Przy zamówie-
niu proszę podać rozmiar
i rodzaj rękawa (długi/
krótki)

30,-

25,-

RĘKAWICZKI SKÓRZANE
Z PODUSZKAMI
– uniwersalne zastosowanie
– rozmiar od S do XL

25,-

NIEZBĘDNIK
– stal nierdzewna;
– nowy, prod. szwedzkiej

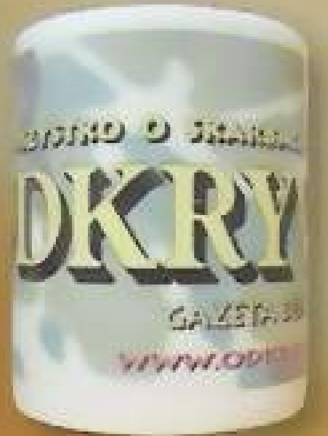

15,-

KUBEK Z KOLEKCJI
ODKRYWCY
pojemność 0,33 l

przód

tył

T-SHIRT
granatowy, zielony,
rozm. M, L, XL, XXL

20,-

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY
zielony i niebieski w rozm. 188-194

26,-

TROKI SKÓRZANE
– oryginalne (cena za 1 szt.)

1,-

CHUSTA „ARAFATKA"

45,-

15,-

MASKA PRZECIW-
GAZOWA MC-1

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 12/95

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA", 50-214 Wrocław, ul. Kaszubska 4

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy .... miejscowość

ulica .... nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy" zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawie faktury VAT bez mojego pod

Kto powiedział, że nie można mieć wszystkiego?

Multisort

sklep wysyłkowy

setki pomysłów na świąteczne prezenty

zamów nowy bezpłatny katalog

www.multisort.pl

BIURO OBSŁUGI KLIENTA
042 645 54 75